

DODATEK DLA KIBICA: WSZYSTKO O ZIMOWYCH IGRZYSKACH W KOREI

KARNOWSCY PRZEPYTUJĄ PROFESORA CZAPUTOWICZA, NOWEGO SZEFA MSZ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 6 (271) 2018
5–11 lutego
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

KULISY OPERACJI PRZECIW POLSCE

W GRZE JEST NIE TYLKO IZRAEL

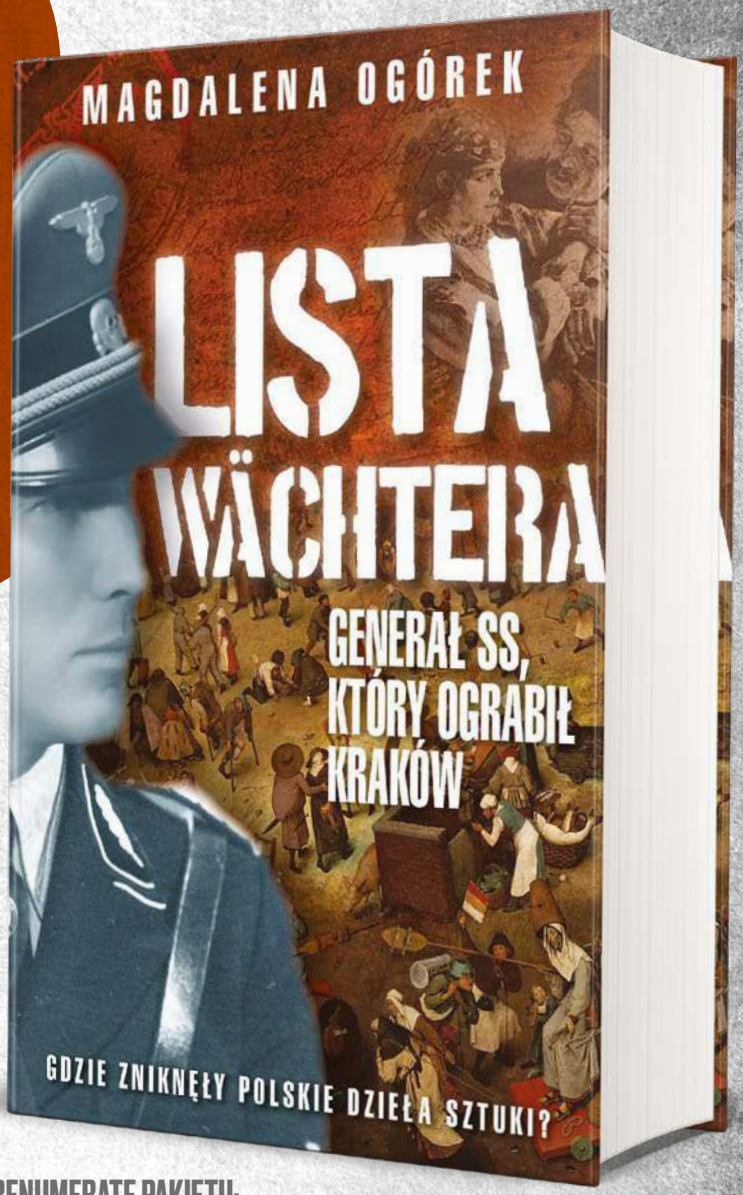
CHCĄ NAS ZŁAMAĆ

CHODZI O SUWERENNOŚĆ, PRAWDĘ I PIENIĄDZE. CO ZROBI KACZYŃSKI?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

WYŁĄCZNIE DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
TYGODNIK SIECI I MIESIĘCZNIK wSIECI HISTORII ZA **280 zł**,
A KSIĄŻKĘ „LISTA WÄCHTERA" O WARTOŚCI **49,90 zł** OTRZYMASZ **W PREZENCIE**!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WWW.WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna pakietu i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 3bfe60f465

Było ich wielu



MACIEJ PAWLICKI

Zgodnie z badaniami naukowymi można powiedzieć, że Polaków, którzy ratowali Żydów, było nie 6,5 tys. – jak wciąż słyszymy w mediach – ale kilkaset tysięcy. Bardzo sceptyczni badacze (prof. Feliks Tych, Władysław Bartoszewski) podają liczbę 200 tys., wielu badaczy (m.in. prof. Tomasz Strzembosz, prof. Jan Żaryn) mówi o liczbie ponad 1 mln.

Nawet założywszy ostrożnie, że prawda jest gdzieś pośrodku, widzimy, że 6,5 tys. osób nagrodzonych medalem Yad Vashem i tytułem Sprawiedliwego to zaledwie drobna część Polaków zaangażowanych w ratowanie Żydów przed Niemcami.

Wiedzą to doskonale wszyscy uczciwi historycy, w tym badacze żydowscy. Wiedzą o istnieniu ogromnej liczby Polaków, którzy narażali życie własne i dzieci, a nigdy nie dostali i nie dostaną medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, bo nie wypełniają surowych kryteriów instytutu z Jerozolimy (m.in. ratowany musiał przeżyć i złożyć relację).

6 grudnia 1942 r. w Ciepielowie niemieccy żandarmi za ukrywanie Żydów spalili żywcem rodziny Kowalskich i Obuchiewiczów, zastrzelili rodziny Kosiorów i Skoczylasów, w sumie 33 Polaków, w tym ponad 20 dzieci. Nikt z owych 33 osób nie wypełnia kryteriów Yad Vashem.

W filmie „Życie za życie" z Arkadiuszem Gołębiewskim pokazaliśmy 10 takich historii, w żadnej nie ma Sprawiedliwych. Na jego premierze w 2007 r. ówczesny ambasador Izraela Dawid Peleg oświadczył, że liczbę ratujących można badać, „tylko stosując naukowe kryteria Yad Vashem". Po czym wyszedł, nie czekając na dyskusję.

Objawiana dziś przez polskich polityków czy dziennikarzy duma, że w liczbie medali Sprawiedliwych i drzewek w ogrodzie Yad Vashem Polska nieco wyprzedza inne nacje, nie ma sensu, bo w Holandii, we Francji czy w Belgii za ukrywanie Żyda współpracujące z Niemcami władze dawały mandat lub traciło się pracę, w Polsce zaś ginęło się w płomieniach wraz ze swymi dziećmi.

Wykazując wielką wdzięczność izraelskiemu instytutowi za honorowanie niektórych polskich bohaterów i uznając jego prawo do posiadania własnych kryteriów, musimy wreszcie zacząć się kierować ustaleniami polskich naukowców z IPN.

Ponieważ zatem medalem Yad Vashem i tytułem Sprawiedliwego został nagrodzony co setny Polak, który ratował Żydów, nieustanne posługiwanie się tylko tą liczbą nie jest oddawaniem hołdu Polakom ratującym Żydów, lecz wręcz przeciwnie – jest zacieraniem prawdy o nich.

Kolejna przepaść



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Konflikt między Polakami a Żydami to spór dwóch ofiar o to, która z nich została bardziej poszkodowana. Żydzi – mając za sobą doświadczenie Holokaustu – nawet przez chwilę nie przyjmują do wiadomości, że ktokolwiek może się z nimi równać w martyrologii. Więcej, uważają to za bluźnierczą uzurpację. I w obecnym konflikcie z Izraelem nie chodzi – jak sądzę – o „polskie obozy śmierci", lecz właśnie o tę emocję, którą wywołuje u Żydów myśl, że Polacy chcieliby zakazać mówienia o swoich przewinach, a zatem zrównać się w męczeństwie z ofiarami Holokaustu.

Co powinna w tej sytuacji zrobić Polska? Na pewno nie powinna się kajać, bo nikt nie może od nas wymagać, abyśmy wyżej cenili żydowską wrażliwość od własnej. Zamiast tego możemy wskazać, że tego rodzaju presja jest przeciwskuteczna i nie służy wzajemnym relacjom. Więcej: tworzy kolejną – tym razem całkiem współczesną – przepaść między naszymi narodami.

Obawiam się, że w tej sytuacji o jakimkolwiek trwałym porozumieniu mowy być nie może. Bo nawet oczywiste interesy polityczne Izraela ustąpiły tutaj przed silną ekscytacją przeszłością. W tym sensie jest to konflikt nierozwiązywalny, jałowy, wywołujący jedynie wielkie szkody, a zatem niesłużący niczemu. Ale nie dajmy sobie wmówić, że za ten spór też ponosimy winę.

Autopromocja

eprasa.pl 3bfe60f465

SIECI spis treści



26 Z prof. Jackiem Czaputowiczem *rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy*



53-64 Czas sportowych emocji *Dodatek specjalny na igrzyska w Korei*



42 Nanga Parbat: sukces w cieniu tragedii *Jaromir Kwiatkowski*

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **LEŚNE CZATY**
Krzysztof Feusette

11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Michał Korsun, Paweł Korsun

12 **KONIEC ZŁUDZEŃ**
Jan Pietrzak

13 **ZROZUMIEĆ DRUGĄ STRONĘ**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **KRÓTSZA DROGA DO ALIMENTÓW**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **NIE DAĆ SIĘ ZGNIEŚĆ**
Piotr Skwieciński

26 **Z PROF. JACKIEM CZAPUTOWICZEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

31 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawia Jacek Karnowski

35 **„GAZETY SĄ PEŁNE ŻÓŁCI"**
Aleksandra Rybińska

38 **ZACZĘŁO SIĘ OD KŁAMSTWA**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

40 **KOALICJA POTIOMKINOWSKA**
Stanisław Janecki

42 **NANGA PARBAT: SUKCES W CIENIU TRAGEDII**
Jaromir Kwiatkowski

45 **STO PRACOWNI ORANGE NA STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI**
Maksymilian Wysocki

46 **WYBRZEŻE POD MĘTNĄ WODĄ**
Piotr Filipczyk

49 **POD CZUŁĄ OPIEKĄ**
Anna Raciniewska

SIECI KULTURY

65 **GARY OLDMAN I WIELKOŚĆ CHURCHILLA**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **HORUBAŁA, CZYLI POZA**
Piotr Zaremba

71 **W MUZYCE I OPERZE**
Adam Ciesielski

72 **KORONA DLA KAŻDEGO**
Piotr Gontarczyk

75 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

76 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

78 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

ŚWIAT

80 **ROK NIESPOKOJNEGO TRUMPA**
Grzegorz Górny

82 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

HISTORIA

84 **MÓJ WUJ, WITOLD PILECKI**
Z Andrzejem Ostrowskim rozmawia Dorota Łosiewicz

GOSPODARKA

87 **ORLEN. CZAS NA NOWE WYZWANIA**
Anna Raciniewska

90 **SPOSOBY NA WOLNĄ NIEDZIELĘ**
Ewa Wesołowska

SPORT

98 **ZAPLANOWANY SUKCES**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: AGATA KONARSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

104 **W ŚWIECIE RÓŻOWYCH KUCYKÓW**
Piotr Skwieciński

106 **HIMALAJE CYNIZMU**
Wiktor Świetlik

107 **MY WIEMY**
Aleksander Nalaskowski

108 **RYBY PO ŻYDOWSKU**
Robert Mazurek

110 **POLSKA W CIENIU HAGADY**
Wojciech Wencel

111 **ETYKA POŁOWICZNA**
Wojciech Reszczyński

112 **NANGA PARBAT**
Dariusz Karłowicz

114 **TO NIE JEST BITWA O PAMIĘĆ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

27/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465



KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 3bfe60f465

Z życia koalicji

Naczelnik kazał wypowiedzieć wojnę Żydom. Hm, nie chcemy wieszczyć, ale Gomułka się na tym przejechał.



Rzecz jest oczywiście bardziej skomplikowana i jak wszystko w polskiej polityce może się zmienić, ale podczas narady na Nowogrodzkiej było tak, że ***Kaczyński*** wcale nie miał ochoty umierać za ustawę o IPN, do której nikt w PiS specjalnie nie ma serca („Samo tak wyszło"), ale po żądaniach Netanjahu i Amerykanów uznano, że nie można się cofnąć, „bo nas wyborcy rozszarpią". Dlatego złamano opory Karczewskiego i zażądano, by Senat ustawę klepnął ekspresowo i nocą. Senat, izba refleksji i drzemki, pracował nocą?



Wróble z kancelarii premiera ćwierkają, że stosunki między ***Beatą Szydło*** a Mateuszem Morawieckim są ciepłe i serdeczne niczym uśmiech Krystyny Pawłowicz. Dlatego pierwsze posiedzenie komitetu społecznego czy jak się tam nazywa ta atrapa, którą kieruje Szydło, odbyło się dopiero półtora miesiąca po rekonstrukcji rządu. Aha, na posiedzenie przyszedł nawet Morawiecki. Wyluzowany jak katatonik.

Aha, pan premier wygłosił orędzie do narodu, że jednak wojny z Żydami nie będzie. Bardziej niż treść zainteresowała nas forma. Okazuje się bowiem, że ludzie cierpiący na permanentny szczękościsk też mogą mówić. To znaczy mogą, tylko po co?



Ale żeby nie było, że kpimy z Beaty Szydło i zarzucamy jej, że nic nie robi. Otóż robi – jeździ nałogowo po Polsce i wszędzie witają ja tłumy, bo naród – na złość ***Morawieckiemu*** – kocha swoją Beatę. Jak na kampanię do Parlamentu Europejskiego trochę za wcześnie, ale trzeba przyznać, że imponuje nam, twarda babka. Aha, znajoma stylistka apeluje, żeby zmieniła ciuchy, bo te ją postarzają. E tam, nie zmieniaj, Beata.

Nie wszyscy wiedzą, ale pani premier zachowała sobie, prócz limuzyny i rządowego lokum, również Rafała Bochenka. Były rzecznik rządu jest teraz rzecznikiem Beaty Szydło albo kimś takim. A poza tym zawsze się przyda na podorędziu ktoś, kto powie, jaka dziś pogoda. W randze ministra.

A co z patronem Gangu Tapirów Elżbietą Witek? Ano prasa donosi, że razem ze swoją byłą szefową, premier Szydło, wybiera się do Parlamentu Europejskiego. Od dawna uważaliśmy, że te nowe zęby i europejska fryzura nie mogą się zmarnować.

Ale żeby pani Witek nie było zbyt miło, to w tym samym dolnośląskim okręgu miałaby startować również Matka Kempa. Co prawda okręg spory, jak dobrze pójdzie, to nie dwa, a nawet trzy mandaty PiS tam łyknie, ale jednak towarzystwo tapira Kempy to zbyt wiele. W tej sytuacji prosimy nie brać naszych kandydatur pod uwagę. Przynajmniej nie w tym okręgu.

À propos Brukseli, to w PiS zwycięża pogląd, że zacni działacze PiS powinni mieć limit – dwie kadencje maks, bo inni też się chcą dorobić. To się podoba w kraju, ale w Brukseli jakby mniej. Największy problem byłby, co zrobić z takim Ryszardem Czarneckim (trzy kadencje), który mierzy wysoko i uważa, że niżej ministra spraw zagranicznych to się nie godzi. To może zostałby marszałkiem Sejmu? Rotacyjnie: tydzień on, tydzień Kuchciński, tydzień Macierewicz...



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk (x 2)

eprasa.pl 3bfe60f4

Z życia opozycji



Pierwszy wielki sukces werbunkowy ***Ryśka z Planu***! Oto na konferencji Planu Petru w otoczeniu Ryśka pojawił się Marcin Święcicki, obecnie w Platformie, ale wcześniej i sekretarz KC PZPR, i działacz Unii Demokratycznej, potem Wolności, i w ogóle figura. Pan poseł znany jest również z tego, że za jego prezydentury w stolicy centrum Warszawy wyglądało jak blaszane slumsy Nairobi. Szykuje się kapitalny Plan, panie Rysiu.

Dla dociążenia na pokład Ryśka z Planu trafił również kolejny wielki ekspert gospodarczy, Waldemar Pawlak. Ten pożeracz serc niewieścich znany jest z wielu rzeczy, ale głównie z tego, że mówi mało, więc wszyscy automatycznie myślą, że mądrze. Niestety, amerykańscy naukowcy odkryli, że małomówni też pieprzą głupoty.



TYGODNIA

Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Kobieta największym przyjacielem kobiety, nieprawdaż? A już lewicowa kobieta to w ogóle. Przyszło to nam do głowy, gdy znajomy z Partii Razem powiedział nam, że jego partyjne koleżanki mówią o Barbarze Nowackiej per „Kawiorowa Baśka". Trafnie, ale polecamy rzut oka na lustro.

W każdym razie ferie się skończyły, wakacje na Bali również, więc Kawiorowa Baśka zwołała wielką naradę opozycji. Cała przybyła opozycja zmieściła się w windzie.

To, że z Kawiorową Baśką nie chcą się jednoczyć Platforma ani Nowoczesna, to było wiadomo, ale że nawet Biedroń ma w nosie Baśkę? Sorry, najwyżej Basia Nowacka zjednoczy się z redakcją „Wysokich Obcasów". Tam dziewuchy mają lepsze ciuchy niż Scheuring-Wielgus.

À propos Aśki Scheuring-Wielgus, to cały Tercet Egzotyczny (prócz niej jeszcze Myszka Agresorka i nieszczęsny Myszkowski) się odwiesił. Serio. Bo w ramach złości na świat się zawiesili w Nowoczesnej, a teraz myk i odwieszeni. Mówiliśmy, że w cyrku zrobiliby karierę?

Trwa gombrowiczowski festiwal min w Platformie. Oto trójka usuniętych z partii (Fabisiak, Biernacki, Tomczak) udaje, że wcale nie chcą wrócić do PO, a już na pewno prosić się nie będą. Z kolei cała reszta, a zwłaszcza partyjne władze, udaje, że wcale ich nie chce przyjąć. W normalnych warunkach ta zabawa potrwałaby do wyborów, aż łaskawie by ich przyjęto, ale nie jest powiedziane, że Platforma przetrwa tak długo.

Biedny ten Nitras, no aż żal chłopaka. Bo z jednej strony spełniają się marzenia Sławka, który bardzo chciał kandydować na prezydenta Szczecina (ma tam spore szanse, by nie powiedzieć wygraną w kieszeni), ale nie bardzo jest kiedy to ogłosić, bo ciągle coś przykrywa to wielkie wydarzenie. Sławek, jakbyś pojechał do Jerozolimy i lutnął Netanjahu w karczycho, toby się przebiło.

Pisaliśmy już o tym, że prokuratura chce zabrać immunitet i aresztować Staszka Gawłowskiego, zachodniopomorskiego barona PO. To teraz relacja jednego z dwóch, trzech najważniejszych platformersów: „Staszek siedział w domu i pił ze zgryzoty, czekając, aż go aresztują, ale przyszły papiery z prokuratury i teraz pije z radości. Nie przesądzając o jego niewinności [tu był szeroki uśmiech], nic mu nie zrobią".

A skąd radość Gawłowskiego? Ano my też czytaliśmy ten wniosek prokuratury. I powiemy tak: w żadnej szanującej się podstawówce to nie starczyłoby na obniżenie stopnia ze sprawowania. Tam po prostu nic nie ma. To jest żenada dekady, a jak kto nie wierzy, niech sam przeczyta.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 3bfe60f465

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

„Atakują was, bo rośniecie w siłę” – stwierdził kilka tygodni temu na łamach „Sieci” George Friedman. No i proszę. Sądząc po sile ataku i jego perfidii, idziemy naprawdę w dobrym kierunku. A więc wiadomo, co trzeba robić: nie pękać, nie panikować, stać przy dobrej zmianie, ale też trzymać nerwy na wodzy.

PiS twardo przepchnęło ustawę o „polskich obozach śmierci” przez Senat. PiS, bo rząd zachwycony nie jest. Rząd zaczął łagodzić konflikty, miał już pierwsze sukcesy, a tu taka jatka. Ale Kaczyński zdecydował dobrze: na tym etapie nie można było się wycofać. To jest jeden z jego największych talentów: wyczucie podmiotowości.

PiS dobija do ***50 proc. poparcia***. Ile będzie miało po tej awanturze? Mniej na pewno nie. Niezależnie od strat, jest pewna korzyść: Polacy coraz jaśniej widzą, że mamy polski rząd. Jak to mówią sąsiedzi znajomego pisowca: „Panie, skąd pan wiedziałeś od tak dawna, że tamci to złodzieje i zdrajcy?”.

Według kalendarium spotkań ze stroną izraelską, opublikowanego przez Ministerstwo Sprawiedliwości, ambasador Anna Azari ***interesowała się m.in. komisją weryfikacyjną***, czyli tą, która odbiera ukradzione kamienice. Zgłosiła obawy, że „działalność komisji może zagrażać interesom obywateli Izraela”. Gosh!

Rafał Ziemkiewicz określił Żydów na Twitterze mianem „parchów”, a potem wdał się w pogawędkę o „żydowskich komorach gazowych”. On akurat trzyma nerwy na wodzy, bo to nie były emocje, ale banalna troska o uwagę, o bycie w centrum „debaty”. Co czyni sprawę jeszcze brzydszą. Każdy, kto rzuca dziś w przestrzeń słowo „parchy”, daje Polsce potężnego kopniaka.

Jeden z przyjaznych Polsce Izraelczyków tłumaczył nam cały konflikt tak: ***„U nas jest czasem większy bałagan niż u was.*** Na ambasadorów wysyłają po znajomości, nie liczą się kompetencje, ale układy. No a wy mieliście wyjątkowo mało szczęścia w tej loterii”. Bez przesady. Pani Azari była naprawdę sympatyczna, chyba nieprzesadnie kochała „GW”, do tego szczerze wyznała, że „musiała” zrobić to, co zrobiła. Mogło być dużo gorzej.

Ale ogólnie Izrael pokazał nam, że ***nie ma żadnego „sojuszu”***. Tel Awiw sieknął mocno, celnie i raczej w plecy. Do tego w sprawie dla nas i prestiżowej, i gardłowej. Podeptali niezły dorobek, dobrą wolę i spore wydatki. A że zrobili to w czasie swojej kampanii wyborczej? A kto usprawiedliwiałby Polaków kampanią wyborczą, gdyby u nas przed wyborami odżył antysemityzm?

Nasza perełeczka, czyli ***Adam Michnik***, tak oceniła to, co obecnie dzieje się w Polsce: „Znam tę melodię i ten charakter pisma; to muzyka i słowa komunistów Mieczysława Moczara z 1968 r. Ci z kolei powtarzali monologi przedwojennych faszystów z ONR”. Oni umrą, wciąż się bojąc tego „Mietka”, jego „partyzantów” i ONR. Jak zacięta płyta winylowa.

A Agora znów będzie zwalniała. Na bruk ma pójść 53 pracowników segmentu prasy. Tak, oddanie władzy w firmie korpoludkom było drugim największym błędem Michnika. Pierwszym było oczywiście nagranie i zniszczenie Rywina, a tym samym uśmiercenie jakichkolwiek szans na dużą telewizję dla Agory.

Donald Tusk też postanowił „pomóc Polsce”. Po swojemu, czyli również kopniakiem. Że niby „autorzy ustawy wypromowali to podłe oszczerstwo na cały świat, skutecznie jak nikt dotąd”. Oto cała filozofia tego pana w pigułce: oszczerstwo (problem) zniknie, jak będziemy siedzieli cicho. Dziś widać, że Polska jedynie cudem przeżyła jego rządy.

Tusk pisze tweety, ***Schetyna też pisze***. Niestety, mimo wysiłków nie byliśmy w stanie zapamiętać, o czym pisze. Schetyna to jest naprawdę zjawisko: lider opozycji, który nie ma żadnego emocjonalnego kontaktu z żadną częścią opinii publicznej. Nikt go nie lubi, ale i nikt nie zieje specjalną nienawiścią. W sumie polityk jak z XIX w. A ponoć PO to modernizatorzy.

W zeszłym tygodniu pisaliśmy ***o Adamie, do którego biegają ludzie*** chcący opisać centralę PiS w stylu „Fire and Fury”. W związku z nieporozumieniami wyjaśniamy: nie chodziło nam o tego, który odszedł.

Sygnalista



66/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465



Oglądaj najlepszych sportowców świata w olimpijskiej rywalizacji. Zobacz jak Zbigniew Bródka, Justyna Kowalczyk, Kamil Stoch, Artur Waś i Weronika Nowakowska walczą o najważniejsze sportowe trofeum - złoty medal igrzysk olimpijskich.

Oglądaj Zimowe Igrzyska Olimpijskie Pjongczang 2018 i kibicuj naszym tylko w Telewizji Polskiej.

PyeongChang 2018

TVP

OFICJALNY NADAWCA

eprasa.pl 3bfe60f465

Leśne czaty



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wysoki sądzie, myśmy tych emerytur nawet nie tknęli.

Było tak: mieliśmy iść ze szwagrem normalnie na nocne grzyby. Fakt, zimą grzyba znaleźć trudno, ale my już mamy taki swój rytuał, że w każdy środkowy piątek nieparzystego miesiąca idziemy i już. Żony marudzą, czemu nie w pierwszy albo ostatni, aleśmy im wytłumaczyli, że środkowe są dwa, więc tak zostało.

Tamtego feralnego dnia szwagier przyszedł dużo wcześniej i jakoś dziwnie przebrany. Prawie jak komandos, na głowie garnek pięciolitrowy, tylko mu z uszu (garnkowych, nie jego) jakieś igliwie wystawało. „Ale się urwał z choinki" – myślę. A on tylko głos ściszył. „Ubieraj się, dziś żartów nie będzie" – mówi. „A niby kiedy były?" – pomyślałem, bo myśmy zawsze wracali poważnie zrobieni. No ale nic, od żony człowiek sweterek khaki pożyczył, dziecko po twarzy brązową akwarelą pociągnęło, około północy byliśmy już w lesie. „Kucaj – mówi szwagier – i obserwuj, a ja broń przeładuję". „Jezus Maria – myślę – to myśmy na dzika przyszli, nie na grzyby". A on tylko młotek z plecaka do kieszeni przepakował, lornetkę z Myszką Miki od dziecka pożyczoną wyjął i obserwuje. „Szwagier, na kogo my czekamy, bo zimno się robi, a myśmy jeszcze nic na klatę nie przyjęli..." – mówię. „Cicho – szepcze – bo się spłoszą".

Pięć minut mija, dziesięć, gałęzie w tyłek wchodzą, w końcu cierpliwość mi się skończyła: „Mów, o co się tutaj rozchodzi, bo jak nie, to ja się do baru zawijam".

Jak mnie w kominiarkę trzasnął, to mi tylko klapki opadły. „A co ty? TVN nie oglądasz, ciemniaku tresowany?" – pyta. „Oglądam – mówię – ale o grzybach nic nie było. »Taniec pod gwiazdami« będą u nas nagrywać?". Spojrzał jak na idiotę. „Człowieku – dyszy – ty masz braki w edukacji większe niż Petru. Ogarnij się, zanim się zacznie. Faszyści są w lesie". „Faszyści? U nas?" – pytam, ale coś mi się wydaje, że od niego coraz mocniej Protasiewiczem zajeżdża. „W naszym i w każdym innym, gamoniu. Pięciu już złapali, a to jest dopiero początek góry ludowej" – mówi. „Chcesz flaszkę doić, a oni ci w tym czasie łapankę na działkach urządzą?". „Na działkach? A za co?" – pytam speszony, bo mi jakoś ta trzecia wojna rzeczywiście umknęła. „Wszystko jedno, na działkach czy pod mięsnym, najważniejsze, że wrócili i Hitlera wywołują!". „Hitlera? Niby jakim cudem?". „Nie cudem – wrzeszczy – tylko waflami! A tak się akurat dziwnie składa, że w geesie wczoraj się skończyły!". „No i co?". „Jak to: no i co? Wykupili, żeby swastyki na ciastach rozkładać!".

Całkiem zgłupiałem. Okolica zawsze dość spokojna była, jeśli naszych powrotów z zagajnika nie liczyć. Pół niewybuchu dzieci na wycieczce nie znalazły, jagody niezadeptane, a po niemiecku to nawet ksiądz proboszcz nie umie ani słowa. To skąd faszyści? Insza inszość, że szwagier skłonności do konfabulacji od dawna przejawiał. Kiedyś Indianina na traktorze wypatrzył, a to sołtysowa na stopa z solarium wracała. Więc pytam, czy to nie jakieś nieporozumienie.

„Sam jesteś nieporozumienie! Wszyscy o tym mówią. Wałęsa i biskup Pierunek, i Kim nawet". „Ten z Korei" – zagaduję, żeby sprawdzić, czy mi szwagra bardziej niż Giertycha nie pogięło. „Nie z Korei, tylko od Lisa, i nie ten, a ta" – mówi. „A powiedziała, że się Żydzi w czasie wojny często i gęsto bardziej Polaków bali niż Niemców, i mnie się oczy otworzyły" – sapie. „Przytulała władza nazistów, aż się jej ręka urwała, rozumiesz?". „Nie bardzo. Przecież my teraz z Niemcami jak Paweł i Gaweł żyjemy". „Tu nie o Niemców się rozchodzi – mówi szwagier – bo oni teraz są po drugiej stronie, a myśmy na stronę okupanta przeszli...". Aż mi się zimno zrobiło. „To może i obozy nasze były?" – pytam, bo już mi się w głowie kręci. „A może nie?" – pytaniem mnie odpowiada. „Nie słyszałeś, co ambasador Iza Ela mówiła? Że nie można mówić, że nie były!". „To myśmy na Niemców napadli, nie oni na nas?". „Dokładnie tak" – mówi. „I teraz to się odradza. Rasizmy, faszyzmy, nazizmy – wszystko. Myśmy w kłamstwie tkwili, a »Hitlerowski« to się jednak wielką literą pisze, bo to jest nazwisko po prostu. A czyje nazwiska się na »ski« kończą, ciemnoto zakazana?!".

Nic nie powiedziałem, nie będę się z chłopem kłócił, jak ja z całej prawdy całą dobę to tylko na Wernerową czasem popatrzę, a »Wyborowej« to już nawet za darmo nie wezmę, odkąd nam kanalizację na dwa dni zatkała. „A jak ich rozpoznać?" – pytam. „Po mundurach! SS mają na ramieniu, wronę na czapce i swastykę będą jarać zamiast papierosów". „Ale czy ty myślisz, że to ktoś od nas będzie? Przecież u nas już prawie młodych nie ma, a staremu by się chyba przebierać nie chciało...". „Cicha woda" – rzecze. „Licho nie śpi, my też nie będziemy!". „Nie przekonam go" – myślę. „Zresztą, strzeżonego Pan Bóg strzeże. A jakby się mieli zalęgnąć, to się kamery od razu zaczną po lesie kręcić i nam sprzedaż kurek do zera spadnie...".

Dlatego jak ten w mundurze na nas zza sosenek wylazł, to szwagier go od razu hyc na glebę i dawaj mu wafli po kieszeniach szukać. Tamtemu czapka spadła, listy się rozsypały... Ale myśmy tych emerytur nawet nie tknęli.

Szwagra niestety karetka zabrała, kiedy na tę żmiję wdepnął. Twarzy nie kojarzę, ale pamiętam, co potem na fujzbuku napisała – że Polacy na wojnie Żydów mordowali! Z chciwości i podłości. Ludzie gadają, że wie, co mówi, bo sama chciwa jest okrutnie. A i podła wielokrotnie, konkretnie na głowę.

eprasa.pl 3bfe60f465

Wychowania w trzeźwości cd.

Pan prezydent podpisał kolejną pożyteczną nowelizację ustawy

Chodzi o wychowanie w trzeźwości, przeciwdziałanie alkoholizmowi oraz bezpieczeństwo imprez masowych. Wzruszyłem się osobiście.



Ryszard Makowski

To jest lifting ustawy z 26 października 1982 r. Tak, tak, od lat państwo dba, żebym się nie wstawiał bez sensu. Sam Jaruzel propagował tzw. kulturę picia swoim trepowskim rozumem: sprzedaż alkoholu od godz. 13, wódka na kartki (pół litra na miesiąc) czy śladowe ilości piwa w sklepach. Odgórne wdrażanie abstynencji owocowało nielegalnym handlem wódą na mecie. Kolega miał opracowany tekst zagadujący, gdy nie był pewien, czy znalazł się pod właściwym adresem: „Nie zostało coś z wesela?". Inny znowu kolega żalił mi się, że w aptece wisiał wielki plakat: „Nie proponuj, nie namawiaj, nie zachęcaj", a na nim dwa apetyczne, zmrożone kieliszeczki. Takiego smaka złapał, że musiał coś spożyć.

Ograniczenie liczby punktów i godzin sprzedaży może ma sens dydaktyczny, ale restrykcje za picie w plenerze to zbędny rygor. Jedno z moich piękniejszych wspomnień z czasów studenckich. 9 rano, boczna ławka w Łazienkach, mamy po rieslingu na twarz, złoty październik. Było cudnie. Kontakt z przyrodą, miłe rozmowy, pełen luz. Teraz nie będzie można nawet wypić piwa w upalny dzień nad Wisłą, nie wchodząc w konflikt z prawem.

Tym razem, gdyby pan prezydent skorzystał z prawa weta, zdobyłby spory elektorat. Z pijaństwem należy się mierzyć, ale tak, żeby nie było legislacyjnego kaca.

KORSUN *chili* KORSUN



Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock

Angielskie słowo „quisling" [kłizling], oznaczające „kolaboranta", nie pochodzi z łaciny ani z greki, ale od nazwiska Vidkuna Quislinga – dwukrotnego premiera w norweskim odpowiedniku francuskiego Vichy. Osioł z Oslo wsławił się jako oddany sługus Hitlera i „utalentowany" organizator deportacji swoich współobywateli, w tym Żydów, do NIEMIECKICH obozów.



Paweł Korsun

Biorąc pod uwagę fakt posiadania pod dachem podręcznikowego kolaboranta, zadziwia zapał fokobójcy, z jakim media z landu fiordów i mordów atakują nas za przypominanie, że Polska nie Norwegia, swoich (i nie tylko) obywateli żydowskiego pochodzenia chroniła, ratowała i alarmowała świat o horrorze Holokaustu. Zadławieni tranem dziennikarze najpierw w gazecie „Verdens Gang" (mylić z Gangiem Olsena) zarzucili Polakom zabicie „tysięcy Żydów". Następnie konserwatywny portal z kraju kolaborantów nazwał kolaborantami naród Sendlerowej, Żabińskich, Ulmów, Pileckiego, Karskiego i tysięcy osób, które w przeciwieństwie do quislingów narażały lub straciły życie, ratując Żydów.

Wielorybnicy powinni poczytać amerykańskie i brytyjskie raporty z 1919 r., udowadniające poczytnym gazetom szerzenie w USA propagandy nt. antysemityzmu w odradzającej się Polsce m.in. poprzez nazywanie byle sprzeczki pogromem i przypadki podnoszenia liczby ofiar poszczególnych zajść z kilku do kilku tysięcy. Histeria się powtarza. Napiszcie lepiej co u Breivika.

eprasa.pl 3bfe60f465

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Koniec złudzeń



Jan Pietrzak

Dawno w Polsce nie widziano antysemityzmu. Komuś to przeszkadzało i przełożył wajchę. Ciekawe, kim jest wajchowy o tak potężnych możliwościach.

Zaskakująco agresywna reakcja rządu Izraela i Światowego Kongresu Żydów na ustawę Sejmu penalizującą kłamstwo pod nazwą „polskie obozy śmierci" to nieprzypadkowy odruch niezrozumienia, to sztabowa decyzja o ataku. Fragment akcji znieważania Polaków, zohydzania Polski. Kolejny epizod wojny psychologicznej z naszym narodem.

Robiono z nas faszystów po Marszu Niepodległości, robiono rasistów po odmowie wpuszczenia islamistów, teraz stajemy się antysemitami. A tak ładnie układało się między Tel Awiwem a Warszawą. Rosną obroty handlowe, biznesy izraelskie w Polsce kwitną, festiwale muzyki żydowskiej gromadzą liczną widownię, byli obywatele PRL masowo odnawiają sobie polskie obywatelstwo... I nagle szlus! Koniec złudzeń.

Nasz młodzieńczy prezydent w rozmowie z Bronisławem Wildsteinem wyznał, że jest zbulwersowany i nie rozumie. Przywilej młodości. Natomiast my, starzy felietoniści, musimy rozumieć, że stało się coś złego. Samo się nie stało. Rząd Izraela naucza nas historii. Ujrzeliśmy zero dyplomacji, złą wolę i fałszywe urazy do Polski.

Izrael przyjął niemiecką wersję II wojny światowej, którą prowadzili źli naziści. Niemcy istnieli gdzieś na marginesach wojny, nie mając pojęcia o obozach śmierci. Oni tylko wykonywali rozkazy... itp. Kilka lat po wojnie Adenauer z Ben Gurionem ustalili, by jak najrzadziej wspominać o Niemcach, a jak najczęściej o nazistach. Kiedy światowa opinia publiczna co pewien czas rozglądała się za nazistami, okazało się, że w zasadzie w Niemczech ich nie ma. Natomiast są w Polsce, bo tu istnieją „nazistowskie obozy śmierci". Cierpliwie, rok po roku obozy zmieniały nazwę na „polskie" w encyklopediach, podręcznikach, przemówieniach... Fałsz stał się poprawny politycznie.

Od paru dni oglądamy w Polsce rewię naiwniaków z żarliwością zapewniających, że wszystko się wyjaśni, bo my chcemy tylko prawdy. Izraela nasza prawda nie interesuje. Oni prawdę ustalają z wajchowym.



Fot. Marcin Makowski

Spełniać swoje marzenia

Z Martą Bryłą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest Marta Bryła?

Marta Bryła: O, jak miło usłyszeć pytanie, kim ja jestem, a nie postać, którą gram w „Koronie królów". Jeszcze studiuję. W szkole teatralnej we Wrocławiu. Byłabym na III roku, ale wzięłam urlop dziekański. Coś za coś, chociaż oczywiście to, co robię, łączy się z zawodem. I wspaniale, że mogę swoje marzenia realizować na planie. Na dodatek takiej produkcji.

Co było wcześniej?

Parę serialowych epizodów. I postać, którą gram w „Na dobre i na złe". To „ta dziewczyna", która „ma dziecko z tym lekarzem"... Ale żadna z ról nie przyszła do mnie sama. Cały czas chodziłam na kastingi, próbowałam.

Takie parcie na szkło?

Od małego marzyłam o występowaniu. Nikt w rodzinie nie jest z aktorstwem związany, więc niektórzy przestrzegali mnie, że bez poparcia nie dam sobie rady. Okazałam się jednak żywym przykładem, że jeśli czegoś bardzo chcemy i jasno to określimy, cel jest do osiągnięcia.

Jaki cel ma Aldona Anna?

Zostać królową.

A kim jest pani bohaterka?

Przede wszystkim żoną Kazimierza, najpierw następcy tronu, potem króla. Jest też córką wielkiego księcia Litwy Giedymina. Mimo upływających lat wciąż ma w sobie pewną zadziorność, buzuje w niej gorąca litewska krew. Na początku trudno jej się odnaleźć na dworze, zaakceptować panujące tam reguły. Z czasem rozumie, że są zasady, które obowiązują przyszłą królową. I postanawia się do nich dostosować. Na ile jednak może, pozostaje sobą.

eprasa.pl 3bfe60f465

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zrozumieć drugą stronę

Traktowanie dobrego imienia innego kraju jako obojętnego żetonu w partyjnej grze powinno budzić oburzenie

Beniamin Netanjahu został gwałtownie zaatakowany przez przywódców dwóch głównych sił opozycyjnych Izraela, którzy zarzucili mu uległość wobec Polski i kompromisy w sprawie pamięci zabitych. Jednym z nich był Yair Lapid znany już nam z tego, że odwoływał się do historii swojej rodziny, aby dowodzić, iż Polacy uczestniczyli w Holokauście. Konrad Kołodziejski na portalu wPolityce.pl zwrócił uwagę, że z powszechnie znanych danych wynika, iż polityk mówił nieprawdę, a jego rodzina nie ma nic wspólnego z naszym krajem. Zwrócił się w tej sprawie z pytaniem do zainteresowanego i – naturalnie – nie uzyskał odpowiedzi.

Sprawa ta pokazuje, że stanowisko Netanjahu, tak bardzo oburzające Polaków, jest umiarkowane na politycznej mapie Izraela. Można przyjąć, że liderzy opozycji wykorzystali nowelizację ustawy o IPN, aby uderzyć w swojego politycznego konkurenta. Sugeruje to dodatkowo zachowanie Lapida, który nie wahał się podpierać fałszywymi historiami rodzinnymi. Traktowanie dobrego imienia innego kraju jako obojętnego żetonu w partyjnej grze powinno budzić oburzenie. Czy jednak Polacy mają prawo być tym zdumieni, oglądając trwające już ponad dwa lata popisy totalnej opozycji, która – aby zohydzić swojego rządzącego przeciwnika – posługuje się pomówieniami podważającymi prestiż nie tylko naszego państwa, lecz całej wspólnoty narodowej?

Wewnętrzna, polityczna gra może być wyjaśnieniem zmiany stosunku izraelskiego rządu do polskiej ustawy. Netanjahu mógł zorientować się, że zostanie ona wykorzystana przeciw niemu, a więc ostrym wystąpieniem chciał zniwelować siłę tego uderzenia. Ustawa prowokuje Żydów, gdyż tworzy ograniczenia dotyczące Holokaustu, a więc sprawy kardynalnej dla tego narodu. Wprawdzie chodzi w niej tylko o to, aby wbrew prawdzie nie przypisywać odpowiedzialności za tę zbrodnię narodowi polskiemu, ale termin „naród" w przeciwieństwie do „państwa" nie jest precyzyjny. Poruszeni ustawą, którzy znają ją głównie z cytatów, obawiają się, że nie będzie wolno dochodzić winy konkretnych Polaków czy środowisk. Izraelczycy przywiązani są do wolności słowa, a do wolności badań w kwestii próby wytępienia ich narodu w szczególności. Znamienne, że wśród głosów protestujących przeciw obecnej nagonce na Polskę – a nie są one odosobnione w Izraelu – z reguły pojawia się także krytyka ustawy jako ograniczającej wolność słowa.

Żydzi kultywują pamięć o Holokauście, ale nie znaczy to, że również wiedzę o złożonych stosunkach narodowościowych w II Rzeczypospolitej i na jej ziemiach pod niemiecką okupacją. Dziś nie odróżniają już Litwinów czy Ukraińców zamieszkujących te tereny od Polaków. I – co najważniejsze – pamięć tamtych czasów dla tych, którzy przeżyli, wiąże się z trudną do wyobrażenia traumą. Skazani byli na śmierć za swoją narodowość, byli świadkami mordowania swoich najbliższych i całego narodu. Ukrywali się, obawiając się Polaków, którzy mogli ich wydać. Ludzie w takiej sytuacji zawsze najbardziej uczuleni są na zagrożenie, a ich percepcja nie jest racjonalna. Pomoc im dostarczona nigdy nie wydaje się wystarczająca. Wspomnienie Polski dla tych, którzy przeżyli wojnę na jej terenie, to zwykle koszmar. I takie doświadczenie przekazują oni swoimi potomkom. Tak nasz kraj funkcjonuje w świadomości dużej części mieszkańców Izraela.

Dziś, kiedy z niepokojem patrzą oni na ich zdaniem próbę zakazu badania historii, znajdują silne zagraniczne środowiska, które wzmacniają owe lęki. Główne ośrodki opiniotwórcze w Europie i spora ich część w USA zrobią przecież wszystko, aby utrącić „ultrakonserwatywny" rząd Polski, a „cenzura", którą chce on nałożyć na naukowe badania, jest do tego idealnym pretekstem. Zaangażują się w to zwłaszcza Niemcy, którzy chętnie dzielą się winą za Holokaust, a Polsce ciągle o jej narodowym, niemieckim charakterze przypominają. Nie trzeba zresztą sięgać za granicę. Michnik, który na świecie ciągle uchodzi za wolnościowego guru, nie zapomni, aby kolejny raz straszyć, że polscy prokuratorzy ścigać będą „historyków francuskich, angielskich, amerykańskich czy duńskich", i ogłasza nadejście w Polsce faszyzmu. Dlaczego obywatele Izraela mają nie wierzyć takim autorytetom?



Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Wszystkie głupstwa świata

W podmoskiewskim Żawołsku samotna, młoda matka dostała mieszkanie socjalne. I nie byłoby w tym nic dziwnego (w końcu i za Bugiem rozdają mieszkania), gdyby nie to, że lokal jest zrujnowany. Nie działają w nim nawet kuchenka i piekarnik. „Czy widział pan to mieszkanie? Nie chce się tam nawet noworodka wnosić" – żaliła się Rosjanka prezydentowi miasta Aleksandrowi Predtecieńskiemu, do którego przyszła błagać o remont. „Mnie nikt mieszkań nie dawał" – starał się przerwać lament matki „czynownik". W końcu wściekły wypalił: „To po kiego chrzana [w dowolnym tłumaczeniu na polski – po cholerę] rodziłaś?!". Kobieta wstawiła filmik z nagraną rozmową do sieci i... spotkała się z totalnym hejtem internautów. „Facet ma rację. Niektórzy przez 20 lat spłacają kredyt za kawalerkę. Ta dostała za darmo. Jeszcze coś jej nie pasuje. Ma za dobrze" – pisze jeden. „Prezydent ma absolutną rację. Dobrze wiedziała, jak dziecko zrobić, ale nie wiedziała, jak dziecko wychować" – dodaje drugi. A to tylko te w miarę łagodne. Z tej historii płyną dwa wnioski. Żawołsk, podobnie jak niedaleka Moskwa, „nie wierzy łzom". Drugi: „my kulturnyj narod".



Izraelski historyk Israel Gal ogłosił, że zwraca przyznany mu w 2012 r. przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Oczywiście czyni to w proteście przeciwko uchwalonej przez Sejm ustawie penalizującej używanie sformułowania „polskie obozy śmierci". „To hipokryzja i wypaczenie historii, i jest to coś, z czym nie mogę się zgodzić" – stwierdził w wywiadzie udzielonym portalowi Ynetnews.com. „To demoniczne ustawodawstwo, próbujące umniejszyć rolę Polski w nazistowskiej zbrodni". Prezydent z Ruskiej Budy w ogóle miał talent do rozdawnictwa odznaczeń wszem wobec. Na przykład z okazji odsłonięcia Memoriału Wolnego Słowa w Warszawie postanowił uhonorować Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne osiągnięcia w działalności na rzecz wolności słowa w Polsce, za wkład w rozwój wolnych mediów i niezależnego dziennikarstwa" Tomasza Lisa, Jarosława Gugałę, Bogusława Chrabotę i Edwarda Miszczaka. Do tego grona postanowił dołączyć Israela Gala, historyka, który – jak widać – ma poważne problemy z rozumieniem historii jako takiej. Mam tylko nadzieję, że w ślad za Israelem Galem pójdzie publicysta historyczny Jan Tomasz Gross i zwróci swój Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP nadany mu przez innego specjalistę od „rzucania pereł przed wieprze" – Aleksandra Kwaśniewskiego.

Znany amerykański profesor antropologii Philip Carl Salzman w napisanym niedawno artykule „Multikulturaliści unicestwiają zachodnią cywilizację" rozprawia się z ideologią multikulti na przykładzie liberalnej Szwecji. Uważa, że będzie to pierwszy kraj w Unii Europejskiej, w którym islamiści przejmą ster rządów. Najpierw cytuje wypowiedzi prominentnych szwedzkich polityków. „Nie potrafię dojść do tego, czym jest szwedzka kultura. Myślę, że z tego powodu wielu Szwedów zazdrości grupom imigranckim. Wy macie kulturę, tożsamość, historię, coś, co was jednoczy. A co my mamy? Mamy noc świętojańską i takie głupstwa" – stwierdziła Mona Ingeborg Sahlin, przewodnicząca partii socjaldemokratycznej, w rozmowie z grupą tureckiej młodzieży. Ingrid Lomfors zaś, przewodnicząca szwedzkiego rządowego Forum Żywej Historii, powiedziała do grupy oficjeli: „Nie ma żadnej rdzennej kultury szwedzkiej". Były szwedzki premier Fredrik Reinfeldt, przewodniczący Rady Europejskiej w 2009 r., pytał retorycznie: „Czy to jest kraj ludzi, którzy żyli tutaj przez trzy lub cztery pokolenia, czy jest to Szwecja, którą tworzą ludzie, którzy przybyli tutaj w połowie życia? Dla mnie jest oczywiste, że to powinno być to drugie i że będzie to silniejsze i lepsze społeczeństwo, jeśli może być otwarte. Szwedzi jako grupa etniczna są nieciekawi". Zdaniem prof. Salzmana politycy czynią tak, bo nie są mężami stanu, ale urzędnikami, którzy mieli swój topik i dorwali się z nim do władzy. Ich topikiem było multikulti, wykolejone jednostronnym kultem muzułmanina. Będąc u władzy, realizują głównie tę jedną rzecz i nie są w stanie ogarnąć całości. Dlatego muzułmanie stopniowo będą dochodzić do władzy, korzystając właśnie z kultu muzułmanina. A wtedy skończy się popieranie różnych mniejszości, pomoc dla imigrantów i wsparcie finansowe dla państw będących w tarapatach finansowych, ponieważ Szwecja sama stanie się biedna jak mysz kościelna i skrajnie nietolerancyjna. Jedyne, co pozostanie, to fanatyczna nienawiść szwedzkich polityków do Izraela i uwielbienie sprawy palestyńskiej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3bfe60f465

Krótsza droga do alimentów

Nowelizacja przepisów Kodeksu postępowania karnego odnosząca się do dłużników alimentacyjnych, obowiązująca od maja 2017 r., zdecydowanie poprawiła ściągalność należności przeznaczonych na utrzymanie dzieci. Obecnie każdy, kto uchyla się od obowiązku łożenia na dziecko na kwotę równą lub przewyższającą trzymiesięczne zobowiązania, może zostać skazany na grzywnę lub karę roku pozbawienia wolności. W ubiegłym roku liczba osób terminowo wywiązujących się z obowiązku alimentacyjnego wzrosła dwukrotnie, a liczba dłużników gwałtownie zmalała z 2,5 tys. w marcu do 600 we wrześniu. Opisane rozwiązania prawne dotyczą jednak wyłącznie osób, które legitymują się stosownymi orzeczeniami. W dalszym ciągu dojście do etapu prawomocnego zasądzenia alimentów jest w praktyce nierzadko długą i żmudną procedurą.



Marta Kaczyńska

Zgodnie z przepisami Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego rodzice są obowiązani do świadczeń alimentacyjnych względem dzieci. Wedle poglądów wyrażonych w orzecznictwie Sądu Najwyższego dług z tytułu alimentów nie jest długiem wspólnym obojga małżonków. Należność dziecka z tego tytułu składa się w istocie z dwu odrębnych wierzytelności: względem ojca i względem matki. Należy jednak pamiętać, że wykonanie obowiązku alimentacyjnego może polegać w całości lub w części na osobistych staraniach o utrzymanie lub o wychowanie uprawnionego. W takim wypadku świadczenie alimentacyjne pozostałych zobowiązanych polega na pokrywaniu w całości lub w części kosztów utrzymania albo wychowania dziecka. Obowiązek rodziców zapewnienia dziecku utrzymania i wychowania jest niezależny od tego, gdzie ono się znajduje. Zakres świadczeń matki i ojca wyznaczają: poziom usprawiedliwionych potrzeb osób alimentowanych oraz zarobkowe i majątkowe możliwości każdego ze zobowiązanych. Usprawiedliwione potrzeby uprawnionego to potrzeby, których zaspokojenie zapewni dziecku – stosownie do jego wieku i uzdolnień – prawidłowy rozwój fizyczny i duchowy. Trzeba zaznaczyć, że możliwości zarobkowe i majątkowe zobowiązanego określają zarobki oraz dochody, jakie uzyskiwałby przy pełnym wykorzystaniu swych sił fizycznych i zdolności umysłowych, a nie wyłącznie rzeczywiste zarobki i dochody. Należy pamiętać, że niezależnie od tego, czy dzieci żyją wspólnie z rodzicami, czy oddzielnie, mają one prawo do równej z nimi stopy życiowej.

Wykonanie obowiązku alimentacyjnego odnosi się do dzieci, które nie są w stanie samodzielnie się utrzymać. Oznacza to, że wspomniana powinność nie wygasa z chwilą uzyskania przez dziecko pełnoletności, lecz zasadniczo dopiero z chwilą osiągnięcia samodzielności w zakresie zaspokajania swoich potrzeb materialnych. Uzyskiwanie przez dziecko dochodów zasadniczo nie prowadzi do wygaśnięcia obowiązku alimentacyjnego rodziców, chyba że zarobki dziecka umożliwiają mu samodzielne funkcjonowanie.

Przytoczone regulacje prawne pozwalające na ustalenie zakresu obowiązku alimentacyjnego są nierzadko niezwykle czasochłonne. Z początkiem 2018 r. Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiedziało wprowadzenie wzorowanej na rozwiązaniach funkcjonujących na Zachodzie instytucji tzw. alimentów podstawowych. Zasądzenie wskazanych świadczeń miałoby zajmować kilka dni na podstawie specjalnie opracowanego algorytmu uwzględniającego przeciętne koszty utrzymania dziecka w naszym kraju, rokrocznie waloryzowane o wskaźnik wzrostu kosztów życia. Szybkie uzyskiwanie orzeczeń wydawanych w oparciu o precyzyjnie określone zasady ma nie przekreślać drogi do wystąpienia o zasądzenie kwoty dostosowanej do specyficznych potrzeb uprawnionych i możliwości zobowiązanych. Oznacza to, że z chwilą wejścia w życie inicjatywy resortu sprawiedliwości najbardziej podstawowe potrzeby dzieci będą mogły zostać zabezpieczone w zaledwie kilkadziesiąt godzin.

Pomysł skrócenia czasu na zasądzenie alimentów to oprócz programu 500+ i reformy edukacji kolejny gest obecnego rządu skierowany do najmłodszego pokolenia Polaków i ich rodziców.



Pani

MARIOLI CHOJNACKIEJ

Dyrektor Generalnej w Ministerstwie Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej

wyrazy szczerego współczucia i słowa wsparcia w tych trudnych chwilach z powodu śmierci

MAMY

składa

Marek Gróbarczyk

Minister Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej wraz ze współpracownikami

80/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Pro-life na Grammy



Gdy w tym roku na rozdaniu nagród Grammy trendy była biała róża w dłoni, piosenkarka Joy Villa założyła suknię ślubną z antyaborcyjnym przesłaniem. Na sukni gwiazda namalowała płód w tęczowej macicy. Kreację uzupełnił istotny dodatek: torebka z odręcznym napisem „Wybierz życie". Nie zabrakło portali, które zatytułowały swoje teksty: „Wielka afera na gali", „Skandal! Płód na sukience", „Skandaliczna stylizacja". A moim zdaniem Joy Villa po prostu zadała szyku i wykazała się odwagą. Kto powiedział, że dosadnie wolno wyrażać tylko tzw. postępowe poglądy?



38,434 mln

tyle na koniec 2017 r. wyniosła liczba ludności Polski – podał Główny Urząd Statystyczny. To o blisko tysiąc osób więcej niż rok wcześniej. Po raz pierwszy od sześciu lat liczba Polaków wzrosła.

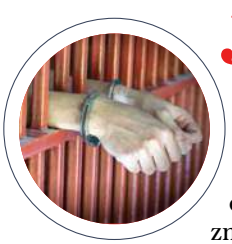
100 mln zł

nowoczesny sprzęt ratowniczy o takiej wartości trafi do Ochotniczych Straży Pożarnych w całym kraju. Środki będą pochodzić z Funduszu Sprawiedliwości. Ministerstwo Sprawiedliwości ogłosiło start ogólnopolskiego programu.

4,4 proc.

tyle w grudniu 2017 r. wyniosła według Eurostatu stopa bezrobocia w Polsce. To o 0,1 pkt proc. mniej niż miesiąc wcześniej. W Unii Europejskiej stopa bezrobocia w listopadzie wynosiła 7,3 proc. W strefie euro osiągnęła wartość 8,7 proc.

Zmiennowiekowość



Joseph Roman to 38-latek z Chicago, który został oskarżony o notoryczne molestowanie trzech dziewczynek w wieku od sześciu do ośmiu lat. Mężczyzna przyznał się do zarzutów, jednak wyznał przed sądem, że jest dziewięciolatkiem uwięzionym w ciele dorosłego człowieka. Zgodnie z amerykańskim prawem możliwe jest zadeklarowanie swojej płci. Skoro więc można być zmiennopłciowym, Joseph Roman postanowił sprawdzić, czy sąd przekona „zmiennowiekowość". Najlepiej jednak, żeby chłopiec uwięziony w ciele mężczyzny stał się mężczyzną uwięzionym w celi.

Allah na skarpetkach?

Znów głośno o firmie H&M. Tym razem nie z powodu bluzy, tylko... skarpetek. Okazało się, że po ich odwróceniu i wpatrzeniu się w ślad zostawiany przez młot pneumatyczny ludzika Lego na obrazku można się dopatrzyć napisu „Allah" po arabsku. Oczywiście parę osób zapałało oburzeniem, internet zagotował się od komentarzy, a firma na wszelki wypadek przeprosiła i wycofała skarpetki ze sprzedaży. Choć jedni widzą w całej sprawie skandal, to H&M może mówić o sukcesie. Znów wszyscy piszą i mówią o firmie. A przecież reklama dźwignią handlu.



eprasa.pl 3bfe60f465

Bezpieczna Polska

Powstał właśnie ranking najbezpieczniejszych dla kobiet państw na świecie. Według Global Wealth Migration Review najbezpieczniejsza dla nas jest Australia. Polska w tym zestawieniu zajmuje szóste miejsce – za m.in. Maltą, Islandią, Nową Zelandią i Kanadą, czyli mieści się w dziesiątce najbezpieczniejszych dla kobiet państw na świecie. Co więcej: jest na drugim miejscu pod względem bezpieczeństwa w Europie. Czy polskie feministki wciąż chcą zmieniać naszą politykę migracyjną?



Nowoczesna rozpadnie się w lutym **– zapowiedział w studiu wPolsce.pl poseł Ruchu Kukiz '15 Marek Jakubiak. Część parlamentarzystów ma się następnie przyłączyć do PO. W ten sposób stworzą Nowoczesną Platformę. Plan Petru?**

Samodzielni jak Włosi

Ponad jedna trzecia 30-latków we Włoszech dostaje kieszonkowe od rodziców, dziadków i krewnych – wynika z sondażu przeprowadzonego przez instytut Ixe. Z badania wynika, że wśród osób w wieku od 18 do 34 lat więcej niż połowa (55 proc.) otrzymuje pieniądze od rodziców, 6 proc. zaś dostaje wsparcie od dziadków. Z regularnego wspomagania finansowego korzysta 35 proc. 30-latków. Niestety nie podano, ilu Włochów lubi być przez rodziców karmionych i usypianych. Samodzielny jak Włoch, po prostu.



Fot. Andrzej Wiktor, Anthony Behar/Sipa USA, Shutterstock (x4), mat. prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Okrutne pytania



Dominik Zdort

Te kilkadziesiąt godzin, gdy dowiedziałem się, że Polak w ciężkim stanie został gdzieś w śnieżnej norze na Nanga Parbat, a jego towarzyszka Francuzka schodzi na dół, spędziłem słuchając kolejnych serwisów radiowych i telewizyjnych. Zorganizowano akcję ratunkową, ruszyli wspinacze z Narodowej Wyprawy na K2, ale od razu dawano do zrozumienia, że skoro Polak został tam sam i chory, to raczej powoli umiera.

Kiedyś napisałem krótki tekst zatytułowany „Himalaizm jest grzechem", z głębokim przekonaniem wyrażając pogląd, że ryzykowanie życia wyłącznie dla własnej ambicji jest złamaniem piątego przykazania. Teraz, krótko po tym, gdy doszło do tragedii, nie wypada oceniać, nie należy oskarżać. Tyle że do głowy wciąż cisną się pytania. Wynikające z niewiedzy, niezrozumienia, przerażenia. Niektóre pewnie głupie, inne trywialne i te najgorsze – okrutne.

Zmierzmy się ze wszystkimi. Dlaczego himalaista, który już sześć razy nie dał rady zdobyć tego szczytu, wyruszył po raz kolejny na wyprawę? Z roku na rok nie był młodszy, więc ryzyko było coraz większe. Czy nie zdawał sobie z tego sprawy? Czy nie myślał o tym, że może osierocić rodzinę?

Czy jego bliscy, przyjaciele, towarzyszka wspinaczek z Francji nie zdawali sobie sprawy, że on, po sześciu nieudanych próbach, po prostu powinien darować sobie tę górę? Rozumiem urażoną ambicję, chęć przezwyciężenia swoich słabości, ale czy nie było nikogo w jego otoczeniu, kto mógłby temu człowiekowi przemówić do rozumu?

To pytanie strasznie przykre, aż sam się go boję, ale dlaczego polskie państwo zdecydowało się sfinansować wyprawę ratunkową człowieka, któremu zabrakło zdrowego rozsądku? Rozumiem, że Polska powinna dbać o swoich obywateli, ale czy musi ponosić koszty ekstrawagancji posuniętych do szaleństwa? I pytam o to tylko dlatego, że wtedy, gdy doszło do tragedii Francja nie myślała, żeby wydawać pieniądze na ratowanie swojej obywatelki, która porzuciła polskiego himalaistę i sama zeszła z góry.

Tę panią uratowali polscy wspinacze, chwała im za to. Ale dlaczego poszli najpierw do Francuzki? Czy uznali, że nie warto iść wyżej, bo Polak i tak nie żyje, a pogoda się pogorszyła?

To takie prostackie refleksje laika. Na pewno znawcy himalaizmu mają na ten temat mądre i fachowe odpowiedzi. Tyle że aby przekonać prostego człowieka, trzeba uczciwej odpowiedzi.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 3bfe60f465

RZECZY POSPOLITE

Polskie światło

Przeżywałem Nanga Parbat. Jak każdy. Wyobraźnia działa. Gdzieś na 7 tys. m, w samotności, na mrozie, na wietrze, w absolutnej ciemności umierał ktoś, o kim nawet wcześniej nigdy nie słyszałem. Facet o pseudonimie Czapkins, Tomasz Mackiewicz. Spod K2 ruszyła złożona z Polaków ekspedycja ratunkowa. Porzucili „swoją sprawę", swoje plany i marzenia (pokonanie jedynego, niezdobytego jeszcze zimą szczytu), by ratować innych – rodaka i Francuzkę. Uwaga moja i wielu moich znajomych była w trakcie tych dramatycznych godzin skupiona na tej akcji, która odbywała się gdzieś daleko, tysiące kilometrów od nas, na himalajskich szczytach. Z jednej strony ludzie potrzebujący pomocy, z drugiej ci, którzy tę pomoc niosą, dokonując cudów, robiąc coś, co jest, wydawałoby się, ponad ludzkie możliwości.



Tomasz Łysiak

I to chyba w tym była zaklęta tajemnica owego wspólnego przeżywania dramatu. Coś niezwykłego, jakaś nić, którą da się wyczuć w takich chwilach, łączy nagle Polaków, powoduje, że wszyscy czujemy podobnie. To w takich chwilach odczuwamy, że jesteśmy wspólnotą, nawet pomimo ciągle dzielących nas ogromnych barier.

Zostawiam tu całkiem na boku rozważania o sensowności wypraw ekstremalnych, o tym, czy śp. Tomek Mackiewicz powinien był podejmować takie czy inne ryzyko, o odpowiedzialności za własne decyzje etc. Te wszystkie pytania i wątpliwości można oczywiście stawiać.

Interesuje mnie co innego – oto wobec sytuacji, w której czyjeś życie jest zagrożone, grupa Polaków porzuca dosłownie wszystko i jeśli się tylko da (nie przekraczając granicy zdrowego rozsądku), ratuje innych. To, że finalnie nie udało się uratować rodaka, jest tragicznym elementem tej historii, dla nas oczywiście bardzo smutnym, lecz nie umniejszającym wielkości dzieła, którego podjęli się ratownicy. Elisabeth Revol opowiadała o chwili swego ocalenia – w przerażającej ciemności zobaczyła w oddali światełko. To było światło, które nieśli ze sobą wspinający się ku niej Polacy. Polskie światło. Światło nadziei i życia. Jestem osobiście wdzięczny za tę akcję ratunkową. I dziękuję za to, że i ja przez chwilę, oczami wyobraźni, zobaczyłem niesione w mroku polskie dobre światło.

Co wolno carowi

Straszne wieści: Kirył Szamałow rzucił po trzech latach córkę Putina, Jekaterinę Władimirownę Tichonową – z nazwiskiem po babce. To sobie Kirył nagrabił. I ojcu, przyjacielowi niekoronowanego cara Rosji Nikołajowi Szamałowowi, obecnie głównemu akcjonariuszowi Banku Rossija, też. Stara przyjaźń, jeszcze z wtedy gdy obaj bronili komunizmu i szpiegowali dla KGB, mieszkali nawet w tym samym bloku w Dreźnie.



Piotr Cywiński

Wprawdzie na odchodne syn Szamałowa zostawił Jekaterinie połowę ich majątku szacowanego na 1,5 mld funtów, ale wątpię, że to cara udobrucha. Kirył i Jekaterina dorobili się, będąc dwudziestoparolatkami, dzięki troskliwym ojcom, jak to w Rosji bywa, w branży energetycznej, petrochemii i gazu. Mniejsza z tym, bo nie o szmal tu chodzi, lecz o to, że Kirył szlajał się po kątach, a w końcu rzucił córkę cara dla celebrytki Żanny Wołkowej.

Niby nic w tym szczególnego, sam Putin z niejednego pieca chleb jadł. Gadają, że tu i ówdzie ma nawet nieślubne dzieci. I też rzucił żonę Ludmiłę. Podobno już w drezdeńskim mieszkaniu mu nie leżała i bijał ją, a sam, zmęczony, szukał ukojenia w knajpie Am Thor oraz w ramionach innych kobiet. I już wtedy jedna mu coś powiła, czego dogrzebał się w papierach erefenowskiego wywiadu ekspert od tajnych służb Erich Schmidt-Eenboom. Są w nich jakoby meldunki agentki Lenchen Sch., której wypłakiwała się małżonka Putina.

Potem, gdy były agent zasiadł na tronie cara, jego kochanką została młodsza 29 lat, rudowłosa Anna Wassilijewna vel „Agentka 00Sex", przyłapana na szpiegostwie w USA i wymieniona za amerykańskich agentów aresztowanych w Rosji. Później cara uszczęśliwiała młodsza 31 lat gibka gimnastyczka Alina Kabajewa. Według szwajcarskiego tygodnika „Blick" ta urodziła mu syna w tymże kraju. Chodzą plotki, że Putin ma z nią aż troje dzieci. Ale też mu się widać znudziła, bo amerykański „US Weekly" rozsiał pogłoski, jakoby car zabrał się do amerykańskiej producentki filmowej chińskiego pochodzenia, niejakiej Wendi Deng.

Car to car, swoje potrzeby ma, kto carowi zabroni. Ale żeby jakiś nikt wycinał takie numery jego córce? Ryzykant z tego Kiryła! Pewnie wkrótce herbatka mu zaszkodzi albo udławi się krewetką, albo z jachtu wypadnie... Co wolno carowi, to nie Szamałowowi!

eprasa.pl 3bfe60f465

Wesprzyj budowę Pomników

Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.

W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.

Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.

Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.

Z góry dziękujemy, ***Redakcja tygodnika „Sieci”***

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy cd.
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

waluta
W P P L N

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

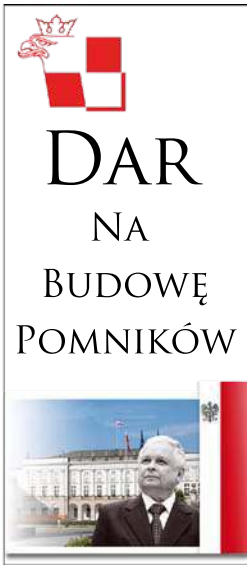
tytułem
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA

tytułem cd.
KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 129 570 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, PALINCHAK MIKHAIL/UKRAFOTO/EAST NEWS, MIHAIL METZEL/SPUTNIK/EAST NEWS, JOHN THYS/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (x7)

eprasa.pl 3bfe60f465



Nakazem chwili jest nieugiętość. Gdy druga strona zrozumie, że nie da się nas złamać, będzie można zacząć myśleć o kompromisie

Nie dać się zgnieść

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Łukasz Kalinowski/East News

Ambasador Izraela w Polsce Anna Azari przyznała, że miała „coś całkiem innego do powiedzenia" w swoim przemówieniu z okazji obchodów 73. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Ale, jak tłumaczyła, „w Izraelu już była decyzja premiera", a „dyplomaci mają swoje instrukcje"



PIOTR SKWIECIŃSKI

Przebieg obecnego kryzysu ewidentnie wskazuje na to, że druga strona – czyli Izrael i potężne siły w żydowskiej diasporze – nie chce żadnego kompromisu. Bodaj jego pozoru. Odwrotnie – ich świadomie przyjętym celem jest maksymalne upokorzenie Polski.

Dowodzi tego cała sekwencja wydarzeń. Biorąc pod uwagę stopień wyczulenia PiS na stosunki z Izraelem, uważam za pewnik to, że gdyby odpowiednio wcześnie Jerozolima dyskretnie nawiązała z Warszawą dialog na temat, który teraz wzbudził jej tak zasadniczy sprzeciw, uzyskałaby wiele, jeśli nie wszystko. Nie zrobiła tego, milczała. Moim zdaniem milczała świadomie.

A przecież nawet gdyby uwierzyć w skrajną indolencję izraelskiej ambasady w naszym kraju (ja nie wierzę – ileż to ważnych dla Izraela ustaw jest jednocześnie procedowanych w polskim parlamencie, przecież nie jest to liczba uniemożliwiająca ich śledzenie), to wiemy, że na temat nowelizacji ustawy o IPN toczyły się rozmowy z żydowskim International Holocaust Remembrance Alliance na czele, a w ich trakcie partnerzy przedstawiali stronie polskiej zdecydowanie negatywne stanowisko. Jest więc oczywiste, że o procedowaniu ustawy (choć może nie o konkretnej dacie, w której ma zostać uchwalona) wiedziały również władze Izraela. W to, żeby IHRA nie pozostawała w kontakcie z Jerozolimą, uwierzyć bowiem nie sposób.

1.

W Jerozolimie postanowiono milczeć, żeby polski Sejm sam wprowadził się w niekorzystną sytuację. Przyczyny? Jak zawsze była niejedna. Ale jedną z istotniejszych było to, co w ciągu ostatnich lat dzieje się w polityce historycznej Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Przy czym można to zinterpretować na dwa sposoby. W myśl tego łagodniejszego – idzie o niezrozumienie i strach. Pouczające jest pod tym względem (wygłoszone w kontekście polskiej ustawy) wystąpienie dyrektora jerozolimskiego centrum Simona Wiesenthala Efraima Zuroffa, którego zdaniem problemem jest to, że „od upadku ZSRS narody wschodniej Europy próbują zrównać komunizm z nazizmem". Dlaczego jest to problem? Dlatego, że „jeśli komunizm uznać za ludobójczy, a istnieli żydowscy komuniści, oznaczałoby to, że Żydzi dopuścili się ludobójstwa. To jest ich [wschodnich Europejczyków – P.S.] sposób na podważenie Shoah i ich uczestnictwa w nim" – twierdzi, szczerze czy nieszczerze, Zuroff. Osiągnięciu tego celu służy też wybieranie sobie jako bohaterów narodowych w całej wschodniej Europie ludzi, którzy „walczyli z komunistami, i których część mordowała Żydów w czasie Shoah".

Innymi słowy: to nie jest tak, że wschodni Europejczycy chcą zerwać z dziedzictwem komunizmu i dlatego heroizują walczących z nim, mimo że niektórzy z nich zabijali Żydów. Odwrotnie – po to chcą zerwać z dziedzictwem komunizmu, żeby w ten sposób zmniejszyć ciężar swojej winy uczestnictwa w Holokauście, a gdy dobrze pójdzie – to i zanegować cały Holokaust. Antyradzieckich partyzantów sprzed 70 lat heroizują tak naprawdę nie dlatego, że walczyli z komunizmem, tylko dlatego, że mordowali Żydów. Jeszcze raz: nie mimo że ich mordowali, tylko dlatego że ich mordowali.

To przy sporej dozie dobrej woli można by uznać za przejaw neurozy. Ale możliwe są też interpretacje znacznie dalej idące. Przy czym z pierwszą interpretacją niesprzeczne.

Można sądzić, że mamy do czynienia z próbą drastycznego rozszerzenia obowiązującej interpretacji pojęcia lekcji Holokaustu. W myśl tej interpretacji chodziłoby o widowiskowe ukaranie tych, którzy nie zgadzają się w 100 proc. z ideologią holokaustiańską, co służyłoby duchowej wasalizacji Polski i innych podległych tej pedagogice narodów.

Ta wasalizacja zaś nie tylko uniemożliwiałaby – już na wieki wieków – zakwestionowanie wersji historii, w myśl której Polacy i inni środkowowschodni Europejczycy byli zbrodniarzami; ten status pokutującego zbrodniarza miałby wymuszać pokorną realizację przez pokutnika interesów dawnej ofiary, tych już bynajmniej nie historycznych.

A takie problemy kumulują się ostatnio między Polską a Żydami. Chodzi o żądania płacenia żydowskim organizacjom za prywatne mienie żydowskich ofiar Holokaustu, które nie pozostawiły

eprasa.pl 3bfe60f465

następców. O kwestię ograniczenia „dużej" reprywatyzacji do obecnych obywateli Polski (tu, moim zdaniem, rację mają krytycy tego rozwiązania). Wreszcie o niejasne, niemniej docierające do opinii publicznej, sygnały dotyczące zaniepokojenia Jerozolimy weryfikowaniem efektów warszawskiej reprywatyzacji („Pani ambasador mówi o restytucji mienia, zgłaszając obawy związane z tym, że działalność komisji weryfikacyjnej może zagrażać interesom obywateli Izraela" – czytamy w opracowanym przez Ministerstwo Sprawiedliwości kalendarium kontaktów tego resortu z przedstawicielami Izraela).

O tym, że tak naprawdę chodzi o psychiczne złamanie przeciwnika (trzeba bowiem zacząć używać tego pojęcia) poprzez niedanie mu możliwości zachowania twarzy, świadczy też rozpoczęcie w Knesecie procedury uchwalania antypolskich uchwał w momencie, kiedy nie było jeszcze jasne, czy polski Senat przyjmie nowelizację w sejmowej wersji. A także deklaracje amerykańskie, z oświadczeniem Departamentu Stanu na czele, zawierające niezwykle ostre sugestie, z podważeniem partnerstwa Polski z USA włącznie. Przecież nie pojawiły się one ze spontanicznej inicjatywy Amerykanów; w oczywisty sposób zadziałało tu potężne, zwłaszcza w administracji Trumpa, lobby izraelskie.

2.

To, co bije po oczach w postawie demonstrowanej przez rząd Izraela (i niestety przez dominującą część tamtejszych mediów, choć nigdy dość zastrzegania, że sporo było również głosów trzeźwiejszych), to przepojenie poczuciem wyższości. I całkowite, demonstracyjne lekceważenie wrażliwości drugiej strony. Jak napisał izraelski publicysta Oded Even Or, roszczenia do posiadania monopolu na historyczną prawdę, manifestowane przez izraelskich polityków, są niedorzeczne i zarozumiałe.

„Czy gdyby Lapid [polityk, który zapoczątkował całą aferę stwierdzeniem, że „polskie obozy zagłady istniały!" – dop. P.S.] ogłosił, że to Polacy wymyślili Ostateczne Rozwiązanie, byłoby niedopuszczalne poprawienie go tylko dlatego, że jego ojciec przeżył Holokaust?" – pyta retorycznie Or. Sęk w tym, że wydaje się, iż według i rządu, i niemałej części izraelskiej opinii publicznej odpowiedź na to pytanie winna być twierdząca.

Or pisze o bucie i arogancji. Istnieje też aspekt stricte polityczny. Gry o głosy wyborców, przelicytowywania się polityków w patriotyzmie. Tu pojawia się może najbardziej przykra refleksja: zabiegający o głosy wyborców izraelscy politycy nie pozwoliliby sobie na tę antypolską butę, arogancję i rozpętywanie kryzysu, gdyby nie byli pewni, że na tym w oczach wyborców nie tylko nie stracą, lecz wręcz zyskają.

3.

I tu dochodzimy do aspektu jeszcze bardziej dla nas przykrego. Łatwość, z jaką w Izraelu udało się rozniecić antypolski pożar, wyrasta na rzeczywistym poczuciu krzywdy, naprawdę odczuwanym przez Żydów i przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Zdecydowana większość izraelskich rodzin wywodzących się z naszego kraju (a przecież polscy Żydzi nie żenią się wyłącznie między sobą, więc już choćby z tego względu ich dziedzictwo stało się w ciągu kilkudziesięciu lat czymś w rodzaju wspólnego dziedzictwa Izraelczyków) przekazuje młodym pokoleniom pamięć o jakiejś podłości wyrządzonej dziadkowi czy pradziadkowi w czasie okupacji przez jakichś Polaków.

Trzeba to powiedzieć otwarcie – pamięć o Polsce jest pamięcią złą, nawet jeśli korygowaną przez momentami sporą dozę sentymentu. Ten wymiera wraz z pamiętającymi Polskę, natomiast złe skojarzenia są bez przeszkód transmitowane do nowych generacji.

Wśród tych złych skojarzeń pojawiają się i te najgorsze – dotyczące wydawania ukrywających się Żydów Niemcom, a także samodzielnego zabijania ich przez Polaków. Szacunki tego zjawiska bardzo się od siebie różnią. Te skromniejsze i bardziej realistyczne oscylują wokół 50 tys. ofiar. Chodzi tu przede wszystkim o wieś, gdzie na polecenie władz niemieckich, z różnym stopniem zapału, obławy na uciekających Żydów organizowali sołtysi i straże pożarne, ale także o zbrodniczą działalność granatowej policji. Również o mające miejsce w wielu miasteczkach ochotnicze uczestnictwo jakiejś części polskiej ludności w likwidowaniu gett, przeszukiwaniu ich po wywiezieniu Żydów i wydawaniu odnalezionych w kryjówkach Niemcom – takie haniebne zachowania w Szczebrzeszynie, który z żadnych powodów nie był nietypowy dla prowincji Generalnego Gubernatorstwa, opisywał w swoim dzienniku tamtejszy społecznik, dr Zygmunt Klukowski.

Odsetek polskiej ludności czynnie uczestniczącej w tym piekle był zapewne niewielki. Z drugiej strony takie sytuacje i zachowania działy się w wielu miejscach prowincji GG, a ci Polacy, którym się to nie podobało, z oczywistych względów nie mogli temu przeciwdziałać. Oba te czynniki wytworzyły w umysłach tych Żydów, którzy mimo to zdołali się uratować, wrażenie, że byli obiektem próby zamordowania podjętej przez prawie wszystkich nie-Żydów. Trudno więc się dziwić, że pamięć o tym tkwi głęboko w ich zbiorowej pamięci.

Dziś Żydzi mają wrażenie, że nowa polska regulacja ma uniemożliwić mówienie o takich faktach – czy ostrożniej: może być w tym celu użyta. Mają takie wrażenie powszechnie. Jeszcze raz – gdyby tak nie było, izraelskie władze niezależnie od utylitarnych przyczyn, dla których zdecydowałyby się na bezprecedensowo agresywne zachowanie, po prostu nie poszłyby na to.

4.

A czy tak oceniając potencjalne zagrożenia, mają rację?

Oczywiście nie takie były świadome intencje większości twórców nowelizacji. Ale jakie byłyby jej skutki? Biorąc pod uwagę siłę obecnego w wielu prawicowych duszach syndromu wiary w naturalną bezgrzeszność Polaków? A także przyjęte w ustawie sformułowania, które rzeczywiście czynią z niej narzędzie w stylu wytrychu?

Twórcy ustawy bronią jej, mówiąc, że przecież karane miałoby być fałszywe oskarżanie nie poszczególnych Polaków, tylko całego narodu. To jest jednak pojęcie nieostre. Doprawdy mało kto pisze expressis verbis, jakoby cały

eprasa.pl 3bfe60f465


Fot. ppart/Shutterstock.com

naród polski był odpowiedzialny np. za Jedwabne. Nawet Gross tak wprost nie pisał. Jeśli więc ustawa nie miałaby być prawem martwym, sądy i prokuratura musiałyby się angażować w interpretacje – czy oskarżony miał na myśli cały naród, czy jednak tylko jego część? To stwarza warunki do nadużyć.

W dodatku karane ma być też „rażące pomniejszanie odpowiedzialności rzeczywistych sprawców zbrodni". A tu już wchodzimy w sferę niemal całkowitej interpretacyjnej dowolności.

Czy więc na skutek wprowadzenia ustawy Polska stałaby się rzeczywiście krajem prześladującym historyczną prawdę, czy przynajmniej w którym wiele byłoby tego rodzaju przypadków? Wiedząc, jak wygląda realne funkcjonowanie i państwa jako takiego, i wymiaru sprawiedliwości, nie sądzę. Ale Żydzi mieli prawo zaniepokoić się samym stworzeniem takiej prawnej możliwości. A nawet nieliczne przypadki próby zastosowania nowego prawa w przypadkach wątpliwych bardzo wpłynęłyby na nasz obraz w świecie.

5.

Cała afera już zresztą wpływa na ten obraz, bo powszechne jest wrażenie, że mówiąc kolokwialnie, Polacy najwyraźniej chcą coś ukryć. Tym bardziej że wbrew temu, co czasem można przeczytać, tego rodzaju regulacje nie są na Zachodzie powszechne. Częste – choć też nie wszechobecne – są tam prawa zakazujące negowania Holokaustu. Gdzieniegdzie – również ludobójstwa Ormian. Ale praw mających na celu obronę dobrego imienia narodów będących gospodarzami w stanowiących te prawa państwach – nie ma. Poza Rosją, Turcją i Ukrainą, których potencjał wzorcotwórczy jest – nazwijmy to tak – ograniczony.

6.

À propos Wschodu – na tym odcinku nowa polska ustawa działa już najbardziej destrukcyjnie. W podwójnym aspekcie. Po pierwsze, zakazując „negacji zbrodni banderyzmu", ograniczyliśmy drastycznie pole dialogu z Ukrainą. Bo dialog prowadzi się przecież z kimś, kto ma inną od nas opinię, a jeśli partnerzy w dialogu będą mieli powód, by obawiać się wjazdu na teren Rzeczypospolitej, to rozmawiać z nimi będzie, umówmy się, trudno.

A po drugie i może nawet ważniejsze – w widowiskowy sposób popisaliśmy się w oczach Ukraińców słabością. I to precyzyjnie na odcinku, przed którym... przestrzegaliśmy Ukraińców. Mówiliśmy im przecież: „Nie zdajecie sobie sprawy, że na Zachód nie wpuszczą was z kultem banderowców, którzy przecież mordowali nie tylko Polaków, lecz i Żydów". Minęła chwila i kto tu ma kłopoty z Żydami? Kto nas próbował pouczać? – szyderczo pytają w Kijowie. Teraz to Poroszenko poucza nas o wartościach europejskich, teraz w oczach kijowskich polityków to Ukraina ma wobec Polski pełnić funkcję reprezentanta Zachodu.

Czy naprawdę naszym marzeniem jest wizerunek groteskowego papierowego tygrysa? Groteskowego, papierowego i w dodatku ślepego czy przynajmniej niezręcznego. Bo istnieje przecież też czynnik rosyjski. Sprawa polskiej nowelizacji stworzyła kremlowskiej propagandzie okazję, by podjąć próbę połączenia moskiewskiej narracji historycznej (świętość Armii Czerwonej) z zachodnimi obawami przed antysemityzmem. I skojarzenia z tymże antysemityzmem polskiej polityki historycznej (niszczenie radzieckich pomników).

7.

Pytam, czy chcemy być papierowym tygrysem, bo nie jesteśmy tylko bezsilną ofiarą. Trzeba zadać ważne pytania o odpowiedzialność po polskiej stronie.

Ma ona dwa aspekty. Po pierwsze, nasz aparat państwowy wykazał się krańcową indolencją, nie dostrzegając związanych z forsowaną ustawą zagrożeń (a rozmiar i błyskawiczne szerzenie się pożaru pokazują, że nie mógł on być niemożliwy do przewidzenia). Ktoś nie alarmował albo nie alarmował wystarczająco. A alarmować powinny nie tylko ambasada (w której wprawdzie nie ma od wielu miesięcy ambasadora, ale ktoś go przecież zastępuje) i nie tylko MSZ.

Nie można też nie zadać pytania szerszego. O atmosferę, w której to, co nastąpiło, stało się możliwe. W której kreujący polską politykę w części emocjonują się własną przewagą moralną, własnymi sukcesami i nie chcą brać pod uwagę negatywnych sygnałów, a inni – być może – po prostu boją się takie sygnały przekazywać.

Minęły już ponad dwa lata rządów formacji IV RP i nie sposób już tłumaczyć wszystkiego zaniedbaniami poprzedników ani działaniami niedoczyszczonych „złogów" po III RP. Trzeba zadać sobie pytanie o działania własne. I o te cechy własnej formacji,

eprasa.pl 3bfe60f465

które umożliwiają takie sytuacje.

8.

Najbardziej pouczający jest jednak aspekt dotyczący naszego stosunku do Izraela.

Otóż w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat w jakimś stopniu zaczęły sprawować rząd dusz nastroje bardzo życzeniowe i nierealistyczne. Idzie mi o wiarę, że Polskę i Izrael mogą połączyć – ba, w pewnym zakresie już łączą! – jakieś specjalne stosunki, jakiś wręcz strategiczny sojusz.

Tego rodzaju pomysły od zawsze pielęgnowała część środowisk zaangażowanych w dialog polsko-żydowski. Po prawicowej stronie barykady intensyfikowała je dodatkowo naiwna wiara w pewien rodzaj wspólnoty ideowej (dwa religijne narody) i wspólne odgrywanie roli forpoczty Zachodu wobec „wschodniego barbarzyństwa". Przy czym to ostatnie często połączone bywało z życzeniowym, a zarazem ignoranckim wyobrażeniem o stosunku Izraela do Rosji, związanym z tym, że twórcy tej wizji zostali intelektualnie ukształtowani w czasach przed 1989 r., kiedy Izrael był wrogiem „wspólnoty socjalistycznej", a antysemityzm – półoficjalną doktryną państwa radzieckiego.

Swoją rolę odgrywało także zapatrzenie w państwo żydowskie jako wzorzec kraju, który potrafił nie ulec degenerującym wpływom kulturowego liberalizmu – w sensie niepoddania się obowiązującej doktrynie pacyfistycznej. Kiedy dodamy do tego skłonność do postrzegania konfliktu ze światem islamskim jako (obok zagrożenia rosyjskiego oczywiście) czynnika najważniejszego i dla Polski, i w ogóle dla Zachodu, będziemy mieli pełen obraz przyczyn.

Wspierały to zjawisko również czynniki istniejące poza głowami nosicieli tej wizji. Czyli przede wszystkim rozwijające się relacje międzyludzkie, intensyfikowane tym, że Polska jest naprawdę bezpieczniejsza niż kraje zachodniej Europy, co powodowało fenomenalny wzrost turystycznego ruchu Izraelczyków do naszego kraju.

Reakcja izraelskiego rządu na uchwalenie nowelizacji ustawy o IPN zweryfikowała bardzo boleśnie te wszystkie złudzenia. Pokazała, jakie jest naprawdę znaczenie relacji z Polską dla tego kraju. Jest takie, że bez najmniejszego wahania można te relacje niemal zniszczyć dla zdobycia paru punktów w wewnętrznej rozgrywce politycznej i kreowania atmosfery, w której łatwiej będzie forsować formułowane wobec Polski żądania materialne. Także (być może, bo tego udowodnić się nie da) dla wykonania gestu wobec, z wszystkich możliwych względów (Syria choćby) znacznie ważniejszej dla Izraela Rosji (nie trzeba mieć rosyjskocentrycznej wizji świata w stylu Antoniego Macierewicza, by dostrzegać ten element sytuacji i zastanawiać się, czy czasowa zbieżność rozpętania całej afery z wizytą Netanjahu w Moskwie jest całkiem przypadkowa).

To jest normalne i obrażać się nie ma co. Ale należy zarazem pozbyć się złudzeń, jakoby kiedykolwiek zbliżenie polsko-izraelskie mogło przekroczyć pewną barierę. Nie ma po prostu żadnych warunków ku temu, by relacje polsko-izraelskie kiedykolwiek miały szansę stać się jakoś szczególnie bliskie.

Wielokrotnie pisałem, że polityka międzynarodowa powinna być chłodną grą interesów, a jakiekolwiek inne jej pojmowanie jest przejawem infantylizmu. Postulowałem m.in. wyjałowienie z emocji polskiej polityki wobec Ukrainy, potępiałem wpływanie – negatywnych czy pozytywnych, wszystko jedno – sentymentów wobec Rosji na nasze zachowania wobec tego kraju. Pisałem też, że linii wobec tych państw nie powinni kształtować ci Polacy, którzy – z jakichkolwiek względów – są z nimi związani uczuciowo. Nie widzę powodu, dla którego paradygmat wychłodzenia i prymatu negocjowania obustronnych korzyści nad emocjami nie powinien obejmować też Izraela.

9.

Z tego kryzysu bez strat nie wyjdziemy, ale trzeba je zminimalizować. Paradoksalnie drogą do minimalizacji jest w tej chwili twardy opór.

Dobre stosunki z Izraelem są Polsce potrzebne, ale nie niezbędne. Nawet pogorszenie relacji z Ameryką nie oznacza końca świata. Zły klimat wokół Polski oznacza wymierne straty, może i gospodarcze, ale ani nie staniemy się obłożoną sankcjami Jugosławią Miloševicia, ani też Rosja nas mimo wszystko nie okupuje. Innymi słowy – naszej niepodległości nic nie zagraża. A tylko takie zagrożenie usprawiedliwia upokarzającą kapitulację, która to kapitulacja miałaby skutki wszechstronne i bardzo złe. Bo kogoś, kto demonstruje słabość i podporządkowanie, traktuje się inaczej niż dotąd. Uległość wobec dyktatu oznacza oczywisty sygnał: „Z nami tak można, z nami tak trzeba". Taka kapitulacja wywiera też destrukcyjny wpływ na samego kapitulującego. Czuje się wtedy złamany i słaby. I sam zaczyna przejawiać skłonność do posłuszeństwa.

Dziś druga strona nie stwarza przestrzeni do kompromisu. Odwrotnie – zawęża ją. Trzeba więc przejść przez ten kryzys. Uważam, że prezydent Duda powinien podpisać ustawę – choć jest ona moim zdaniem wadliwa – w momencie, w którym wpłynie ona na jego biurko.

A sytuacja jest przejściowa. Bo świat się nie skończył, bo po coś jednak dotąd Izrael utrzymywał z nami relacje więcej niż poprawne. Widać po coś jesteśmy mu potrzebni, nawet nieleżący z czterema łapkami w górze. Tam, czyli w Jerozolimie i Tel Awiwie, też są różni ludzie. Kiedy tam dojdą do przekonania, że nie padniemy na kolana, to i przestrzeń negocjacyjna się znajdzie.

10.

A wtedy, kiedy już partnerzy będą wiedzieli, że próba rzucenia nas na kolana się nie udała, można (moim zdaniem nawet należy) dokonać w ustawie daleko idących zmian. Polegających np. na pozostawieniu obecnego, szerokiego zakresu penalizacji („przypisywanie zbrodni Rzeszy niemieckiej") jedynie wobec tych, którzy przypisują je polskiemu państwu. Jeśli zaś chodzi o przypisywanie ich polskiemu narodowi, Polakom, to zacieśnienie penalizacji jedynie do nieszczęsnej kwestii polskich obozów.

Jeżeli bowiem chodzi o polskie państwo, stoimy na pewnym gruncie. Bo i jest to (w odróżnieniu od narodu) poję-

eprasa.pl 3bfe60f465

cie ostre, i polskiemu państwu nie sposób na gruncie faktów przypisać żadnych niemieckich zbrodni. Na tym, nawiasem mówiąc, polegał błąd prezydenta Kwaśniewskiego, kiedy przepraszał za Jedwabne. Polskie sprawstwo tej zbrodni jest bezdyskusyjne, ale przecież nie było to działanie państwa polskiego. I dlatego nie powinien za nią przepraszać akurat prezydent, czyli głowa państwa działająca w sposób oczywisty w jego imieniu. Bo przeprosiny z jego strony mogły być odebrane jako pośrednie przyznanie, że jedwabieńskiemu mordowi winne było polskie państwo, pewnie – skojarzyło się niejednemu ignorantowi na Zachodzie – tak mniej więcej jak łapiące Żydów państwo francuskie, węgierskie, słowackie...

Należałoby też usunąć z ustawy nieszczęsny i już totalnie nieprecyzyjny zapis o „rażącym pomniejszaniu" zbrodni niemieckich. Doskonale by było, gdyby przy okazji dało radę wycofać się z passusu o banderyzmie. Ale to chyba będzie nierealne, gdyż i tak cała operacja musiałaby się toczyć w warunkach oskarżeń o zginanie karku przed obcym dyktatem. I powiększanie tego wrażenia mogłoby owocować parlamentarną burzą oraz wewnątrzprawicowym (Kukiz), konfliktem.

> Kiedy partnerzy będą już wiedzieli, że próba rzucenia nas na kolana się nie udała, można (moim zdaniem nawet należy) dokonać w ustawie daleko idących zmian

11.

No właśnie, ale czy to nie będzie naprawdę uginanie się pod dyktatem?

Odpowiem tak: potencjalne szkody wynikające z ustawy (która sama w sobie jest zła i powinna zostać zmieniona niezależnie od złości, jaką wywołała na świecie) są większe niż te, które odniesiemy, idąc na kompromis – wtedy kiedy będzie to już naprawdę kompromis, a nie poddanie się. Z wielu powodów. Na przykład trzeba przecież wyczyścić pole przed czekającą nas, wszystko na to wskazuje, długą bitwą obronną przed ustawą JUST i próbami wymuszenia na nas płacenia za niemające spadkobierców pożydowskie mienie prywatne. Łatwiej będzie bronić swoich pozycji, nie znajdując się w sytuacji państwa oskarżanego o to, że jednocześnie próbuje ukryć swoje zbrodnie na Żydach.

Bo własną siłę buduje się, kiedy trzeba – nieugiętością, kiedy zaś trzeba – giętkością. A przechył na którąkolwiek z tych skrajności oznacza popadnięcie w chorobę.

Na razie mądrością etapu jest jednak twardość.



40/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Andrzej Wiktor

Działamy w sposób suwerenny

Nie może być tak, że inne państwa będą nam nakazywały taki lub inny kształt ustaw przyjmowanych w naszym kraju. To jest suwerenna decyzja polskiego parlamentu

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. Jackiem Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych

To może być ciekawa rozmowa, bo jak usłyszeliśmy od Jarosława Kaczyńskiego, pana ministrowanie jest pewnym eksperymentem.

Jacek Czaputowicz: [śmiech] Mam poczucie dystansu do siebie i się nie obrażam. Znamy się z Jarosławem Kaczyńskim od lat 80., jeszcze z „Solidarności". I prezes Prawa i Sprawiedliwości ma trochę racji, nowym ministrem miał po rekonstrukcji rządu pierwotnie zostać kto inny. Ostatecznie premier Mateusz Morawiecki mnie zaproponował to stanowisko. Mam nadzieję, że będę eksperymentem udanym.

Jaki jest punkt wyjścia? Opozycja grzmi, że jesteśmy izolowani, napięte relacje z Brukselą, Berlinem, Ukrainą na tle historycznym, a teraz jeszcze kryzys z Izraelem.

Słyszę te zarzuty, ale to nie jest prawdziwy obraz. Konflikt z Niemcami był sztuczny, mamy bardzo wiele wspólnych interesów, a moja wizyta w Berlinie pokazała, że z obu stron jest duże pragnienie normalizacji stosunków. W przypadku Unii Europejskiej to faktycznie wpłynęło do Rady Europejskiej stanowisko Komisji Europejskiej z zarzutem, że polskie reformy sądownictwa są niezgodne z zasadami

eprasa.pl 3bfe60f465

praworządności unijnej, z czym my zupełnie się nie zgadzamy. Jednak moje rozmowy z szefami dyplomacji krajów unijnych wskazują, że większość nie ma specjalnej ochoty głosować nad tym wnioskiem. Jest prośba, byśmy kontynuowali dialog z Komisją, co czynimy. Zapraszam wszystkich, w tym ambasadorów urzędujących w Polsce, by z pierwszej ręki się przekonywali, jak te reformy następują, by dostrzegli, że to jest oczekiwana przez społeczeństwo korekta, a nie jakaś wielka rewolucja czy czystka.

To Polska mówi od początku. I nic.

Może za mało wybrzmiało, że wyszliśmy naprzeciw wielu postulatom Komisji, taki charakter miało przecież weto prezydenta i późniejsze, bardzo długo dyskutowane poprawki w tych ustawach. Już można spojrzeć, jak to działa, nie ma żadnej wymiany sędziów, czym grożono, zmiany kadrowe są niewielkie. To są naprawdę mocne argumenty. Niedługo przedstawimy zresztą nasze stanowisko dotyczące dokumentu Komisji. Cieszy mnie, że proces wyboru sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa się rozpoczął. Opozycja ma pełne prawo wziąć w tym udział. Problemem jest nie sama reforma, ale ostra polaryzacja polityczna wokół tego tematu.

Ukraina?

Pewien spór rzeczywiście występuje, on dotyczy kwestii historii i jej interpretacji, m.in. zbrodni wołyńskiej, natomiast nie dotyczy istoty naszych relacji. Polska uznaje aspiracje europejskie Ukrainy, popiera jej integralność terytorialną, potępia agresję Rosji wobec tego państwa. Geopolityczne interesy są więc zbieżne.

Powiedziałby pan o Ukrainie tak, jak zrobił to pana poprzednik w MSZ, że z Banderą na sztandarze nie wejdzie do Unii?

Nie, co nie oznacza, że bezkrytycznie akceptujemy przekaz ukraiński. Staram się używać innego języka. Musimy do siebie podchodzić z większym szacunkiem. Właśnie widziałem się z ambasadorem Ukrainy w Polsce, jestem umówiony na spotkanie z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Pawłem Klimkinem, planowane jest spotkanie wicepremiera Piotra Glińskiego z jego ukraińskim odpowiednikiem, w czasie którego poruszą sprawy wznowienia ekshumacji i badań archeologicznych. Potrzebny jest dialog i dyskusja na temat trudnych spraw z naszej wspólnej historii.

To bez wątpienia ważne, ale kłopot w tym, że np. Niemcy miło rozmawiają na szczeblu dyplomatycznym, a jednocześnie cała niemiecka siła medialna, w sposób oczywisty zależna od rządu i realizująca politykę niemiecką, stale konsultowana przez władze, ani na chwilę nie zwalnia ataku na Polskę.

Powiedzmy sobie szczerze, że ta rywalizacja będzie zawsze, tak jak zawsze będzie używana ta siła, o której panowie wspomnieli. Chodzi tylko o to, by uświadomić stronie niemieckiej koszty tych działań. Widzę szansę na pewną poprawę, bo w interesie Niemiec nie leżą napięte stosunki z Polską.

Cóż oni mogą stracić?

Podczas mojej wizyty w Berlinie miałem wystąpienie, jak widzę podziały w Europie. Najważniejszy z nich w mojej ocenie dotyczy z jednej strony liberalnych demokracji, a więc tych państw, które są przywiązane do głównych swobód – wolności handlu, wolnej konkurencji, akceptacji praw społeczeństwa obywatelskiego (do tych państw zaliczam Niemcy, Polskę, Szwecję, Estonię, Węgry), a demokracji protekcjonistycznych z drugiej. To są niektórzy zachodni sąsiedzi Niemiec i niektóre państwa południowej Europy. Te państwa dążą do ograniczenia wolnego handlu, do protekcjonizmu. Wymagają one głębokich reform. Pierwsza grupa przyczynia się do wzrostu gospodarczego w Europie, do poprawy pozycji UE na globalnej mapie. Ta druga grupa ściąga nas w dół. I nie możemy się zgodzić, by to te państwa zdominowały Unię.

Przyjęli to?

Myślę, że uznali, iż warto przemyśleć to spojrzenie na podziały w Europie.

Opozycja grzmi, że rząd PiS chce wyjść z Unii Europejskiej.

Nie będę nawet komentował tych bzdur. Polska chce rozwoju Unii, chcemy, by była ona coraz silniejsza i bardziej konkurencyjna. Jeśli kraje Unii zaczną stosować protekcjonizm, wspólnota będzie się degradować. Interes Polski jest zbieżny z interesem Unii Europejskiej.

W Niemczech powiedział pan, że sprawy reparacji i odszkodowań za II wojnę światową nie mogą obciążać bieżących relacji polsko-niemieckich, a tematem powinien się zająć wspólny zespół ekspertów. Padł zarzut, że pan skapitulował.

Nie śledziłem debaty po tej mojej wypowiedzi, bo od razu z Berlina udałem się do Nowego Jorku, gdzie prezydent brał udział w spotkaniu ONZ. Oświadczę więc tutaj jednoznacznie: nie było w ogóle takiej intencji. Wiem, że rząd niemiecki uważa, iż temat jest zamknięty, ale dla nas sprawa nie jest zamknięta. Także dlatego, że społeczeństwu polskiemu należy się dyskusja o tych sprawach. Po pierwsze, jest dla nas pewną nowością, że rzekomo Niemcy przekazali te reparacje w jakiejś puli dla Związku Radzieckiego, a później Bolesław Bierut tego się zrzekł. Chcemy zbadać, jak było naprawdę. Mówię partnerom niemieckim: nie odbierajcie nam prawa do tej dyskusji, bo u siebie też różne debaty toczycie. Po drugie, spójrzcie na to z własnej perspektywy. Czy Polacy w porównaniu ze stratami, jakie ponieśli, otrzymali właściwą rekompensatę lub zadośćuczynienie jak inne narody? Według mnie – nie.

Ale Niemcy nie chcą o tym dyskutować.

Dlatego uzyskana w Berlinie zapowiedź dyskusji w ramach zespołu ekspertów jest sukcesem, wreszcie zaczynamy o tych sprawach rozmawiać. Tak zadeklarował minister spraw zagranicznych Niemiec Sigmar Gabriel i dla mnie to jest świetna wiadomość, gest, który należy docenić. Dialog został odblokowany.

Główna polska obawa dotyczy tego, że wepchnięcie zagadnienia

eprasa.pl 3bfe60f465

odszkodowań w koleiny międzyrządowej dyskusji eksperckiej jest pierwszym krokiem do zakopania tematu.

To błędna interpretacja. Przecież dziś prawnie i dyplomatycznie nie ma żadnego postulatu w tej sprawie, jesteśmy na etapie dokumentowania strat, pracuje nad tym parlamentarny zespół posła Arkadiusza Mularczyka, czekamy na efekty jego pracy. A w relacjach z Niemcami mamy przecież wiele innych tematów, nie możemy ich ograniczyć do tego jednego tematu.

Czyli na razie temat odkładamy?

Przepraszam, ale co mielibyśmy teraz położyć na stole?

Prośbę o zapłatę reparacji.

Żeby to zrobić, trzeba wiedzieć: ile, na jakiej podstawie, pokazać, ile zapłacono innym. Teraz jest czas opracowania dokumentacji, by móc pokazać to, co jest istotą sprawy: że Polska i Polacy są w tej sprawie dyskryminowani.

Ledwie wrócił pan z Berlina, a już wybuchł spór z Izraelem. Czy nowelizacja ustawy o IPN, penalizująca oskarżenia wobec Polski o udział w Holokauście, ma pana poparcie? Czy powinniśmy skorygować to prawo?

Podtrzymuję zdanie, że nie ma podstaw do zmiany tego prawa. Jest ono na tyle precyzyjne, że powinno rozwiać wszelkie wątpliwości strony izraelskiej. Prawo do prowadzenia badań naukowych jest w pełni zagwarantowane, podobnie jak swoboda wypowiedzi artystycznej. Zatem obawy, iż np. ofiary Holokaustu mogą być karane za swoje wspomnienia o tym, jak były wydawane przez Polaków – bo były takie haniebne czyny na terenie okupowanej Polski, w sytuacji gdy państwo polskie zostało zniszczone, istniało wyłącznie na emigracji i w podziemiu – są nieuzasadnione. Trzeba to tłumaczyć, wskazywać, dlaczego ta ustawa jest dla nas ważna.

A dlaczego jest?

Bo obserwujemy coraz częstsze przypadki zarzucania Polsce współuczestnictwa, a nawet współorganizacji zbrodni Holokaustu, co nie jest prawdą. Mamy prawo się bronić przed takimi oskarżeniami.

W Izraelu padają zarzuty, że ustawa idzie dużo dalej niż zakaz stosowania określeń „polskie obozy" w odniesieniu do niemieckich obozów śmierci czy zagłady. Może trzeba było ograniczyć się wyłącznie do penalizacji tych określeń?

To wszystko mieści się w tych przepisach, są one wystarczająco precyzyjne. Są też wzorowane na ustawodawstwie w innych państwach, gdzie obowiązuje zakaz negowania Holokaustu. Nie może być też tak, że inne państwa będą nam nakazywały taki lub inny kształt ustaw przyjmowanych w naszym kraju. To jest suwerenna decyzja polskiego parlamentu.

Czyli gdybyśmy teraz się ugięli, sami byśmy się zdegradowali?

To już jest panów interpretacja, aż tak mocno bym chyba nie powiedział. Trzeba zawsze szanować partnerów zgłaszających uwagi, wysłuchać argumentów, zawsze jest miejsce na dialog, on zresztą był w tej sprawie prowadzony. Ale jeszcze raz powtórzę: w mojej opinii ustawa zmieniająca ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej w tym zakresie jest konieczna, ma właściwy kształt i Polska ma prawo ją przyjąć. Ostateczna decyzja polityczna należy do parlamentu i prezydenta.

Portal wPolityce.pl opublikował informacje, z których wynika, że strona izraelska miała pełną wiedzę o powstawaniu tej ustawy, a po tym, jak jej uwagi zostały uwzględnione, nie zgłaszała sprzeciwu. Aż do 27 stycznia, kiedy premier Izraela i pani ambasador uderzyli w Polskę publicznie. Czy można było zrobić więcej?

To jest właśnie główny problem. Podkreślamy cały czas, że w reakcji na wątpliwości strony izraelskiej wyłączony został z ustawy cały obszar badań naukowych i twórczości artystycznej. Ostrze tej ustawy jest skierowane przeciw tym czynom, których celem jest oszczerstwo wobec państwa polskiego i narodu polskiego, ale interpretowanego jako całość. Tu nie chodzi o ochronę sprawców haniebnych czynów dokonywanych przez osoby narodowości polskiej, bo takie się zdarzały i muszą być ukarane, ale o ochronę prawdy o Holokauście, z którym państwo polskie i naród jako całość nie miały nic wspólnego. Przypisywanie tej winy państwu i narodowi polskiemu jest zamazywaniem prawdy o tej straszliwej zbrodni zorganizowanej przez hitlerowskie państwo niemieckie. Myślę, że strona izraelska to rozumie, pani ambasador Anna Azari także. Ale mamy w Izraelu kampanię wyborczą, są tam też środowiska nam nieprzychylne i to spowodowało, że stało się to, co się stało.

Czyli polityczny czynnik wewnętrzny w Izraelu jako istotna przyczyna skoku napięcia w relacjach wzajemnych?

Tak, były wypowiedzi jednego z liderów opozycji, który wciąż podtrzymuje tezę, iż jest coś takiego, jak „polskie obozy zagłady", co jest przykre, bo sprzeczne z faktami historycznymi. Premier Beniamin Netanjahu podjął niestety tę wyborczą licytację. Sytuacja jest więc taka, że Polska jest prezentowana w złym świetle w wielu środowiskach żydowskich. Na szczęście są i takie, które dążą do nawiązania partnerskich stosunków opartych na prawdzie. Trzeba tutaj wspomnieć, że Polska rzeczywiście dużo robi dla Izraela. Ostatnio wbrew większości państw Unii Europejskiej na prośbę Izraela nie poparliśmy rezolucji potępiającej USA za uznanie Jerozolimy jako stolicy Izraela. Spotkało się to z zarzutami państw UE. To jeden z wielu dowodów wsparcia, sympatii, zrozumienia dla interesów izraelskich, choć w jakiejś mierze też amerykańskich.

To już czas przeszły?

Mam nadzieję, że te dobre stosunki z Izraelem nie ulegną zmianie. Mamy rozległe kontakty bilateralne, Polska wspiera Izrael na forum Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie przez dwa lata będziemy obecni jako niestały członek. Rozwija się współpraca przemysłowa, także w obszarze zbrojeniowym.

eprasa.pl 3bfe60f465


Fot. Andrzej Wiktor

Pracujemy na rzecz edukacji o Holokauście, dużo robi w tej sprawie Ministerstwo Edukacji Narodowej i osobiście pani minister Anna Zalewska.

Za tymi działaniami stała wola polityczna. Jej sens został jednak mocno podważony.
Tymi ostatnimi wydarzeniami?

Tak.
Mam nadzieję, że nieostatecznie. Sprawa jest świeża, rozmowy trwają, w tym była rozmowa telefoniczna premiera Mateusza Morawieckiego z premierem Izraela Beniaminem Netanjahu. Trwała 45 minut, dotyczyła historii, wzajemnego zrozumienia. Jest decyzja o powołaniu zespołu, który będzie te rzeczy badał. Nie możemy się przecież odwrócić od kontaktów polsko-izraelskich, trzeba je budować.

To prawda, ale to jednak był – mówiąc kolokwialnie – gruby numer. W rocznicę wyzwolenia obozu w Auschwitz, kiedy oczy świata powinny być zwrócone na ofiary niemieckiego bestialstwa, na ocalałych, na modlitwę za to morze cierpień, wychodzi pani ambasador Izraela i ustawia nas w świetle kamer z całego świata pod pręgierzem. Sugeruje naszą winę za to, że Niemcy najechali Polskę, mordowali jej elity i zwykłych ludzi, grabili, demoralizowali. Nie ma co ukrywać – zadano nam bardzo mocny cios, wielka inwestycja w dobre relacje z Izraelem została jednym ruchem przekreślona.
Cóż, jestem dyplomatą i mogę tylko potwierdzić to, co pani ambasador Azari już powiedziała: takie otrzymała instrukcje i je wykonała. Widać, że zrobiła to niechętnie.

To słabe pocieszenie, bo mówimy o decyzji Państwa Izrael.
Nie neguję, że są straty we wzajemnych relacjach, ale moim zadaniem jest starać się tonować emocje, uspokoić sytuację, prowadzić rozmowy ze stroną izraelską, szukać tego, co łączy, a nie dzieli. Tłumaczymy, że te zgłaszane obawy, iż ktoś za opublikowanie wspomnień swoich czy kogoś z rodziny będzie ścigany karnie przez państwo polskie, są nieprawdziwe, absurdalne wręcz. Musimy pamiętać, że te traumy po Holokauście są w Izraelu autentyczne. Nie wiem, czy zdradzę tajemnicę, ale premier Netanjahu w rozmowie z premierem Morawieckim też powołał się na los kogoś z rodziny, że kuzyni zostali wydani przez Polaków i rozstrzelani przez Niemców, i to wtedy gdy Armia Radziecka wkraczała na teren Polski. My przyjmujemy do wiadomości, że takie przypadki się zdarzały, nie ma w Polsce planów, by blokować prawdę o takich wydarzeniach, sporadycznych, wyjątkowych. Natomiast nie zgodzimy się z zarzutem, że udział Polaków w mordowaniu Żydów był systematyczny, zorganizowany. Polacy nie mieli możliwości wolnego działania zbiorowego. Odwrotnie – państwo polskie, podziemne i na emigracji, Żydom pomagało, zbrodnie na nich potępiało, alarmowało świat. A dzisiaj jesteśmy najbardziej proizraelskim państwem w całej Unii Europejskiej!

Co nie wydaje się dla Izraela wiele znaczyć. To gorzka konstatacja, ale trudno nie widzieć, że jego władze zdecydowały się atomowo uderzyć w prawdę historyczną, uprawomocnić potworne kłamstwo „polskich obozów".
Nie postrzegam tego jednak jako świadomej akcji Państwa Izrael. Dostrzegam splot pewnych czynników, od kampanii wyborczej w Izraelu po duże emocje społeczne wokół tych tematów. Premier Netanjahu zapewne uznał, iż z powodów wewnętrznych musi przedstawić się jako polityk w tej sprawie radykalny. Mamy jednak nadzieję, że dialog będzie kontynuowany.

Nie zdecydował się pan wezwać pani ambasador Azari. Dlaczego?
Uznałem to za przedwczesne. Pani Azari zwróciła się do mnie już wcześniej z prośbą o spotkanie, zgodziłem się ją przyjąć, będziemy rozmawiali. Były zresztą rozmowy pani ambasador w Kancelarii Prezydenta, z marszałkiem Senatu. To też ma swoją wagę. Nie będziemy pouczać Izraela, chcemy dialogu.

Trudno o dialog po takiej katastrofie?
Nie chciałbym używać takich słów, w mojej opinii jest za wcześnie, by mówić o tym, jaki jest bilans tych sporów. Bo są też pozytywy – głośno mówimy o naszej niezgodzie na używanie określeń przypisujących nam sprawstwo zbrodni Holokaustu, domagamy się prawdy historycznej i to też jest słyszalne.

Ale dlaczego zniknęła ze świadomości wielu narodów ta unikatowa polska postawa, atak w 1939 r. z dwóch stron, udział w walkach na wszystkich możliwych frontach, niezwykłe bohaterstwo powstania warszawskiego?
Czas robi swoje, minęło już ponad 70 lat, a ci silni i zasobni gospodarczo dyktują swoją interpretację historii, w efekcie mówimy o „nazistowskich obozach", a nie o obozach niemieckich. Narodowość sprawców znika. Musimy bronić prawdy.

Z wielu stron pojawia się postulat polepszenia skuteczności

eprasa.pl 3bfe60f465

zewnętrznych działań Polski w obszarze obrony własnego wizerunku, w tym także prawdy historycznej. MSZ mogłoby wziąć w tym udział?

Na ostatnim posiedzeniu rządu premier Mateusz Morawiecki mówił o tym, że musimy tworzyć własne sieci przyjaciół, być aktywni. Musimy wszyscy mieć świadomość, jak bardzo w tym obszarze przeskoczyli nas zamożniejsi. Może zacytuję premiera, który powiedział: „Oni są na Harvardzie, a my w przedszkolu. Ale dążmy przynajmniej do tego, by być w szkole średniej, bo racja jest po naszej stronie".

Może powinniśmy powołać nową instytucję, na tym skupioną. Taki „zewnętrzny IPN"?

Dobry pomysł, ale musimy pamiętać, że tu nie ma prostych rozwiązań. Możemy podjąć się tysiąca inicjatyw, ale liczą się te, które pozwalają skutecznie dotrzeć do danych elit. A żeby to osiągnąć, trzeba mieć lokalnego partnera. Jeśli sami zorganizujemy np. dyskusję w ambasadzie, może się okazać, że elity na nią nie przyjdą. Ale bez wątpienia trzeba próbować to przełamywać, być aktywnym – i my to robimy.

A może w całej tej awanturze chodzi o reprywatyzację? Wiemy z Ministerstwa Sprawiedliwości, że np. ustawa o komisji weryfikacyjnej spowodowała sprzeciw strony żydowskiej, że oprotestowują zapowiedź ustawy reprywatyzacyjnej, na mocy której zwrot będzie ograniczony procentowo i zasięgowo. Wygląda, jakby czarna chmura żądań zbliżała się do Polski.

Nie łączyłbym tych spraw. Uważam, że jeżeli chodzi o ustawę reprywatyzacyjną, postępujemy dobrze. Wszystkich obywateli II Rzeczypospolitej traktujemy tak samo, bez względu na narodowość. Nie dyskryminujemy nikogo. I pamiętajmy, to nie będzie zwrot majątków, ale zadośćuczynienie. Dla nas to oznacza miliardowe wydatki, ale uważamy, że trzeba to wreszcie uregulować, że taki jest nasz – także moralny – obowiązek. Przepis mówiący o dziedziczeniu praw do zadośćuczynienia ogranicza krąg spadkobierców mogących się ubiegać o taką wypłatę, bez dyskryminowania ich ze względu na narodowość. Projekt ustawy mówi o obywatelach polskich, ale też tych, którzy mają do obywatelstwa prawo. To są naprawdę uczciwe zasady.

Co z żądaniami, które pobrzmiewają w przyjętej przez amerykański Senat ustawie 447, by ten majątek, którego spadkobierców nie da się ustalić, trafił np. do organizacji żydowskich?

To jest dla nas nie do przyjęcia. Zgodnie z prawem polskim w takiej sytuacji majątek przechodzi na własność skarbu państwa. To dotyczy zarówno obywateli polskich narodowości żydowskiej, którzy zginęli w Holokauście, jak i obywateli polskich narodowości polskiej, których cała rodzina zginęła w powstaniu warszawskim czy jednej z wielu masakr dokonanych przez Niemców, lub przepadła gdzieś w piekle Syberii, w wyniku zsyłki do Kazachstanu.

> Przyjęta przez amerykański Senat ustawa 447 jest dla nas nie do przyjęcia

Wracamy do początku naszej rozmowy: kłopotów nie brakuje.

Można spojrzeć na to inaczej: skutecznie bronimy naszego interesu narodowego. Rząd PiS twardo obstaje przy swoich racjach, działa w sposób suwerenny, co budzi pewne napięcia. Mamy też sojuszników, choćby w regionie.

Grupa Wyszehradzka, Trójmorze. One mają sens?

Oczywiście. Pierwsza moja wizyta była w Bułgarii, pojechałem do Rumunii, niedługo będę na Węgrzech, będę gościł ministra z Estonii. Mamy wspólne doświadczenia historyczne, czyli niewolę komunizmu, zbliża nas poczucie zagrożenia ze strony rosyjskiej, łączy nas troska o pozycję regionu w Unii Europejskiej, chcemy się rozwijać gospodarczo, by gonić najbogatszych. Te wspólne interesy łączą. Mówimy też jasno, że państwa regionu mogą na nas liczyć, że będziemy bronić naszych wspólnych interesów. Widzę Polskę jako kraj, który artykułuje odczucia i stanowisko regionu. Również Stany Zjednoczone silnie wspierają Trójmorze, sekretarz stanu USA Rex Tillerson mówił o tym jasno w czasie ostatniej wizyty w Polsce.

Uda się zablokować Nord Stream 2?

Nasze stanowisko jest jednoznaczne. Podobnie jak Stany Zjednoczone uważamy, że Nord Stream 2 nie służy dywersyfikacji, bo źródło dostaw pozostaje to samo. Zwracamy uwagę, że to jest także zagrożenie dla Europy. Dostarczamy środków Rosji, która modernizuje armię, a później dokonuje agresji na Gruzję, Ukrainę, i prowadzi działania sprzeczne z interesem Zachodu w Syrii. Ten związek przyczynowo-skutkowy trzeba naszym partnerom uzmysławiać.

Wspomniał pan Rosję – te relacje przypominają lodowisko. Wraku nie oddali, dialogu nie ma. Jest szansa na zmianę?

Mamy rozbieżne interesy, inne sojusze, nie akceptujemy pewnych działań Rosji. Na kordialne, ciepłe relacje nie ma raczej szans, ale nie oznacza to, że stosunki mają być zamrożone. My chcemy dialog podtrzymywać.

Jak by nazwał pan prowadzoną przez siebie politykę?

Kierunek ten sam, gramy ambitnie, może nieco spokojniejszy język. Choć chcę jasno powiedzieć: dorobek pana ministra Witolda Waszczykowskiego bardzo cenię, odważnie bronił polskich reform na forum Unii Europejskiej, przyczynił się do sukcesu szczytu NATO w Warszawie, wprowadził nas do Rady Bezpieczeństwa ONZ. A nie jest to mało.

eprasa.pl 3bfe60f465


Fot. Andrzej Wiktor

Moment rozstrzygający

Atak nastąpił teraz, bo wchodzimy na poziom, z którego być może później już nie da się nas zepchnąć. Na pewno nie przez rozgrywanie sytuacji wewnętrznej. Im dłużej rządzi PiS, tym opozycja staje się słabsza

Jacek Karnowski rozmawia z Józefem Orłem, dziennikarzem, menedżerem, współzałożycielem Klubu Ronina

Co się dzieje? Najpierw TVN odpala dziwny materiał o polskich czcicielach Hitlera, chwilę potem oglądamy wystąpienie ambasador Anny Azari przeciwko ustawie o IPN, a teraz pełną eskalację z udziałem nie tylko Izraela, lecz i Stanów Zjednoczonych.

Józef Orzeł: Materiał TVN o polskich nazistach odegrał w tym wszystkim ważną rolę bezpośredniego detonatora. Całe to wydarzenie, jak zwrócił na to uwagę w Klubie Ronina Stanisław Janecki, jeśli nawet nie było sfingowane, to było przygotowane. Nie chodzi tylko o to, że czekano z emisją ładnych parę miesięcy. Ciekawsze jest to, że choć urodziny Hitlera przypadają 20 kwietnia, to ci nasi naziści świętują w maju. To tak wygląda, jak gdyby nie zdążono z akcją na kwiecień i przesunięto ją absurdalnie na maj. Ale cała operacja wymierzona w Polskę zaczęła się dużo wcześniej.

Kiedy?

Ta operacja była starannie przygotowana. Mówiąc potocznie, to było szykowane od miesięcy, kilku albo kilkunastu. Zaczęło być widoczne 11 listopada po artykule „60 tys. faszystów maszerowało w Warszawie". To było wypowiedzenie Polsce wojny moralnej. Jeżeli Polacy idą pod swoimi sztandarami czcić święto niepodległości, a media zagraniczne piszą, że to idą faszyści, naziści czy hitlerowcy, to już jest wojna na poziomie wartości. Marsz, którego sensem jest obrona ojczyzny, staje się oskarżeniem, a Polacy zostają przesunięci na pozycje katów innego narodu.

Zaczęło się od relacji korespondentki agencji Associated Press Vanessy Gery to ona rzuciła hasło „60 tys. faszystów w Warszawie".

eprasa.pl 3bfe60f465

To był początek, właściwie u nas niezauważony, na pewno niedoceniony. Teraz mamy już więcej elementów całej układanki. Jest np. przyjęta przez Senat USA ustawa 447. Oznacza ona, że lobby Żydów amerykańskich chce mieć narzędzie prawne, za pomocą którego może dostać pieniądze z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, głównie z Polski. Narzędzie, które jest w sumie bezprawne, bo jest sprzeczne z prawem amerykańskim, europejskim i polskim, i które jest sprzeczne z całą kulturą ładu społecznego naszej cywilizacji.

Bo tradycja jest jasna: jeśli nie wiadomo, kto jest właścicielem majątku, to przechodzi on na własność państwa. Ustawa 447 jest o tyle dziwna, że ustawodawca amerykański przekazuje prawo do ogromnych pieniędzy organizacjom żydowskim, które mają niewiele albo i nic wspólnego z dawnymi właścicielami.

Dlaczego USA to robią?

To rodzaj opłaty za bezpieczeństwo, odmiana wysokiej ceny za system obrony Patriot. Polska ma zapłacić, i to dużo, za prawo bycia dobrym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych i Izraela. Za to, że obronią nas przed Rosjanami, za amerykańskie czołgi w Polsce i za zablokowanie Nord Stream 2, czyli rury, która wykończyłaby Ukrainę, a tym samym wystawiła i nas na dużo większe niebezpieczeństwo. Oczywiście Amerykanie robią to również we własnym interesie, bo mają swój gaz z łupków do sprzedania.

A w co gra Izrael?

To jest najciekawsze. W końcu to nasz wierny sojusznik od 1989 r., sojusznik także innych państw, które odzyskały niepodległość po rozpadzie komunizmu. Izrael zabiegał o te relacje, budował je bardzo konsekwentnie. Czasem konsekwentniej niż robiliśmy to my. Izraelczycy oferowali nam też broń, ponoć taniej niż Amerykanie. My nie za bardzo chcieliśmy kupować, nie mając chyba pewności, czy jest to związane z niezbędnym w obszarze obronności zaufaniem. Ale to inna sprawa. Ważne jest, że Izrael chciał z nami handlować, chciał współpracy naszych służb specjalnych itd.

Chciał czy chce?

Ta konsekwentna polityka Izraela właśnie się skończyła. Nawet nie załamała, lecz wręcz połamała. Nie jestem pewien, czy da się ją jeszcze odtworzyć. A była to polityka potrzebna zarówno Izraelowi – który sojuszników nie ma zbyt wielu, a najważniejszego ma daleko, za oceanem – jak i nam. Z wielu powodów. Także dlatego, że to dawało nam szansę na jakiś manewr, na wybór partnera w sprawach politycznych, wojskowych i w sferze służb. Również z powodu moralnego, bo to na polskich ziemiach Niemcy dokonali większości Holokaustu. Mamy też wspólną historię. Jakakolwiek ona była, była dużo lepsza niż wspólne historie Żydów i innych narodów europejskich.

Czyli ustawa 447 jest sprzężona z tym, co robi Izrael obecnie, eskalując napięcie wokół de facto oskarżenia Polski?

Myślę, że Amerykanie dogadali się z Izraelem w sprawie podziału pieniędzy z ustawy 447. Wcześniej było tak, że te pieniądze miały dostać organizacje żydowskie ze Stanów, a teraz pewnie ma na tym skorzystać również Państwo Izrael. Taka jest moja pesymistyczna diagnoza. Oczywiście diagnoza obserwatora zewnętrznego, który kieruje się logiką.

Co mówi ta logika?

Że to rzecz niespotykana, by ambasador jakiegoś państwa w dniu wielkiego, wspólnego, choć przerażającego święta, a więc w Międzynarodowym Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu, oświadczył, że jego państwo nie zgadza się na jakiś akt prawny gospodarza. To wypowiedzenie wojny; wojny dyplomatycznej, ale jednak wojny. A przecież strona polska twierdzi, że konsultowała tę sprawę z przedstawicielami Państwa Izrael. Sama pani ambasador Anna Azari potwierdziła, że widziała ten projekt. Izrael więc wiedział o sprawie. A mimo to w takim dniu, wybranym nieprzypadkowo, uderzył tak mocno.

Niewesoło.

Polska została wybrana na ofiarę. Gdyby taką decyzję podjął Izrael ze Stanami Zjednoczonymi, to jeszcze może nie byłoby tak źle. Ale została też wybrana na ofiarę przez Unię Europejską i Berlin. Dlaczego właśnie my? Bo od dwóch lat prowadzimy suwerenną politykę i mamy sukcesy. Najwyraźniej te trzy ośrodki doszły do wniosku, że trwa to już zbyt długo i trzeba z tym skończyć. Proces przygotowań trwał od dość dawna. Teraz te potrójne szczęki zwarły się, zacisnęły.

Czyli to jakieś wielkie złudzenie, że możemy liczyć na swoje sojusze?

Tu chodzi o coś innego. Ani Amerykanie, ani Izrael nie chcą likwidacji Polski, to oczywista bzdura. Państwo ma być, my w nim mamy być, Polska ma być Polską. Ale z perspektywy amerykańskiej Polska winna być podporządkowana Ameryce. USA nie budują kolonii, nie muszą nawet tu rządzić. Ważne, by Ameryka mogła prowadzić korzystny handel, by mogła sprzedawać, inwestować i zarabiać. To prosty układ: bezpieczeństwo za korzyści.

Po każdym spotkaniu z przedstawicielami USA słyszymy, że strona amerykańska interesowała się „bezpieczeństwem prawnym" swoich inwestycji.

Tak. Pozycja Unii i Berlina również jest jasna: możecie i powinniście być dużym państwem europejskim. Możecie nawet być w pierwszej lidze politycznej państw, ale pod warunkiem że będziecie mówić i robić mniej więcej to samo, co sugeruje Berlin. Mamy więc wrócić do polityki Platformy Obywatelskiej. Problem w tym, że równocześnie Niemcy sami przeżywają kryzys polityczny.

Nie mogą stworzyć rządu.

To tylko objaw. Istota rzeczy polega na tym, że Angela Merkel wciągnęła Niemcy w hidżrę, czyli islamską inwazję na Europę Zachodnią. To mogło być przypadkiem, w wyniku nieuwagi, ale mogło też być sterowane z zewnątrz. Ale stało się i różne ośrodki zaczęły budować na tym politykę kulturową, którą można nazywać genderyzmem, poprawnością polityczną. Nie chodzi o nazwę, chodzi o to, że to sprowadza się do rozbicia rodziny, osamotnie-

eprasa.pl 3bfe60f465

nia jednostek, a na końcu do rozbicia społeczeństwa, bo to daje komfort i bezpieczeństwo rządzenia. To nie mniejszości seksualne rządzą, one są wykorzystywane przez klasę rządzącą.

Co to ma wspólnego z nami?

Ma dużo, bo Berlin i inni chcieliby, żebyśmy i my zaczęli prowadzić taką politykę. Politykę, która nie tylko zniszczy nasze społeczeństwo, lecz również podporządkuje nas ideologicznie, tym samym spychając do przewidzianej nam roli montowni ze średnio wykształconymi pracownikami.

Atak spada na nas po ponad dwóch latach dobrej zmiany. Dlaczego teraz?

Bo wchodzimy na poziom, z którego być może później już nie da się nas zepchnąć. Na pewno nie poprzez rozgrywanie sytuacji wewnętrznej. Im dłużej rządzi Prawo i Sprawiedliwość, tym opozycja staje się słabsza. Nie chodzi o to, że wszystko jest świetnie. Chodzi o to, że PiS robi coś dla ludzi i Polacy po dwóch latach już to wiedzą. Wiedzą, że przywódcy PiS chcą, by Polakom żyło się lepiej. Chcą, żebyśmy byli podmiotowym państwem.

Dlatego gdy osłabia się presja wewnętrzna, rośnie zewnętrzna.

Tak. Opozycja liczy już tylko na interwencję zewnętrzną: polityczną, gospodarczą, dyplomatyczną. To tak widoczne, że zaczęła być otwarcie traktowana jak obca agentura. Dlatego tak bardzo traci poparcie. Polacy chcą mieć polski rząd. A na razie nie ma innego kandydata do tej roli niż ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. Przekroczenie granicy 50 proc. poparcia przez PiS było naprawdę ważnym momentem, dostrzeżonym na pewno i za granicą. To mogło przyspieszyć pewne decyzje. Tym bardziej że chodzi nie tylko o nas, lecz o cały region, który ma dostać komunikat, iż warto siedzieć cicho.

No dobrze, ale presja zewnętrzna, przy tych sondażach, nie jest w stanie obalić rządu.

Chodzi o to, by rząd zatrzymać. Popatrzmy na to tak: w obliczu narastającego niebezpieczeństwa ataku Jarosław Kaczyński zmienia rząd – na taki, który ten atak lepiej odeprze.



Fot. Andrzej Wiktor

> To rzecz niespotykana, by ambasador jakiegoś państwa w dniu wielkiego, wspólnego, choć przerażającego święta oświadczył, że jego państwo nie zgadza się na akt prawny gospodarza

Z perspektywy tego, co się dzieje, słusznie.

Tak, ale niestety przeciągająca się rekonstrukcja ten rząd znacznie osłabiła. Do tego zamiana twardej i dość niezależnej premier Beaty Szydło na dobrze współpracującego z Kaczyńskim Mateusza Morawieckiego, „białego człowieka" znającego świat, języki i kod kulturowy Zachodu, to tylko warstwa wizerunkowa i emocjonalna. Tylko z tego powodu rząd nie stanie się nagle o wiele silniejszy. Owszem, na zwykłe relacje z Zachodem to by wystarczyło, na atak Zachodu to za mało.

Sygnał, który miał złagodzić napięcie, został odebrany jako słabość?

Jako gotowość do negocjacji, a tym samym komunikat, że nie chcemy się bić. A gdy politycy dojdą do wniosku, że druga strona nie chce się bić, tym bardziej przystępują do ataku.

Cóż więc robić?

Potrzebna jest wewnętrzna rekonstrukcja rządu. Think tank, który nami rządzi, to znaczy Jarosław Kaczyński plus Mateusz Morawiecki, to za mało, by dać sobie radę z tym atakiem. Trzeba sformować cztery zespoły doradczo-analityczno-polityczne ds. relacji z USA, Izraelem, Unią i Berlinem, oraz Moskwą. Bo dziś mamy atak z trzech stron, ale może pojawić się z czwartej.

W Moskwie gościł właśnie premier Izraela Beniamin Netanjahu.

I o czym rozmawiali? O „niebezpieczeństwie fałszowania historii Holokaustu", czyli rozumiem, że o nas. Wbrew temu, co mówił np. Bronisław Geremek po 1989 r. głoszący, że nastał czas powszechnej szczęśliwości i bezpieczeństwa, czasy nie są łatwe. Mówiono nam to po to, by osłabić jakiekolwiek polskie działania obronne. Myślę nie tylko o obronie militarnej, lecz i o budowaniu świadomości, że nie żyjemy wcale w przyjaznym świecie. Nie chodzi tylko o Polskę; świat w ogóle nie jest przyjazny. Świat jest twardy, interesy są bardzo ważne, państwa i bloki państw są w stanie działać bardzo brutalnie.

Co będzie dalej?

Teraz musimy uważnie patrzeć, co powie i zrobi Moskwa. Musimy też patrzeć, czy Trójmorze jest dla Ameryki

eprasa.pl 3bfe60f465

celem na tyle strategicznie ważnym, że Waszyngton spojrzy na nas nieco łaskawszym okiem. I trzeba, powtarzam, tak przygotować rząd, by stawił czoła tym wszystkim niebezpieczeństwom.

Czy kierownictwo PiS słusznie zrobiło, decydując się na szybkie przeprowadzenie ustawy przez Senat, już po wystąpieniu ambasador Anny Azari? Czy było inne wyjście?

Jeśli teraz byśmy się cofnęli, już zawsze musielibyśmy się cofać. To kwestia rozsądku, siły i taktyki. Nie wchodzi w grę jakiekolwiek ustępstwo wobec prawdy historycznej, w sferze moralnej. Ale jakiś sposób na zmniejszenie temperatury w tym kotle trzeba znaleźć. Może powinno być to spotkanie premierów Polski i Izraela na neutralnym gruncie? Netanjahu działa z powodów wewnętrznych, wyborczych. To go nie tłumaczy, warto jednak o tym pamiętać.

Pana zdaniem prawna droga walki z pojęciem „polskich obozów śmierci" to słuszny wybór?

Tak, ale ta ustawa powinna być dużo bardziej konkretna; po pierwsze, powinna jasno stanowić, że używanie pojęcia „polskie obozy" i pojęć równoznacznych jest przestępstwem takim samym jak kłamstwo oświęcimskie i podlega karze. I nic więcej. Po drugie, ten zapis powinien być dokładnie taki sam jak zapis izraelski dotyczący zakazu negacji Holokaustu. Po trzecie, nie należy takich ustaw przyjmować w przeddzień rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz.

A po czwarte, to i tak są tylko preteksty. Istotą jest dążenie do zdyscyplinowania polskiego rządu, który nie stosuje się do zasad polityki według Zachodu „racjonalnej", czyli takiej, której naczelna zasada głosi: nie wyskakuj powyżej własnych możliwości. To próba rekolonizacji Polski.

Ale Donald Trump przyjechał do Warszawy i wysłał jasny sygnał, że Ameryka chce, byśmy grali wyżej niż dotychczas.

To jest, o czym już mówiłem, nasza jedyna szansa. Spośród tych sił – Unii i Berlina, Rosji, Izraela i Stanów – Polska jest dla USA najważniejsza. Ale mogło być też tak, że nie tylko my wyskoczyliśmy przed szereg, lecz i Trump wyskoczył. I teraz jest przywoływany do szeregu. W takim scenariuszu byłoby to również uderzenie w prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czy Trump podpisze ustawę 447? Analitycy mówią, że raczej tak. Jednak może znajdzie w sobie siłę, by nie podpisywać. W każdym razie to przede wszystkim z Amerykanami musimy rozmawiać. Ale to jest logika średniookresowa. Na dziś musimy zgasić ogień w konflikcie z Izraelem, choć to Izrael ten konflikt wywołał.

> Ani Amerykanie, ani Izrael nie chcą likwidacji Polski, to oczywista bzdura. Państwo ma być, my w nim mamy być. Ale z perspektywy amerykańskiej Polska winna być podporządkowana USA

Na razie mamy eskalację: zapowiedź przyjęcia przez Kneset dwóch ustaw, które naszą rzekomą odpowiedzialność za Holokaust wpisują w prawo.

Trzeba znaleźć sposób na zakopanie toporów. Trzeba też przypomnieć, że w ostatnich latach Polska wydała wiele tysięcy polskich, czyli unijnych, paszportów Izraelczykom. Tym, którzy mają korzenie w Polsce, a podobno nie tylko im. To był duży gest.

Były także gesty związane z dziedzictwem żydowskim w Polsce, dość drogie. Nam się wydawało, że my coś tu wspólnie budujemy, a to jakieś zamki na piasku.

A może jest tak, że my rzeczywiście budowaliśmy te relacje z Izraelem, ale Izrael musiał zmienić zdanie, bo wolał słuchać Żydów nowojorskich. Oni są w stanie wymóc zmianę. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że Izrael jest państwem mało suwerennym, jest zależny finansowo, jeśli nie od Ameryki, to od lobby żydowskiego w Stanach. To lobby w czasie wojny nie popisało się w sprawie Holokaustu i być może to są powody niechęci do Polski. Odmówili pomocy, nie chcieli nawet słuchać polskich wiadomości. Teraz odreagowują.

Ale nie widać, by Izrael specjalnie walczył z tą koniecznością.

To prawda. I dziś w Polsce wielu ludzi ma swoistą, niedobrą schadenfreude, że ich obawy się potwierdziły. „A nie mówiliśmy, Izrael na końcu nas zdradził".

A zdradził?

W kategoriach politycznych, dyplomatycznych, sojuszniczych to jest na pewno najgłębsza nielojalność. To złamanie pisanego i niepisanego układu ostatnich lat. Co więcej, jeśli część Izraelczyków myślała o Polsce jako o kraju, w którym można się schronić w razie czego, to dziś pewnie już wiedzą, że Polska tak przyjazna nie będzie albo pojawią się jakieś problemy. Jednak to będzie widać za jakiś czas.

Jakie wnioski wyciągną światowi gracze z tego, co się dzieje? Uznają, że można iść dalej?

To nie jest jeszcze rozstrzygnięte. Widać sukces nieformalnego sojuszu Unii, Stanów i Izraela. Widać, że te siły zasadniczo mówią tym samym językiem i tego samego chcą od nas. Mamy się dogadać, lecz na ich warunkach. Proces wzrastania naszej suwerenności jest zagrożony.

W sumie depresyjna diagnoza.

Ja zawsze myślę jak pesymista, ale działam jak optymista. I tak musi również działać Polska. Bo Polska jest miejscem arcyważnym na mapie świata. U nas rozstrzyga się przyszłość Europy, miejmy tego świadomość. Także przyszłość cywilizacji zachodniej, to, czym ma być Zachód. Siła ataków tylko to potwierdza.

eprasa.pl 3bfe60f465

„Gazety są pełne żółci”

Te tytułowe słowa napisał publicysta Joshua Davidovich, relacjonując na łamach „Jerusalem Post” reakcje izraelskich mediów i polityków na przyjęcie przez polski Sejm nowelizacji ustawy o IPN. Reakcji, jego zdaniem, „histerycznej”. Zebraliśmy te opinie





ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Dziennik „Yedioth Ahronoth” zdecydował się nadać artykułowi o rzekomym negowaniu przez Polaków udziału w zagładzie Żydów tytuł po polsku: „Nie zaprzeczycie Holocaustu babci” (pisownia oryginalna – red.). W dzienniku „Israel Hayom” ocalali wspominają, jak to „Polacy zawsze byli okropni, o wiele gorsi od Niemców”. By podkreślić wagę tych słów, gazeta ozdobiła artykuł drutem kolczastym. Wydźwięk większości medialnych doniesień poświęconych polskiej ustawie znakomicie obrazuje wypowiedź jednej z wyżej wymienionych babć w „Yedioth Ahronoth”: „Hitler wiedział, że Polacy będą współpracowali, dlatego większa część zabijania miała miejsce w Polsce. Nie doszłoby do tego w kraju, który kocha Żydów”.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 3bfe60f465

REWIZJA WYNIKÓW WOJNY

Jak twierdzi większość izraelskich publicystów i historyków, Polacy byli antysemitami, i to jeszcze przed wojną, dlatego „naziści" (o Niemcach w większości artykułów w izraelskiej prasie nie ma mowy) zbudowali obozy koncentracyjne właśnie nad Wisłą, licząc na ich współpracę. A Polacy współpracowali, wydając Żydów, okradając ich, a niekiedy nawet mordując. A teraz mają czelność stawiać się w roli ofiar.

Taki obraz II wojny światowej w izraelskich mediach kreśli m.in. Instytut Yad Vashem oraz główny rabin Krakowa. „W Auschwitz polscy przewodnicy mówią głownie o cierpieniach narodu polskiego. O 200 tys. Polaków, którzy tam zginęli. Dla cierpienia Żydów nie ma miejsca" – twierdzi w rozmowie z „Israel Hayom" rabin Eliezer Gur-Aryeh. Ofiarami Holokaustu byli jego zdaniem głównie, a nawet wyłącznie, Żydzi – to ich martyrologia powinna stać na pierwszym miejscu. Cała Europa to bowiem kolaboranci, z Polakami włącznie, którzy powinni się więc kajać, a nie wspominać własne krzywdy. Martyrologia żydowska łączy się przy tym z nieco innym rozumieniem dwóch totalitaryzmów, które zniszczyły Europę. Izraelscy Żydzi nie stawiają, tak jak Polacy, znaku równości między nazizmem a komunizmem. W 2009 r. w Soczi prezydenci Rosji Dmitrij Miedwiediew i Izraela Szimon Peres uznali we wspólnym oświadczeniu, że za wybuchem II wojny światowej stały wyłącznie Niemcy.

Wypowiadając się w „Jerusalem Post", szef Centrum Szymona Wiesenthala, słynny łowca nazistów dr Efraim Zuroff mówił więc o „ogólnym problemie negacji Holokaustu w krajach postkomunistycznych Europy Środkowej i Wschodniej". „Odkąd Związek Sowiecki upadł, kraje te próbują przekonać świat o tym, że nazizm i komunizm to jedno i to samo. Ich zdaniem komuniści dopuścili się ludobójstwa, a ponieważ wielu Żydów było komunistami, to Żydzi dopuścili się ludobójstwa. W ten sposób usiłują osłabić znaczenie Szoah oraz ich udziału w niej. Nazywają ulice i szkoły imionami tych, którzy walczyli z komunistami i zabijali Żydów" – podkreślił Zuroff. Dobre relacje ze współczesnym Państwem Izrael są dla niego przy tym „tylko zasłoną dymną". „Oni [Polacy – red.] kochają Izrael, ale nienawidzą Żydów".

Znamienne jest, że tuż po wybuchu afery wokół nowelizacji ustawy o IPN premier Izraela Beniamin Netanjahu udał się z oficjalną wizytą do Rosji. Władimir Putin po spotkaniu z Netanjahu zapewnił, że oba kraje współpracują „w sprawie przeciwdziałania próbom fałszowania historii i rewizji wyników II wojny światowej, zaprzeczania Holokaustowi i zaniżania decydującego wkładu Związku Radzieckiego w zwycięstwo nad Niemcami nazistowskimi". Z kolei Netanjahu podkreślał rolę „wierności prawdzie w odnoszeniu się do własnej przeszłości", a także potrzebę sprawiedliwości – wobec ofiar Holokaustu i wobec tych, którzy walczyli, byli ranni, zginęli, aby zatrzymać zagrożenie nazistowskie". „Nigdy nie zapomi-



Premier Izraela Beniamin Netanjahu

Fot. Shutterstock

namy tej roli, jaką odegrała radziecka armia w tym zwycięstwie" – mówił.

ANTYSEMITYZM I RESTYTUCJA MIENIA

Zdaniem izraelskich mediów ta demonstracja historycznej jedności z Rosją miała pokazać, że państwo żydowskie nie potrzebuje „fałszywych przyjaciół", a dobre relacje dyplomatyczne, choćby z Polską, należy poświęcić na ołtarzu „prawdy historycznej" oraz własnych interesów. O tych interesach pisze na łamach „Jerusalem Post" amerykański historyk Gil Troy, który ostrzega Izraelczyków przed „rzucaniem się na szyję każdemu, kto ich popiera, nawet za cenę osamotnienia na arenie międzynarodowej, szczególnie gdy ten ktoś prezentuje postawę antysemicką", a na dodatek „się czegoś od niego chce". Czego państwo żydowskie chce od Polski, Troy nie zdradza.

Dowiadujemy się o tym z artykułu historyk dr Inny Rogatchi na izraelskim portalu Arutz Sheva. Według Rogatchi „nowa polska ustawa restytucyjna szydzi z Żydów i odbiera im szansę na rekompensatę lub restytucję utraconego w Polsce mienia". Historyk łączy przy tym kwestie restytucji z rzekomym „ciągłym nabijaniem się polskich artystów i instytucji kulturowych z Holokaustu", z Marcem'68 oraz z „wybrykami neonazistów w polskich lasach". Polska Fundacja Narodowa, zdaniem izraelskiej historyk, prowadzi wręcz „odrażającą krucjatę przeciwko Żydom". Rogatchi wysyła także wyraźne ostrzeżenie w stronę polskiego rządu. Jeśli nie ureguluje kwestii restytucji, nie zmieni ustawy o IPN oraz swojej antysemickiej postawy, „Polska zostanie wyrugowana z cywilizowanej części społeczności międzynarodowej, i to szybciej, niż jej się wydaje". Mimo to Rogatchi przyznaje, że czuje pewien sentyment do Polski, gdzie ma „kilku przyjaciół".

Inni komentatorzy są mniej sentymentalni. Jak możemy przeczytać w dzienniku „Haaretz", dla izraelskich Żydów Polska to dziś już tylko wielkie cmentarzysko, „skrawek ziemi nasiąknięty żydowską krwią". Nie czują oni więzi z Polską – ani kulturowej, ani cywilizacyjnej. Polska to kraj, który

eprasa.pl 3bfe60f465

nie chce zapłacić w sensie dosłownym i przenośnym za swoje winy. I nic więcej. A wystarczy, by Warszawa się pokajała – przekonuje dziennikarka „Jerusalem Post" Lahav Harkov – by relacje polsko-żydowskie wróciły do normy. Polacy w najlepszym wypadku bezczynnie przyglądali się Zagładzie, a w najgorszym w niej uczestniczyli. Teraz muszą tylko uznać dawno przypisaną im rolę.

Eskalacja konfliktu przez stronę izraelską, a nie ulega to kwestii po tym, jak 61 deputowanych w 120-osobowym Knesecie poparło projekt ustawy, na mocy której Polska miałaby zostać oskarżona o negowanie Holokaustu, ma zwiększyć presję na rząd PiS. Mówi o tym otwarcie wiceminister spraw zagranicznych Izraela Tzipi Hotovely w wywiadzie dla Arutz Sheva. Według niej Izrael zamierza sięgnąć po „wszystkie mu dostępne środki nacisku dyplomatycznego", w tym pomoc USA, tak aby zmusić polski rząd do zmiany ustawy o IPN. Jej zdaniem Niemcy ponoszą „największą odpowiedzialność za Holokaust", ale „inne narody także są winne". Można to uznać za wyjściową pozycję negocjacyjną Izraela w sporze, w którym najwyraźniej chodzi o wiele więcej aniżeli rzekomy współudział Polaków w Holokauście.

Głosy broniące Polski są rzadkie, choć się zdarzają. Publicysta Seth J. Frantzmann przekonuje w „Jerusalem Post": „Polacy stawiali nazistom opór i gdyby wszystkie narody w Europie zaprezentowały w czasie II wojny światowej podobną postawę, to o wiele więcej Żydów zostałoby uratowanych". „Polska ma rację, gdy burzy się przeciwko oskarżeniom o współudział w Holokauście" – pisze Frantzmann. Jego zdaniem izraelscy politycy powinni podziękować Polakom i „sami wyciągnąć wnioski z historii", nawet jeśli będą one bolesne. Podobne głosy pojawiły się również w lewicowym i zazwyczaj krytycznym wobec Polski „Haaretz" oraz „Times of Israel".

WEWNĄTRZPOLITYCZNA PRESJA

Izraelskie media zwracają także uwagę na silną wewnątrzpolityczną presję, której poddawany jest premier Izraela ze strony lewicowej opozycji. To lider centrolewicowej partii Yesh Atid Yair Lapid rozpętał burzę przeciwko Polsce, oskarżając Netanjahu o to, że zbyt miękko zareagował na uchwalenie przez polski Sejm ustawy o IPN, która jego zdaniem stanowi próbę „pisania historii na nowo". Lapid miał również pretensję do szefa prawicowego Likudu o to, że usiłował następnie w tej sprawie nawiązać dialog z rządem w Warszawie. To Lapid, mówiąc o swojej babci, która miała zginąć w Polsce w czasie Holokaustu, rozpętał modę na dręczone przez Polaków babcie w izraelskich mediach.

Podobnie wypowiadał się lider Partii Pracy (HaAvoda) Avi Gabbay, który powiązał kwestię polskiej ustawy z umową, którą Netanjahu zawarł z rządem Ruandy w celu deportacji tam ponad 30 tys. nielegalnych afrykańskich imigrantów. Zdaniem Gabbaya jedno i drugie to „faszyzm".

Sytuację Netanjahu utrudnia to, że jest on oskarżany o korupcję. Prokuratura wszczęła śledztwo w dwóch sprawach (zwanych 1000 i 2000), które ma się zakończyć niebawem. Według „Times of Israel" Netanjahu może się spodziewać, że zostaną mu postawione formalne zarzuty. W pierwszej chodzi o łapówki w postaci szampana i cygar wartych setki tysięcy szekli, które Netanjahu i jego żona Sara mieli przyjąć z rąk hollywoodzkiego producenta Arnona Milchana. Druga dotyczy rzekomego dealu między izraelskim premierem a dziennikiem „Yedioth Ahronoth". Netanjahu miał się zobowiązać wobec wydawcy gazety Arnona Mozesa, że osłabi jego głównego konkurenta, czyli gazetę „Israel Hayom", jeśli „Yedioth Ahronoth" będzie pisał o nim wyłącznie pozytywnie.

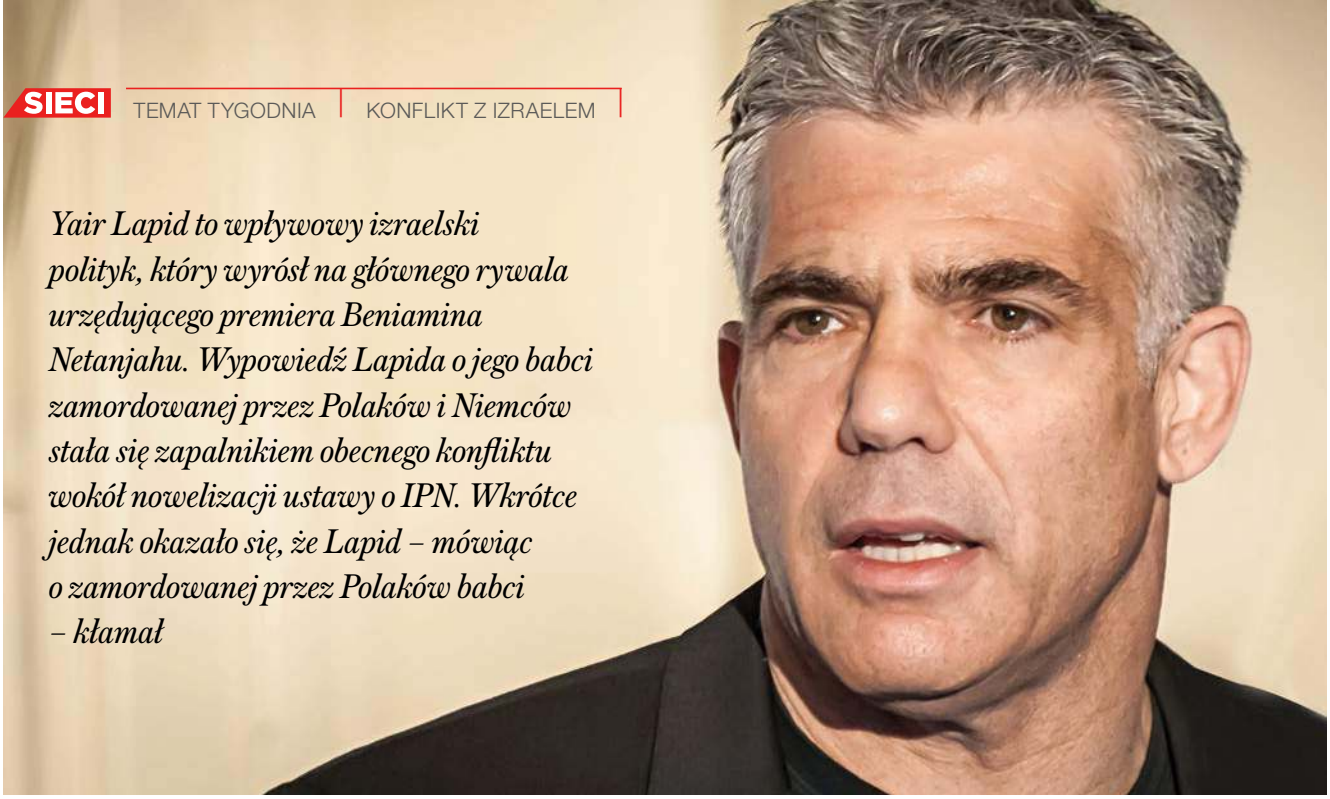
W międzyczasie wybuchła kolejna afera, w którą premier jest pośrednio zamieszany (zwana sprawą 3000). Chodzi o zakup przez Izrael okrętów podwodnych od Niemiec. Osobisty prawnik Netanjahu reprezentował podczas negocjacji producenta okrętów – koncern ThyssenKrupp. Umowa w sprawie zakupu trzech zmodernizowanych okrętów podwodnych typu Dolphin T209 oraz czterech łodzi patrolowych za 2 mld dol. podpisana została pod koniec 2016 r. Okręty zakupiono mimo sprzeciwu izraelskiego MON. Dealowi sprzeciwiał się stanowczo ówczesny minister obrony Moshe Ya'alon, który nalegał na rozpisanie oficjalnego przetargu. Ludzie z otoczenia Netanjahu mimo to sfinalizowali umowę z Berlinem. Jak podaje izraelska opozycja – w zamian za milionowe łapówki. 10 osób zostało już w tej sprawie zatrzymanych.

Netanjahu twierdzi, że wszystkie zarzuty wobec niego są motywowane politycznie. Jednak Likud traci w sondażach i – jak donosi „Times of Israel" – gdyby teraz odbyły się wybory, dwie partie centrystyczne (Yesh Atid i Kulanu ministra finansów Moshe Kahlona) pokonałyby ugrupowanie premiera. Do tego rośnie presja na Kahlona, by wobec korupcyjnych skandali opuścił koalicję rządzącą, w której skład wchodzą także partie Shas i Nasz Dom Izrael. Kahlon wprawdzie powiedział, że nie zamierza na razie zrywać sojuszu z Likudem, ale podkreślił jednocześnie, że Netanjahu powinien złożyć dymisję, jeśli zostaną mu postawione zarzuty korupcyjne. „Times of Israel" przytacza także nagranie, na którym rzecznik Knesetu oraz polityk Likudu Yuli Edelstein krytykuje Netanjahu za jego postawę (izraelski premier nazwał swoich oponentów ponurakami, a ich poczynania „przemysłem rozpaczy") i ostrzega: „Jeśli tak dalej pójdzie, znajdziemy się niebawem w opozycji".

Jak twierdzą izraelskie media, Netanjahu za każdym razem, gdy jest atakowany, recytuje długą listę gospodarczych i dyplomatycznych sukcesów, które Izrael odniósł dzięki niemu. To jego główna broń, co oznacza, że nie może sobie na tym polu pozwolić na porażkę. To może tłumaczyć, dlaczego m.in. tak twardo postępuje w sprawie Polski.

Dziennik „Haaretz" podsumował dyskusję w Izraelu o nowelizacji ustawy o IPN rysunkiem, na którym widać skarżące się głośno na polskich antysemitów babcie, stojące w długiej kolejce po wizy w ambasadzie RP w Tel Awiwie, czyniąc aluzję do tych Żydów, a było ich niemało, którzy w ostatnich latach „przenieśli się na stałe do Polski". Gazeta przy okazji przypomina izraelskim władzom, że „trudno zarzucać innym faszyzm, gdy trzyma się cały naród [Palestyńczyków – red.] niczym więźniów za płotami z drutem kolczastym". „To niemoralne" – uważa gazeta.

eprasa.pl 3bfe60f465



Yair Lapid to wpływowy izraelski polityk, który wyrósł na głównego rywala urzędującego premiera Beniamina Netanjahu. Wypowiedź Lapida o jego babci zamordowanej przez Polaków i Niemców stała się zapalnikiem obecnego konfliktu wokół nowelizacji ustawy o IPN. Wkrótce jednak okazało się, że Lapid – mówiąc o zamordowanej przez Polaków babci – kłamał

Fot. Roman Yanushevsky/Shutterstock.com

Zaczęło się od kłamstwa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podłożem obecnego konfliktu polsko-izraelskiego jest interpretacja historii. Obie strony mają swoje wizje przeszłości, które się wykluczają. W izraelskich atakach na Polskę prawda często przeplata się z kłamstwem i generalizacjami. Yair Lapid – jeden z negatywnych bohaterów tego konfliktu – pełni w nim funkcję symboliczną. Bo przedstawiona przez niego historia rodzinna – tak jak spora część oficjalnej izraelskiej argumentacji – jest również pełna manipulacji i swobodnej żonglerki faktami.

OSKARŻYCIELSKI TWEET

Wszystko zaczęło się w sobotę 27 stycznia, wkrótce po uchwaleniu przez Sejm znowelizowanej ustawy o IPN przewidującej kary za przypisywanie Polsce i narodowi polskiemu współodpowiedzialności za niemieckie zbrodnie wojenne. Izrael uznał to za próbę „przepisywania historii na nowo". Jego zdaniem Polska, nowelizując ustawę, próbuje „wybielić" lub „wyczyścić" niechlubne karty z historii. O jakie karty chodzi? Przede wszystkim o przypadki szmalcownictwa i innych haniebnych zachowań, do których dochodziło w Polsce podczas niemieckiej okupacji. Na nic zdały się tłumaczenia, że ustawa nie penalizuje badań historycznych ani oskarżeń wysuwanych wobec konkretnych osób, wręcz przeciwnie – chodzi o prawdę historyczną. Żydzi nie przyjęli tych tłumaczeń do wiadomości, bo gdy w grę wchodzą ogromne emocje, zdrowy dystans staje się niemożliwy.

To właśnie na tych – jak się okazało – dość powszechnych w Izraelu resentymentach postanowił zagrać Yair Lapid, licząc – chyba nie bez podstaw – na to, że rozpętanie antypolskiej histerii zwiększy jego szanse w politycznym starciu z urzędującym premierem Netanjahu. Lapid w opublikowanym 27 stycznia wpisie na Twitterze stwierdził, że jest synem ocalonego z Holokaustu. Napisał też, że jego babka została zamordowana przez „Niemców i Polaków" na terytorium Polski („My grandmother was murdered in Poland by Germans and Poles"). Ta wypowiedź prominentnego izraelskiego polityka wywołała burzę.

COŚ TU SIĘ NIE ZGADZA

Przeprowadzone przeze mnie krótkie dziennikarskie śledztwo, którego rezultaty przedstawiłem na portalu wPolityce.pl, wykazało jednak, że Lapid – przywołując swoją rzekomo zamordowaną przez Polaków babcię – świadomie posłużył się kłamstwem, aby jeszcze bardziej nakręcić antypolskie emocje. Dostępne informacje biograficzne przeczą bowiem jego oskarżeniom.

Rodzicami Yaira Lapida są dziennikarz i polityk Yosef „Tommy" Lapid oraz znana pisarka Shulamit Lapid. Yosef urodził się w 1931 r. w rodzinie węgierskich Żydów w Nowym Sadzie na terytorium ówczesnej Jugosławii (dziś to Serbia). Podczas wojny wraz z rodzicami został przetransportowany do getta w Budapeszcie. Tam Yosef ze swoją matką (babcią Yaira) został uratowany przez szwedzkiego dyplomatę Raoula

eprasa.pl 3bfe60f465

Wallenberga, o czym można przeczytać chociażby na łamach „The Times Of Israel" w artykule poświęconym ocalonym z Holokaustu politykom Knesetu.

Dziadka Lapida (ojca Yosefa) nie udało się uratować. Został wywieziony do obozu zagłady i – wedle dostępnych informacji – zamordowany w Mauthausen (a więc nie w Polsce, lecz w Austrii). Uratowany Yosef i jego matka dotarli w końcu do Izraela w 1948 r. Gdzież więc ta zamordowana w Polsce babcia? Może od strony matki? Szukałem i tam. Otóż matka Yaira Lapida – Shulamit Lapid – przyszła na świat w 1934 r. w... Tel Awiwie, na terytorium brytyjskiej Palestyny. Jej rodzice (dziadkowie Yaira) żyli przed wojną na terenach dzisiejszego Izraela. A zatem żadna z jego babć nie została zamordowana, obie przeżyły wojnę, w tym jedna – od strony matki – podczas Holokaustu mieszkała bezpiecznie na terytorium brytyjskiej Palestyny (czyli w dzisiejszym Izraelu) i zmarła – wedle informacji – w 1974 r.

W niedzielę 28 stycznia zadałem pytanie Yairowi Lapidowi o wyjaśnienie tych biograficznych nieścisłości. Odpowiedział dopiero następnego dnia na łamach „The Times of Israel". Wtedy ukazał się bowiem jego artykuł pod zuchwałym tytułem „Prawda o Polsce i Holokauście", w którym odniósł się do postawionych mu zarzutów i pytań.

JEDNAK NIE BABKA

W swoim artykule Lapid przyznaje się do manipulacji. Pisze w nim: „Hermina, babka mojego ojca, została aresztowana przez Niemców w Serbii. Wysłano ją do Auschwitz, gdzie zginęła w komorze gazowej". A zatem nie jego babka, jak wcześniej utrzymywał, lecz prababka. Yair nie mógł jej znać ani pamiętać, bo urodził się 18 lat po zakończeniu wojny. I – co ważne – nikt z jego znanych przodków nie miał żadnych związków z Polską, większość rodziny wywodzi się bowiem z węgierskich Żydów.

> Żadna z babć Lapida nie została zamordowana, obie przeżyły wojnę, w tym jedna – od strony matki – podczas Holokaustu mieszkała bezpiecznie na terytorium brytyjskiej Palestyny

Skąd jednak jego przekonanie, że zabili ją Polacy? Tutaj Lapid bezceremonialnie brnie w kolejne oszczercze uogólnienia: „Ponieważ Niemcy wiedzieli, że przynajmniej część polskiego społeczeństwa będzie z nimi współdziałać [...]. Polacy ukrywali Żydów nie tylko przed Niemcami, Niemcy nie kontrolowali bowiem każdego miasta i wsi. Żydzi byli ukrywani przed Polakami – przed polskimi donosicielami, przed polskimi mordercami". Dodaje też, że Żydzi uciekający z transportów byli wyłapywani przez Polaków i wydawani Niemcom.

Lapid nie wycofuje się z zarzutu, że jego prababka została zamordowana przez Polaków. Zamiast tego dokonuje – mówiąc eufemistycznie – przewrotnej interpretacji faktów. Pisze, że w Auschwitz było zaledwie 30 niemieckich strażników, a za zbrodnie odpowiadali Ukraińcy. Zaraz jednak podkreśla, że choć – owszem – Niemcy zbudowali obozy zagłady, zrobili to przy polskim współudziale. Oznacza to, że w jego opinii były one jednak – przynajmniej w jakimś stopniu – polskie, co siłą rzeczy prowadzi nas do zupełnie już ahistorycznej konkluzji, iż podczas wojny na terytorium Polski działały polskie struktury państwowe. Konkluzja ahistoryczna, ale pozwalająca obciążać państwo polskie odpowiedzialnością za Holokaust. Nic zatem dziwnego, że Lapid uważa, iż każdy Żyd (w tym jego prababka), który trafił do obozu zagłady na terytorium Polski, został zamordowany przez Polaków, nawet jeżeli – w sensie fizycznym – uczynili to Niemcy lub Ukraińcy.

IMPREGNOWANI

Yair Lapid nie jest niestety anonimowym awanturnikiem. To lider liberalno-lewicowego ruchu Yesh Atid (Jest Przyszłość), główny rywal Beniamina Netanjahu i potencjalny kandydat na nowego premiera Izraela. Lapid już dziś zastrzega, że nie ma mowy o zażegnaniu kryzysu przy stole negocjacyjnym. I przywołuje tu jako podstawę niepodważalny dogmat izraelskiej polityki – że pamięć o Holokauście nie podlega żadnej dyskusji. „Nie możemy zaakceptować przepisywania historii na nowo. Nie godzimy się na unikanie odpowiedzialności" – ostrzega. Pytanie tylko: czyjej odpowiedzialności? Tej „metafizycznej" Polaków za zbrodnie dokonane rękami Niemców?

Trudno mieć jakiekolwiek nadzieje na porozumienie z takimi ludźmi jak Lapid. Gorzej, że jest on człowiekiem wpływowym i dość reprezentatywnym dla sporej części Żydów. A jeśli tak, to z trudem budowane przez ostatnie ćwierć wieku stosunki polsko-izraelskie właśnie diabli wzięli.

Rząd premiera Netanjahu nie widział problemu, dopóki w Izraelu nie zawrzało, a jego przeciwnicy polityczni nie ruszyli do ataku. Gdy konflikt nagle wybuchł z całą mocą, izraelski rząd nie tylko się przyłączył do antypolskiej nagonki, lecz również zaczął rywalizować z oponentami na radykalizm, choć zapewne ma świadomość, że Izraelowi – w sensie politycznym – niespecjalnie to się opłaca.

Yair Lapid – po tym jak wyszły na jaw jego konfabulacje – nieco usunął się z pierwszej linii, choć nadal aktywnie działa przeciwko Polsce. W ostatni czwartek wystosował list do ambasador Unii Europejskiej w Izraelu z postulatem, aby poszczególne państwa członkowskie wsparły Izrael i potępiły Polskę, domagając się wycofania nowelizacji ustawy o IPN. Jak napisał na Twitterze: „Żadne polskie prawo nie może zmienić historii. Nigdy nie zapomnimy".

Problem w tym, że Polska nie dąży do zmiany historii, wręcz przeciwnie – sprzeciwia się manipulatorom takim jak Yair Lapid. Nic zatem dziwnego, że wywołuje to jego histeryczny sprzeciw.

eprasa.pl 3bfe60f465

Koalicja potiomkinowska

Współpraca PO z Nowoczesną może się skończyć, zanim ta koalicja zdąży się utrwalić w świadomości Polaków



STANISŁAW JANECKI

Kiedy Platforma Obywatelska i Nowoczesna nie rozmawiały o koalicji, a tylko były do niej namawiane, ewentualne skutki takiej współpracy jawiły się obiecująco. Kiedy ogłosiły zawarcie koalicji na wybory samorządowe, zaczęło to wyglądać jak „XXX Plenum Spółdzielni Zenum". Tak w „Misiu" Stanisława Barei stewardesy mówiły o dniu, w którym wszystkie samoloty odlatywały i przylatywały na Okęcie zgodnie z rozkładem. I wówczas powstawał taki bałagan i chaos, że trudno było nad czymkolwiek zapanować. Koalicja, przede wszystkim w wyborach do sejmików, została przez Katarzynę Lubnauer i Grzegorza Schetynę ogłoszona 26 stycznia 2018 r., a już kilka dni później zaczęły się kłopoty, czyli „XXX Plenum Spółdzielni Zenum". Głównie poza Warszawą, choć i w stolicy koalicja zawarta jeszcze przez Ryszarda Petru i Grzegorza Schetynę (23 listopada 2017 r. ustalono, że Rafał Trzaskowski będzie startował na prezydenta, Paweł Rabiej byłby zaś po wyborach wiceprezydentem) wydaje się mocno zahibernowana, a właściwie podminowana. Szczególnie po tym, jak Sojusz Lewicy Demokratycznej ogłosił (3 stycznia 2018 r.), że wchodzi w ten układ ze swoim kandydatem na wiceprezydenta Sebastianem Wierzbickim. Wraz ze zmieniającymi się sondażami maleje bowiem dobra wola Schetyny, by zadowolić koalicjantów w rozdziale miejsc do Rady Warszawy oraz rad 18 stołecznych dzielnic. Owi koalicjanci narzekają, że szef PO chce im dać zaledwie dziesiątą część tortu, a oni oczekują minimum jego trzeciej części.

MINIMUM PROGRAMOWE

26 stycznia 2018 r. Schetyna triumfalnie ogłosił: „Na poziomie zarządów krajowych naszych partii podjęliśmy decyzję o kalendarzu i zespole, który będzie koordynował współpracę, ustalimy minimum programowe na wybory. [...] Kamienie milowe to połowa lutego i koniec lutego". Owe kamienie milowe to „minimum programowe i ustalenie zasad współpracy w ramach list wyborczych". Lubnauer była równie entuzjastyczna. A nawet bardziej, co można było obserwować na zdjęciach, gdzie uśmiechała się od ucha do ucha, a właściwie szerzej. Szefowa Nowoczesnej napisała: „Zdecydowaliśmy o budowie podmiotowej koalicji otwartej na inne podmioty na wybory do sejmików wojewódzkich. Samorząd to ostatni archipelag wolności". Wąska koalicja PO z Nowoczesną ma być wstępem do szerszego zjednoczenia, tylko nikt nie wie, na czym miałoby ono polegać. Już w październiku 2017 r. odbyły się rozmowy opozycji o szansach współpracy, a uczestniczyli w nich Ryszard Petru z Nowoczesnej (inicjator), Andrzej Ha-



Fot. Julita Szewczyk, Mateusz Zelnik

licki z PO, Marek Sawicki z PSL, Włodzimierz Czarzasty z SLD, Magdalena Filiks z KOD i Jacek Protasiewicz z UED. „Musi powstać szerokie porozumienie opozycji" – zaklinał wtedy rzeczywistość Petru. I przestrzegał przed wąską koalicją Nowoczesnej z SLD, gdyż to byłaby ślepa uliczka. „Wszelkie miraże o koalicji Nowoczesnej z SLD byłyby złe dla Nowoczesnej i niezgodne z ideą, która przyświecała przy jej założeniu. Będę zawsze temu przeciwny i tym postulatom, które będą ewidentnie chciały wojować z Kościołem" – mówił Petru. Ale został ograny we własnej partii i stracił stanowisko przewodniczącego. A dziś twierdzi, że nie wie, w co gra Lubnauer. Nawet po tym, jak poszła w jego ślady w sprawie koalicji z PO.

Lubnauer i Schetyna powołali zespół organizacyjny koalicji składający się z Mariusza Witczaka i Jacka Protasa z PO oraz Witolda Zembaczyńskiego i Adama Szłapki z Nowoczesnej. Na razie jedynym osiągnięciem zespołu jest to, że istnieje, choć i w to członkowie obu partii wątpią, bo nie widać, żeby cokolwiek robił. Przede wszystkim koalicja ma problem z minimum programowym, ważnym dla Nowoczesnej, a przez liderów PO uznawanym za zawracanie głowy, bowiem wystarczającym minimum programowym jest wola współpracy. Jeszcze Petru o minimum programowym mówił: „Nie wyobrażam sobie sytuacji koalicji, czy to w wyborach samorządowych, czy parlamentarnych, kiedy nie jesteśmy w stanie porozumieć się w kwestiach fundamentalnych dla Polski, takich jak gospodarka, prawa kobiet, rozdział państwa od Kościoła czy kwestia uchodźców". Lubnauer to podtrzymuje, podczas gdy Schetyna uważa, że w wyborach samorządowych „kwestie fundamentalne" nie mają znaczenia, a wręcz są przeszkodą.

LOKALNA FIKCJA

PO i jej lider chcą pójść na wybory samorządowe bez żadnych wielkich idei, poza tą, że nie chcą oddać pola w samorządach partii Jarosława Kaczyńskiego. Najlepiej, gdyby koalicja była maksymalnie bezideowa i pragmatyczna, czyli taka jak lokalne, ponadpartyjne ugrupowania i inicjatywy. A właśnie te lokalne inicjatywy Schetyna chciałby opanować i wmontować w koalicję. Z prostego powodu: wzorem Dolnego Śląska coraz więcej samorządowców, wcześniej związanych z PO, emancypuje się i organizuje pod własnymi szyldami. A to grozi PO pozbyciem się większości aktywów, szczególnie w sejmikach i w miastach. Samorządowcy związani z PO od co najmniej roku uważają, że partia niemająca oparcia we władzy centralnej nie jest im do niczego potrzebna. Tym bardziej że centrala PO domaga się dzielenia łupami i stanowiskami, ale nic w zamian nie oferuje. Lokalne inicjatywy chcą więc mieć więcej dla siebie i nie widzą powodu, by dzielić się z centralą PO czy robić miejsce dla ludzi Schetyny w samorządowych spółkach i instytucjach. Remedium na to usamodzielnianie się lokalnych działaczy ma być bezideowość samorządowych koalicji.

Jak wygląda tworzenie bezideowych koalicji z udziałem partii i lokalnych inicjatyw, najlepiej widać na Śląsku. Mamy głośne deklaracje, zero konkretów oraz marne perspektywy na przyszłość. Formalnie liderzy PO (marszałek województwa Wojciech Saługa) i Nowoczesnej (posłanka Monika Rosa) zawarli umowę koalicyjną: wspólnie będą wybierać kandydatów do rad gmin, sejmików, popierać kandydatów na wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. W praktyce nic z tej koalicji nie wynika, szczególnie gdy chodzi o wciągnięcie do niej lokalnych inicjatyw i polityków. To rezultat konfliktów interesów. Tacy samorządowcy jak prezydenci: Katowic – Marcin Krupa, Gliwic – Zygmunt Frankiewicz, Zabrza – Małgorzata Mańka-Szulik, Tychów – Andrzej Dziuba, Bielska-Białej – Jacek Krywult, raczej nie wejdą w żadne koalicje partyjne, gdyż bez nich mają silniejszą pozycję niż z nimi. W Katowicach przymierzany do prezydentury Jarosław Makowski z PO nie miałby z Marcinem Krupą żadnych szans, więc popieranie go jest stratą czasu i sił. Podobnie byłoby z Moniką Rosą z Nowoczesnej. Jeśli w najważniejszych miastach regionu lokalni samorządowcy do niczego nie potrzebują PO ani Nowoczesnej, to ich koalicja jest czystą fikcją. A nawet gorzej, bo ci samorządowcy traktują ewentualne poparcie PO i Nowoczesnej jak pocałunek śmierci. I nie słuchają zaklęć wiceprzewodniczącego PO Borysa Budki, że trzeba się łączyć przeciw PiS, bo inaczej będzie armagedon. To wszystko oznacza, że kandydaci koalicji PO-Nowoczesna są w regionie słabi, a lokalni samorządowcy nie zamierzają ich wzmacniać.

UKRYWANIE PARTYJNOŚCI

Cała idea koalicji PO z Nowoczesną zasadza się na tym, że stosowana w polskich wyborach metoda D'Hondta premiuje takie twory. Ale arytmetyka jako jedyna podstawa koalicji to za mało. Poza tym koalicjantów wszystko różni, a przede wszystkim kwestia partyjności. Silniejsza PO chce partyjność ukryć, tworząc bezideową mieszankę z lokalnymi politykami i inicjatywami (zupełnie się do takiej współpracy niewyrywającymi), natomiast ukrywanie partyjności dla słabnącej w sondażach Nowoczesnej może być zabójcze. Dla PO partyjność to przypominanie rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz w Warszawie i wszystkich afer wiążących się z politykami tej partii, dlatego chcą partyjność w kampanii samorządowej wygumkować. Dla Nowoczesnej partyjność to właściwie jedyny wyróżnik. Nie dziwi więc deklaracja Halickiego, że „przede wszystkim liczymy na środowiska miejskie, działające pod różnymi szyldami lokalne stowarzyszenia". Problemem jest to, że owe środowiska miejskie nie liczą na PO. Ani na Nowoczesną. Lokalne inicjatywy uważają, że same znacznie więcej osiągną, więc dzielenie się miejscami z PO i Nowoczesną nie ma sensu.

PO i Nowoczesna mogą snuć wielkie plany zawojowania samorządów, lecz na razie są osamotnione. Dla lokalnych inicjatyw i polityków są „trędowate", a bez dobrze osadzonych lokalnych liderów nie będą miały nic do powiedzenia. Tym liderom PO i Nowoczesna nie są do niczego potrzebne, więc w żadne koalicje nie wejdą. Jeśli się zaś okaże, że przez najbliższe tygodnie zespół organizacyjny nie wypracuje żadnych konkretów ani nie pozyska sojuszników w terenie, na co się zanosi, to z wielkim hukiem ogłoszona koalicja PO i Nowoczesnej po prostu się rozpadnie – jako koalicja potiomkinowska.

eprasa.pl 3bfe60f465

Sukces w cieniu tragedii

Tomasz Mackiewicz zostanie na Nanga Parbat na zawsze. Elisabeth Revol uratowali członkowie polskiej Narodowej Zimowej Wyprawy na K2: Denis Urubko, Adam Bielecki, Jarosław Botor i Piotr Tomala. Ich błyskawiczna i przeprowadzona w ekstremalnych warunkach akcja ratunkowa przejdzie do historii światowego himalaizmu. W obliczu tragedii na Nagiej Górze na drugi plan zeszła informacja, że Polak i Francuzka – jako drugi zespół w historii – stanęli zimą na jej szczycie

Fot. Shutterstock



JAROMIR KWIATKOWSKI

To była siódma zimowa próba Tomasza Mackiewicza „Czapkinsa" na Nanga Parbat (8126 m n.p.m.). I czwarta Revol. Polski wspinacz wracał zimą na tę górę co roku w latach 2011–2016. Jako jedyny czterokrotnie przekroczył wysokość 7000 m n.p.m. Na szczycie jednak nie stanął. „To koniec, więcej już tu nie przyjadę" – zapowiedział dwa lata temu, po szóstej nieudanej próbie.

NIE DOTRZYMAŁ SŁOWA

W zimie 2016/2017 nie pojechał na Nangę. Rok później nie wytrzymał. „Ta góra nie daje mi spokoju, dlatego muszę tam wrócić" – napisał tuż przed ostatnią wyprawą.

Dr Helena Pyz, świecka misjonarka i lekarka, która w 2000 r. przyjęła Mackiewicza jako wolontariusza do ośrodka dla trędowatych Jeevodaya w Indiach, uważa, że jego ambicje wzięły górę nad wcześniejszymi postanowieniami. Jej zdaniem chodziło o osobę włoskiego himalaisty Simone'a Moro. Obaj w zimie 2015/2016 atakowali niezdobytą jeszcze wówczas o tej porze roku Nangę, ale to Włochowi udało się – razem z Alexem Txikonem i Alim Sadparą – wejść na szczyt. Helena Pyz w artykule sygnowanym przez KAI, a opublikowanym na portalu Misyjne.pl, opowiada, że schodzący Mackiewicz spotkał wtedy idącego w górę Moro. Ostrzegł go, że warunki są trudne, ale Włoch podjął atak szczytowy – jak się okazało, skuteczny. Mackiewicz nie bardzo wierzył, że Moro stanął na szczycie, sugerował, że to było niemożliwe w tak krótkim czasie i przy panujących wtedy warunkach pogodowych.

„Sądzę, że Tomek chciał pokazać, że on jeszcze tam dojdzie" – stwierdziła misjonarka w wypowiedzi dla serwisu Gala.pl. A w tekście na portalu Misyjne.pl podsumowała: „Przykro mi, że zaryzykował raz jeszcze, ale nie chcę oceniać go źle".

OD HEROINY DO „ABBA, OJCZE"

Mackiewicz, który 13 stycznia obchodził na Nanga Parbat 43. urodziny, był szalenie barwną postacią. Przez trzy lata był uzależniony od heroiny. Z nałogu wyrwał się dzięki terapii w ośrodku Monaru. W 2000 r. wyruszył z Polski do Indii, by pomagać trędowatym. Dwutygodniową podróż, której budżet (nie licząc kosztu wiz tranzytowych) wynosił 100 dol., w znacznej części odbył autostopem. Pobyt wśród hinduskich dzieci w ośrodku Jeevodaya, w roku Wielkiego Jubileuszu 2000, był dla niego czasem duchowej przemiany i zbliżenia do Boga.

W internecie można obejrzeć nagranie z maja ubiegłego roku, na którym Mackiewicz, siedząc w himalajskiej skalnej dziurze, zagłuszany chwilami przez huczący wiatr, intonuje „Abba, Ojcze" i „Down To The River To Pray". „Tak że, jak

eprasa.pl 3bfe60f465

widać, moi drodzy, jestem bliżej Boga tutaj. Zdecydowanie bliżej Boga" – mówi do kamery.

„Kiedy człowiek odbija się od dna, to chce osiągać szczyty. Tomek pokazał, że można wiele przezwyciężyć w sobie samym. Że nie musi nas obciążać zło, które było naszym udziałem. Że można się podnieść po upadku, a potem żyć pełnią życia" – uważa Helena Pyz.

GÓRY BYŁY JEGO ŚWIATEM

Wspinaczkowego bakcyla złapał jeszcze w Indiach. Tam wspinał się na niższe szczyty i – jak wspominał – z daleka patrzył na ośmiotysięczniki.

Pierwszym poważnym górskim osiągnięciem Mackiewicza był wyczerpujący trawers Mount Logan, najwyższego szczytu Kanady (5 959 m n.p.m.). Dokonał go w pionierskim stylu, podczas 40-dniowej podróży przez największe lodowce Alaski i Jukonu, z poznanym w Irlandii Markiem Klonowskim. Zostali za to nagrodzeni prestiżowym w środowisku wspinaczy Kolosem w kategorii Wyczyn Roku. Rok później, już samotnie, strawersował Chan Tengri (7 010 m n.p.m.) w Tien-szanie.

Mówiono, że ucieka w góry od problemów na dole. A tych nie brakowało: kilka lat temu upadła jego firma zajmująca się budową wysokich masztów do produkcji energii odnawialnej. Zniszczyło ją nieuchwalenie europejskiej ustawy nakazującej produkcję 20 proc. energii ze źródeł odnawialnych. Mackiewicz popadł w długi.

Nanga Parbat, jak powtarzał, wyciągnęła go z marazmu. Stała się jego marzeniem, swoistym uzależnieniem graniczącym z obsesją. Była pierwszym ośmiotysięcznikiem, który zdobył. Jak się okazało, także ostatnim.

„Tomek był ciężko pracującym człowiekiem, który dawał z siebie wszystko wszystkim. Niewiele zostawało, a może nic, co mógłby dać sobie... może Góry... były Jego własnym światem i spełnieniem, do którego miał prawo..." – napisała 28 stycznia na jego oficjalnym fan page'u na Facebooku żona, Anu Antonina Solska.

BŁYSKAWICZNA AKCJA W CIEMNOŚCI

Jeszcze 24 stycznia Mackiewicz informował na swoim fan page'u: „Jesteśmy na 7 300, straszna walka, jeśli pogoda dopisze, jutro szczyt". Jednak wiadomość, jaka dotarła do opinii publicznej 26 stycznia nad ranem, była inna, porażająca: Mackiewicz i Revol utknęli pod kopułą szczytową na wysokości 7 400 m n.p.m. i ich życie znalazło się w niebezpieczeństwie. „Czapkins" miał zapaść na ślepotę śnieżną i zdradzać objawy ciężkiej choroby wysokościowej. Revol sprowadziła go jeszcze 200 m niżej, po czym już samotnie zaczęła schodzić.

W wydanym tego rana komunikacie Janusz Majer, szef programu Polski Himalaizm Zimowy, ogłosił, że czterech członków Narodowej Zimowej Wyprawy na K2, wyposażonych w sprzęt ratowniczy oraz tlen, oczekuje na informacje w sprawie możliwości przelotu helikopterem z bazy pod K2 na akcję ratunkową na Nanga Parbat. Jednak pakistański przewoźnik zaczął blokować lot helikoptera, oczekując na gwarancje finansowe. Okazało się bowiem, że ubezpieczenie, jakim dysponowali wspinacze, jest niewystarczające do pokrycia kosztów lotu. Dzięki społecznej ofiarności w ciągu zaledwie kilku godzin zgromadzono potrzebne pieniądze.


Tomasz Mackiewicz

Fot. Tomasz Urbanek/DDTVN/East News

Znaczącą rolę odegrały MSZ i polska ambasada w Islamabadzie. – Deklaracja ministra spraw zagranicznych, że pokryje koszty akcji z użyciem helikoptera, spowodowała, iż można było zacząć rozmowy z przewoźnikiem – relacjonuje Majer. Szef PHZ podkreśla także dużą rolę przedstawiciela ambasady, Zbigniewa Wyszomirskiego, dzięki staraniom którego, mimo niskiego pułapu chmur, helikoptery poleciały najpierw do bazy pod K2, a następnie pod Nanga Parbat.

Ekipa ratunkowa w składzie: Denis Urubko, Adam Bielecki, Jarosław Botor i Piotr Tomala dotarła na Nanga Parbat 27 stycznia pod wieczór. Lądowali nieco poniżej obozu I, na wysokości ok. 4 800 m n.p.m. Botor i Tomala zaczęli przygotowywać obóz na przyjęcie poszkodowanych. Urubko i Bielecki, mimo zapadających ciemności, przy temperaturze -40 °C, rozpoczęli wspinaczkę w stronę Elisabeth Revol. Wybrali drogę Kinshofera, licząc na to, że będzie ona wyposażona w stałe liny poręczowe po jesiennych wyprawach komercyjnych. Nie mylili się. Poręczówek, jak opowiada Urubko w wywiadzie dla hiszpańskiego magazynu „Desnivel", było sporo, do tego w dobrym stanie, co umożliwiło szybką wspinaczkę.

Tempo wspinania było imponujące. W ciągu ok. 8 godzin Urubko i Bielecki pokonali 1100–1200 m w pionie. Nie dziwi to Janusza Majera: – Oni słyną z tego, że mają doskonałą wydolność, poza tym mieli już zaliczoną aklimatyzację na K2 do 6 200 m.

„Była noc – opowiada Urubko we wspomnianym wywiadzie – chcieliśmy iść na lekko, ale musieliśmy się dociążyć, trzeba było przetransportować sprzęt ratunkowy: namiot, lekarstwa... Podjęliśmy wielki wysiłek, z którego jesteśmy w pełni zadowoleni. Myślę, że każdy wspinacz w podobnej sytuacji zrobiłby to samo, co ja i Adam".

Odnaleźli Elisabeth Revol na wysokości ok. 6 000 m n.p.m. Urubko: „Właśnie minęliśmy obóz drugi, który jest na wysokości ok. 5 950 m. Kiedy tam dotarliśmy, panowały całkowite ciemności, nic nie widziałem. Przez radio ktoś powiedział nam, że zdawał się widzieć »schodzące światło«. Zacząłem krzyczeć, było wietrznie, to był prawdziwy cud, że usłyszeliśmy głos w ciemności. To była wielka radość, ponieważ wiedzieliśmy, że jesteśmy blisko niej i że będziemy mogli jej pomóc".

Francuzka, jak opisuje Urubko, „była całkowicie wyczerpana, jej palce były bardzo białe, schodziła może 20 m na godzinę. Była przemarznięta, wychłodzona, zmęczona, ale jest bardzo silną kobietą, która zrobiła coś niezwykłego".

eprasa.pl 3bfe60f465

Urubko i Bielecki podali Revol płyny i lekarstwa. Cała trójka odpoczęła do świtu, siedząc w płachcie namiotowej.

– 28 stycznia o godzinie 7.15 zaczęli schodzić – opowiada Majer. – Ponieważ Elisabeth miała poważne odmrożenia dłoni i nie mogła nimi sama operować, musieli ją opuszczać. Byli pełni podziwu, że Revol, używając samych nóg, była w stanie im w tym pomóc. W trudnej ścianie opuszczanie szło powoli, ale kiedy już dotarli do dolnego kuluaru lodowego – znacznie szybciej.

Dzięki interwencji Zbigniewa Wyszomirskiego helikoptery przyleciały po nich bardzo szybko. Po godzinie od zejścia do podnóża ściany cała piątka została ewakuowana. Revol trafiła do szpitala w Islamabadzie (obecnie jest już we Francji pod opieką lekarzy), a polscy ratownicy polecieli do Skardu.

Tego samego dnia Janusz Majer przekazał, że „ze względu na pogarszające się warunki atmosferyczne nie ma już żadnych szans na akcję ratunkową Tomasza Mackiewicza, który znajduje się na Nanga Parbat na wysokości ok. 7200 m".

– Aby taka akcja była możliwa, potrzebny byłby kolejny helikopter i nowa ekipa ratownicza z naszej bazy pod K2. Niestety potwornie załamała się pogoda i nie było możliwości, żeby jakikolwiek helikopter mógł polecieć – tłumaczy szef PHZ.

Dlaczego po Mackiewicza nie mogli pójść ci, którzy uratowali Revol? Urubko tłumaczy: „W tamtym czasie musieliśmy podjąć decyzję: albo pomóc przetrwać Elisabeth, albo kontynuować akcję, z nikłą nadzieją na znalezienie Tomka. Mieliśmy także bardzo złą prognozę pogody na kolejne dni. Było oczywiste, że musimy zostać z Elisabeth, która była bardzo słaba, i dlatego postanowiliśmy skupić się na niej".

Identycznego zdania jest Janusz Majer: – To, co zrobili, to już i tak był nadludzki wysiłek.

Zakładając hipotetycznie, że ratownicy jakimś cudem dotarliby do Mackiewicza, prawdopodobnie i tak nie mogliby go uratować ze względu na jego stan zdrowia. Z opisu Revol wynika, że Polak miał już objawy ciężkiej choroby wysokościowej: pojawiła się krew z ust, był nieprzytomny.

Szef PHZ nie ma wątpliwości, że gdyby Revol nie zdecydowała się na samotne zejście, mielibyśmy dziś dwa trupy.

– Czujemy wielki żal, że nie mogliśmy pomóc Tomkowi – podkreśla Majer.

Denis Urubko, Adam Bielecki i uratowana przez nich Elisabeth Revol



Fot. East News

BOHATEROWIE I HEJTERZY

Akcja polskich himalaistów wzbudziła powszechny podziw. Okrzyknięto ich w mediach, także zachodnich, bohaterami. Szaleńcami, którzy ryzykując życiem, dokonali cudu.

Ale polscy internauci nie odpuścili nawet bohaterom. „To wręcz niewyobrażalne, że go tam tak zostawili na pewną śmierć! Tak się nie kończą wyprawy ratunkowe!" – to jeden z komentarzy na facebookowym profilu mojego znajomego.

„Oczywiście serce pękło, gdy usłyszałam, że nie pójdą dalej, nie pójdą po Tomka. Ale to są góry i to takie, w których nie nam dane jest oceniać decyzje, bo to oni są na miejscu. Oni też nie mogą narazić się na pewną śmierć. Proszę wszystkich, żeby przestali oceniać i przestali mówić, dlaczego po nich nie pójdą. To nie jest przejście po Marszałkowskiej, to warunki absolutnie ekstremalne, oni nie mieli aklimatyzacji na 7000 m. Odpuśćmy, podziękujmy im za to, co zrobili" – prosiła w TVN24 Małgorzata Sulikowska, szwagierka Mackiewicza.

– Uważam, że koledzy dokonali czegoś niesamowitego, w doskonałym stylu. Wiem, jaką to ma wartość, więc na hejt, jaki ich spotkał, nie zwracam uwagi – dodaje Janusz Majer.

Oberwało się też francuskiej himalaistce, że zostawiła Mackiewicza na pewną śmierć. Stanowisko w tej sprawie, zawarte w raporcie o akcji ratunkowej opracowanym przez Polski Himalaizm Zimowy, jest jednoznaczne: „Tomasz Mackiewicz nie miał szans na przeżycie, a Elisabeth Revol nie była w stanie zrobić dla niego nic więcej, niż tylko owinąć go szczelnie śpiworem i schować przed wichurą w lodowej szczelinie".

Najmocniejszy hejt został jednak wymierzony w Mackiewicza i Revol za to, że „w ogóle się tam pchali". Internauci pytali, z jakiej racji ktokolwiek ma się zrzucać na akcję ratunkową oraz jakim prawem MSZ dało gwarancje finansowe z budżetowych, czyli naszych, pieniędzy.

„Nie chcesz, to nie wpłacaj, ale pozwól innym pomagać, jeśli uznają to za stosowne" – odpowiedział hejterom Wojciech Teister z „Gościa Niedzielnego".

Proszę nie mówić o Nim źle...

„Czapkins" osierocił trójkę dzieci w wieku dziewięć, siedem i sześć lat. Na ich rzecz prowadzone są dwie zbiórki: na https://zrzutka.pl/ae8hc5 i na https://www.gofundme.com/rescue-on-nanga-parbat.

„Proszę nie mówić o Nim źle... był, jest Pięknym i Dobrym Człowiekiem. Jest tu z nami [...]. Dziękuję z całego serca... Moja Miłość do Niego jest wieczna... Dzieci kochał i kocha ponad wszystko na świecie i one Jego..." – napisała na fan page'u męża Anu Antonina Solska.

Janusz Majer: – Tomek zrealizował swoje marzenie, ale cena, jaką zapłacił, była potworna. To był jednak jego wybór i chciałbym, żeby go uszanowano.

eprasa.pl 3bfe60f465

Sto Pracowni Orange na stulecie niepodległości

Dostęp do internetu to dostęp do wiedzy i nowych możliwości. Cyfrowe kompetencje ułatwiają zdobycie lepszej pracy nie tylko dla młodych, lecz i dla starszych osób

To szczególnie istotne w mniejszych miejscowościach i na wsiach. Nic dziwnego, że cyfryzacja mniejszych miejscowości jest jednym z kluczowych elementów strategii rządu premiera Mateusza Morawieckiego.

W Polsce w latach 2012–2017 odsetek mieszkańców terenów wiejskich regularnie korzystających z internetu wzrósł z 48 do 64 proc. W przypadku małych miast było to odpowiednio 59 i 74 proc. Obszary wsi i małych miast najszybciej się cyfryzują, ale też mają najwięcej do nadrobienia. A to właśnie nowe technologie mogą się stać sposobem na szybkie zniwelowanie dystansu rozwojowego, jaki dzieli Polskę od krajów wysokorozwiniętych. Dzięki wieloletnim inicjatywom wspieranym przez państwo, m.in. w ramach Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa, szybka sieć internetowa dociera do coraz większej liczby Polaków.

Ale sama infrastruktura to nie wszystko. Ważne też, żeby wiedzieć jak i chcieć skorzystać z możliwości, jakie daje sieć. Dlatego kluczowa jest cyfrowa edukacja. O tym, że można to robić z pomysłem i skutecznie, przekonują Pracownie Orange. Dziś 900 tys. Polaków może korzystać z zafundowanych przez operatora multimedialnych świetlic w całym kraju. Firma właśnie oddała do użytku setną pracownię.

– Fundując setną Pracownię, chcemy uczcić stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości i pokazać poprzez oddolne, obywatelskie inicjatywy nowoczesny wymiar patriotyzmu. Widzimy, że program już na etapie przygotowania zgłoszeń jednoczy i mobilizuje lokalne społeczności. Cieszę się, że tworzymy w ten sposób nie tylko miejsca, gdzie można za darmo skorzystać z internetu, lecz coś o wiele bardziej wartościowego: lokalne centra aktywności społecznej – powiedział Jean-François Fallacher, prezes Orange Polska.

Setna Pracownia Orange powstała w mazowieckich Kozerkach. Dzięki zapałowi i determinacji do wspólnego działania ta licząca 600 mieszkańców miejscowość zdobyła w internetowym głosowaniu ponad 18 tys. głosów, uzyskując drugi wynik w województwie.

Pracownie prowadzą własne, autorskie programy dopasowane do potrzeb i zainteresowań lokalnych społeczności. Pozwalają one rozwijać innowacyjność i kreatywność młodego pokolenia, przygotowywać je do wyzwań zmieniającego się rynku pracy, ale także przeciwdziałać cyfrowemu wykluczeniu osób dorosłych, w tym seniorów.

– Dotąd w świetlicy sołeckiej nic się nie działo. Biblioteka w naszej miejscowości też nie była miejscem spotkań. Teraz warsztaty z robotyki i programowania są tu, na miejscu. Wcześniej najbliższa placówka, w której można rozwijać tak zaawansowane zainteresowania dzieci, była 20 km stąd. Niektórzy rodzice na takie zajęcia wozili dzieci nawet do Wrocławia – 100 km od naszego Sokołowska – mówi Kamila Krysiak z SOKO – Pracowni Orange w Sokołowsku.

Aż 3/4 osób odwiedzających Pracownie to dzieci i młodzież. To oni najczęściej aktywnie współtworzą realizowane później projekty. Są to m.in. warsztaty (fotograficzne, nowych technologii, kodowania), akcje charytatywne, działania społeczne oraz imprezy plenerowe. Co trzecia Pracownia organizuje zajęcia z programowania. Seniorzy najchętniej korzystają natomiast ze szkoleń z obsługi podstawowych programów komputerowych i poczty elektronicznej. Często to jedyne miejsca w okolicy, w których można kreatywnie spędzić czas.

– Także szkoła przysyła tu dzieci, bo mamy znacznie lepsze warunki. To dla nas bardzo ważna sprawa, bo nawet jeśli na 400 mieszkańców Sokołowska przychodzi regularnie 10 dzieci, to zawsze jest to te 10 dzieci, które mogą coś w przyszłości zmienić w naszym życiu. Kto wie. One nie przychodzą tu pograć. Najfajniejsze jest właśnie to, że przychodzą na zajęcia, a oprócz tego świetlica stała się też tym miejscem spotkań, bo przecież nikt nie zabroni im pograć z innymi. Poza tym po latach widzimy, że to zainteresowanie i zaangażowanie w podobne rzeczy w końcu ruszyło – dodaje Kamila Krysiak.

W ramach programu Pracownie Orange każda ze stu stworzonych placówek otrzymała komputery, bezpłatny internet, konsolę do gier, telewizor LCD, a także meble oraz pomoce dydaktyczne (m.in. roboty edukacyjne, dzięki którym dzieci i młodzież będą się uczyć programowania. Fundacja Orange zorganizuje w Pracowniach wkrótce warsztaty cyfrowe z druku 3D i modelowania. Łącznie w ciągu sześciu lat działania Pracowni Orange przeznaczył na ich wyposażenie ponad 3 mln zł.

Maksymilian Wysocki

68/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465

Wybrzeże pod mętną wodą



Fot. Jarosław Małkowski/East News

Samorząd zadłużony po uszy chwilówkami w parabankach. Wielka biznesowa przyjaźń, która przerodziła się w nienawiść. Wojna wokół budowy największego w Polsce hotelu. I wszechobecny cień podejrzanego o korupcję barona PO Stanisława Gawłowskiego. To, co wydarzyło się w ostatnich latach w nadmorskiej gminie Rewal, mogłoby posłużyć jako materiał do kilku spotów PiS, w sam raz na zbliżające się wybory samorządowe. Czy posłuży? Zależy. Przede wszystkim od tego, czy uda się wyjaśnić do spodu lokalne afery i rozbić sieć patologicznych powiązań. To zadanie dla służb, instytucji państwa i przysłanego do gminy jeszcze przez premier Beatę Szydło komisarza

W nadmorskiej gminie Rewal zawsze było pięknie, a do niedawna także bogato. Czynione z gigantycznym rozmachem inwestycje napawały mieszkańców dumą. Dziś są powodem wstydu i trosk. Publiczne pieniądze wydawano wyjątkowo lekką ręką: rewitalizacja kolei wąskotorowej za 50 mln zł, trzy hale i stadion, obwodnica, remiza.



PIOTR FILIPCZYK

Za kilka lat miało tu być polskie Lazurowe Wybrzeże.

To wszystko jednak robione było na kredyt „pod unijne dotacje". Dług narastał, komercyjne banki odmówiły kredytowania gminy, władze zwróciły się więc do... parabanku. Pożyczono pieniądze, odsetki były bardzo wysokie, zadłużenie gminy przekroczyło 130 mln zł przy rocznych dochodach

eprasa.pl 3bfe60f465

rzędu niespełna 52 mln zł. Obsługa długu stała się niemożliwa, o plajcie Rewala i szokującej pożyczce w parabanku dowiedziała się cała Polska, mieszkańcy gminy zaś usłyszeli, że pustą kasę trzeba zapełnić z ich podatków – podniesionych do maksymalnego dopuszczalnego wymiaru.

„POCZULIŚMY ZAPACH PIENIĘDZY"

Osobą odpowiedzialną za to szaleństwo był wójt Robert S. Pewny siebie, z zaczesanymi do tyłu długimi włosami, w nieźle skrojonych garniturach pasował do wizji „polskiego Lazurowego Wybrzeża". Jego wielkim atutem było długoletnie doświadczenie w samorządzie i doskonałe umocowanie w partii matce, czyli Platformie Obywatelskiej.

– Oświęcimski [Konstanty, poprzedni wójt Rewala i były poseł PO – przyp. red.] i S. to wychowankowie Gawłowskiego. On ich stworzył. Na własne podobieństwo – ocenia poseł PiS ze Szczecina Krzysztof Zaremba.

„Poczuliśmy zapach tych unijnych pieniędzy, które wydały nam się bardzo atrakcyjne: bo kiedy, jeśli nie teraz?" – zwierzał się S. w 2016 r. Tłumaczył, że nie przewidział, iż dochód gminy zacznie się zmniejszać, zamiast zwiększać. I że będą problemy ze sprzedażą mienia, która miała załatwić problem długu. „Rewal jest położony przy samym morzu, gruntów mamy na kilkaset milionów. Tu jest olbrzymi potencjał, jeżeli chodzi o majątek" – wyjaśniał bez ogródek S.

SELF-MADE MAN

O ten potencjał, czyli po prostu gigantyczne pieniądze, toczy się gra. Poznajmy kolejnego jej uczestnika.

Janusz Zalewski prezentuje się w mediach jako klasyczny self-made man. Najpierw był kuchcikiem w pensjonacie rodziców, potem szefem wojskowej stołówki, a następnie ajentem wielu podobnych przybytków nad morzem. Jednym z nich był ośrodek wczasowy Zakładów Pończoszniczych „Sandra".

„Wiedziałem, że ajencja nie będzie trwała wiecznie i w 1992 r. wydzierżawiłem ten obiekt, a cztery lata później kupiłem" – tak Zalewski przedstawiał swoją biznesową drogę dziennikarzowi „Gazety Wyborczej".

Dziś ma dwa hotele pod marką Sandra SPA (w Pogorzelicy i Karpaczu), kontroluje kilka innych przedsięwzięć związanych z turystyką i gastronomią, buduje w Gryficach pierwszy w swoim portfolio hotel czterogwiazdkowy. W 2012 r. chwalił się zyskiem na poziomie 20 mln zł netto. Trudno się dziwić, że o jego względy zabiegali lokalni notable, a on sam – nie odmawiał. Towarzystwa ani dobrego słowa. Przede wszystkim zna Gawłowskiego, a to w regionie podstawa. Ma doskonałe relacje ze starostą gryfickim Kazimierzem Saciem z PO, który zasłynął pozowaniem w czerwonym ferrari czy wyprawieniem „dorocznej odprawy służb mundurowych" na 500 osób i 250 butelek wódki. Jego bratnią duszą był też Robert S. – Żyli za pan brat. Największy biznesmen i wójt. Wiadomo, jak to w każdej gminie – opowiada nam jeden z mieszkańców.

Jeszcze w 2015 r., kiedy o koszmarnym zadłużeniu Rewala było głośno w całej Polsce, wypowiedzi Zalewskiego o S. ociekały lukrem. „S. wykonując tak wiele inwestycji, okazał się wizjonerem. Niezależnie od błędów, które popełnił. Za jego czasów gmina znakomicie się zmieniła. Może teraz będzie miał wizję, jak naprawić jej finanse?" – zastanawiał się na łamach „Gazety Wyborczej".

Nagle wszystko się zmieniło.

NAJWIĘKSZA TRANSAKCJA W HISTORII GMINY

„Ponad 2200 osób pomieścić ma największy hotel w Polsce. [...] Prawie 30-hektarowy teren doczekał się inwestora. Powstanie tam pięciogwiazdkowy hotel. [...] Po odczytaniu niezbędnych informacji o terenie oraz jego planowanym przeznaczeniu padło pytanie o ofertę sprzedaży, której cena wywoławcza wynosiła 49 999 000 zł. Na sali konferencyjnej zapadła cisza, którą po chwili namysłu przerwał Tadeusz Gołębiewski. Właściciel sieci pięciogwiazdkowych hoteli zaproponował 50 500 000 zł za teren w Pobierowie. To największa transakcja handlowa w historii gminy Rewal" – relacjonowała wielkie wydarzenie ze stycznia 2017 r. oficjalna strona gminy.

Transakcję sprzedaży terenów po dawnej jednostce wojskowej odtrąbiono jako cudowny ratunek dla zadłużonego Rewala. Podkreślano sprawność S., bo Gołębiewski wybrał jego gminę kosztem Łeby, gdzie miał problemy z urzędnikami i opinią Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Początkowo nikt nie zwracał uwagi na cenę, mimo że ta wydawała się wyjątkowo korzystna dla nabywcy – za metr gruntu w Rewalu trzeba zazwyczaj zapłacić kilka razy więcej, nawet 500 zł. Odłożono na bok pytania o to, dlaczego S. planował początkowo dzielenie ogromnej działki i sprzedaż grunt w kawałkach (co z pewnością zapewniłoby większy zysk), a potem zmienił zdanie i sprzedał ją w całości. Nie zajmowano się specjalnie pierwotnym brakiem zgody Urzędu Morskiego na sprzedaż gruntów ze względu na zagrożenie powodziowe, zwłaszcza że – po namowie wójta – urząd podzielił pogląd, iż inwestor jest gwarantem przestrzegania warunków oraz harmonii i ładu przestrzennego. Analiza umowy wskazuje także na niekorzystne dla gminy długie terminy rozpoczęcia inwestycji.

– O tym, że przetarg jest zrobiony w pośpiechu i że warunki są korzystne dla inwestora, wiedzieli wszyscy. No ale przecież trzeba było ratować gminę, więc zapadła cisza – opowiada nam jeden z lokalnych samorządowców. Milczeć nie chciał Janusz Zalewski, który diametralnie zmienił zdanie o S. Człowiek, który jeszcze niedawno był „wizjonerem", teraz stał się dla niego szkodnikiem. W ogłoszonym nieco ponad miesiąc po rozstrzygnięciu przetargu liście otwartym do mieszkańców Zalewski gwałtownie zaatakował wójta. Pretekstem była niekorzystna dla niego uchwała o odbiorze śmieci.

„Nie będę ukrywał, że już w tym roku budżet gminy Rewal ze względu na takie podejście do inwestora, który od lat płacił największe podatki i wspomagał gminę [Zalewski mówi tu o sobie – przyp. red.] będzie uszczuplony o kwotę około miliona złotych" – zapowiadał. Dodawał też, że „nie może powiedzieć, że władze gminy pomagały w rozwoju przedsiębiorstwa. Wręcz przeciwnie".

„Zastanawiam się, jak wytłumaczyć mam postępowanie wójta i jego popleczników. Jeśli nie jest to zawiść, zazdrość lub lobbowanie na korzyść innych inwestorów w celu szykowania

eprasa.pl 3bfe60f465

sobie posady, to chyba tylko mogę to określić jako głupotę" – dodawał Zalewski.

WOJNA

Wojna rozgorzała na dobre. Wójta i inwestycję Gołębiewskiego zaczął gwałtownie atakować piórem redaktora Mirosława Kwiatkowskiego z miejscowego „Kuriera Szczecińskiego". To ciekawa postać. „Gazeta Polska Codziennie" zarzuciła mu współpracę z SB, a także atakowanie działaczy opozycji antykomunistycznej w publikacjach po 1989 r. Jest tajemnicą poliszynela, że Kwiatkowski i Zalewski dobrze się znają, krążą plotki o wakacjach redaktora spędzanych w hotelu Sandra. Gdy pytamy Zalewskiego o sprawy związane z przetargiem na powojskowe tereny, ten odsyła nas właśnie do Kwiatkowskiego, podając komórkę do dziennikarza...

„Wspomnianą nieruchomość nabył znany właściciel sieci hoteli w Polsce Tadeusz Gołębiewski. Znany m.in. z tego, że ma w nosie przepisy i od lat je łamie". „W Pobierowie znany potentat w branży hotelowej Tadeusz Gołębiewski rozpoczął budowę kolejnego potężnego hotelu, tym razem na 2,2 tys. miejsc. Prace ruszyły z kopyta, zanim jeszcze została wydana zgoda i teraz nadzór budowlany wstrzymał roboty. Jak to mówią: co nagle, to po diable" – te dwa cytaty dobrze oddają ton, w jakim o Rewalu pisze dziś „Kurier Szczeciński".

> Człowiek, który w imieniu mieszkańców podpisuje umowy z parabankami, nie powinien pełnić żadnej funkcji – mówi o odwołanym wójcie Rewala jego następca w urzędzie

Zalewski nie chce powiedzieć wprost, czy miał chrapkę na powojskowe grunty i czy sprzedanie ich Gołębiewskiemu było przyczyną konfliktu z S. – Nie wypada mi mówić o konkurencji – stwierdza. Podkreśla jednak, że ziemia w gminie jest droga i wskazuje na rzekome luki w akcie notarialnym. Opowiada też o teoretycznej sytuacji, w której ktoś buduje hotel na 6–10 ha, a pozostałe 20 ha sprzedaje po komercyjnej cenie (np. 500 zł za metr). W efekcie ma ten grunt za darmo. – Proszę jednak, żeby wątek ja–Gołębiewski nie był w artykule poruszony – zastrzega.

Biznesmen potwierdza, że przez dwie kadencje „bardzo wspierał wójta". Wyjaśnia, że nie wiedział, w jaki sposób prowadzone były gminne inwestycje. Oświecenie przeżył w momencie, gdy ich kosztami zaczęto obciążać mieszkańców. Od tej pory zaczął głośno mówić o nieprawidłowościach. Inwestycja Gołębiewskiego nie ma tu nic do rzeczy.

Wydaje się jednak, że Zalewski nie jest specjalnie zmartwiony psującym się klimatem wokół budowy największego hotelu w Polsce. A ta idzie jak po grudzie. Gołębiewski bez pozwolenia postawił na kupionym terenie betoniarnię i podest, co zakwestionował nadzór budowlany i nakazał rozbiórkę. Ślimaczą się prace nad realizacją kolejnych etapów przedsięwzięcia, ludzie pracujący dla hotelowego potentata – jak ustaliliśmy nieoficjalnie – wyrażali obawę, czy umowa z gminą nie zostanie przypadkiem unieważniona. Największym problemem jest jednak ten wizerunkowy. Okazuje się bowiem, że wójt S. znalazł zatrudnienie w jednej ze spółek Gołębiewskiego!

– Wnioski nasuwają się same. Zalewski się piekli, bo został odsunięty, ale miał rację, że wójt po prostu przygotowywał sobie grunt pod przyszłą posadę. Zwykły skandal – kwituje jeden z naszych rozmówców.

LUDZI ŁATWO PRZEKUPIĆ

W czerwcu 2017 r. Robert S. usłyszał wiele zarzutów, w tym niegospodarności. Został zawieszony, a następnie – we wrześniu 2017 r. – odwołany przez premier Beatę Szydło. Obowiązki wójta pełni dziś Maciej Bejnarowicz, wcześniej zastępca wójta gminy Kołobrzeg.

– Nie poradzi sobie, ugrzęźnie w tym naszym bagnie. Zwłaszcza że sam jest stąd, z „księstwa Gawłowskiego". Ale oczywiście mu kibicuję – mówi nam, chyba trochę z przekąsem, lokalny działacz, który od dawna ostro krytykował porządki w gminie.

Bejnarowicz zapewnia jednak, że radzi sobie całkiem nieźle. Współpracuje z instytucjami wyjaśniającymi nieprawidłowości. Przeprowadził audyt, który wykazał, że za tragedię gminy odpowiada m.in. zła organizacja pracy w urzędzie (treści dokumentu nie ujawni, jest poufna). Sytuacja gminy staje się według niego stabilna, zadłużenie na koniec roku ma wynieść 44 mln zł, być może uda się wówczas obniżyć podatki. Nie obawia się, że inwestycja Gołębiewskiego się nie uda, bo „opóźnienie nie ma charakteru krytycznego". Umowy z Gołębiewskim rozwiązywać nie chce, bo w tej chwili nie ma ku temu podstaw. Jest ona zresztą, jak mówi, „przedmiotem zainteresowania służb i instytucji", m.in. RIO i CBA. Nie wnika w relacje były wójt–inwestor. Bejnarowicz nie może potwierdzić, że S. pracuje u Gołębiewskiego, ale „jeśli to prawda, to sytuacja jest co najmniej dwuznaczna". Z Gołębiewskim się dotąd nie spotkał, rozmawiał tylko z jego pracownikami. Z Zalewskim też nie miał żadnego kontaktu poza otwartym spotkaniem dotyczącym odbioru śmieci. Długo prosimy go, by ocenił działalność S. – Człowiek, który w imieniu mieszkańców podpisuje umowy z parabankami, nie powinien pełnić żadnej funkcji. Być może w ordynacji wyborczej powinien być zapis, że skoro wybiera się ludzi nieprzygotowanych, to należy zatrudnić choć zastępcę wójta o określonych kwalifikacjach. Rewal pokazał, że jest jakaś luka. A ludzi, wyborców, stosunkowo łatwo jest przekupić... – kwituje Bejnarowicz.

Z Robertem S. nie udało nam się skontaktować. Przedstawiciele Hotelu Gołębiewski nie odpowiedzieli na nasze pytania. Śledztwo w sprawie Rewala prowadzi Prokuratura Okręgowa w Szczecinie.

eprasa.pl 3bfe60f465



Pod czułą opieką

Olsztyńskie Hospicjum Domowe Caritas po latach starań otrzymało od urzędu miasta budynek na działalność stacjonarną. Wymaga on gruntownego remontu. Potrzebne są środki finansowe na przebudowę i uruchomienie placówki



ANNA RACINIEWSKA

Hospicjum w Olsztynie działa od 2001 r. Zaczynało, opiekując się dwoma pacjentami. Dzisiaj jest ich prawie 200, wśród nich 60 dzieci. Hospicjum domowe jest formą opieki paliatywnej świadczonej w domu chorego, gdzie może on przebywać wśród swoich najbliższych. Nad zabezpieczaniem potrzeb medycznych, emocjonalnych i duchowych pacjenta oraz jego rodziny czuwa zespół hospicjum: lekarze, pielęgniarki, psycholodzy, pracownicy socjalni, rehabilitanci, a także kapelan i wolontariusze. Pozostają w dyspozycji bez przerwy: siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę.

– Pod opieką hospicjum znajdują się głównie pacjenci z chorobami nowotworowymi, układu nerwowego, wadami wrodzonymi, stanami rozpoczynającymi się w okresie okołoporodowym, chorobami metabolicznymi. Towarzyszymy rodzinom od momentu zdiagnozowania nieuleczalnej choroby, w codziennym zmaganiu się z nią – mówi lekarz pediatra Teresa Niczyperowicz.

Hospicjum otacza opieką nie tylko chorych w stanie terminalnym. Pacjentami są także dzieci, które cierpią na nieuleczalne choroby. Niektóre są pod opieką zespołu od samego początku, od 17 lat. Nigdy nie zostaną wyleczone ze swoich dolegliwości, ale dzięki postępowi medycyny i uważnej opiece hospicjum żyją, rosną i cieszą się każdym kolejnym dniem.

– Towarzyszymy im od najmłodszych lat, jesteśmy im bliscy. Widząc nas dwa razy w tygodniu przez wiele lat, traktują nas jak rodzinę. Niektóre dzieci nazywają nas ciociami lub mówią po imieniu. Jesteśmy traktowani jak członkowie rodziny: zapraszani na urodziny, aby świętować każdy kolejny rok życia malucha, szczególnie wtedy gdy to życie było bardzo zagrożone – opowiada ze wzruszeniem siostra Luiza Świerczewska, kierownik hospicjum. – My również jesteśmy bardzo związani ze swoimi pacjentami. To nie jest tak, że wchodzimy, wychodzimy i zapominamy. Przejmujemy się tą chorobą, całą sytuacją rodzinną, przeżywamy

eprasa.pl 3bfe60f465



to. Boli nas ta odwrócona kolej rzeczy: gdy umiera dziecko, człowiek młody, gdy jego rodzic musi mu towarzyszyć przy umieraniu – dodaje.

Szczególnym przeżyciem dla zespołu jest to, kiedy pod opiekę przychodzi dziecko z nowotworem. Do hospicjum trafia już po całym dostępnym leczeniu. Gdy już wiadomo, że umiera, rodzice decydują się zabrać je do domu i tam ze wsparciem domowego hospicjum być razem do końca.

Od niedawna hospicjum dziecięce prowadzi także opiekę perinatalną. To wsparcie i towarzyszenie w chorobie zdiagnozowanej już podczas ciąży. Trudne, ale jednocześnie niezwykłe losy pacjentów uczą szacunku i pokory. Pokazują też, że ludzkie wyrokowanie bywa mylne. Pacjentem hospicjum był maleńki Patryk. Urodził się już z wyrokiem: miał żyć trzy miesiące.

– Trzeba było widzieć, jak ta rodzina przeżywała każdy kolejny dzień razem. Każdą chwilę od urodzenia traktowali jak wielki dar. I okazało się, że nie ma co wyrokować: zdążyli z nim pobyć nie trzy miesiące, lecz dwa lata. Inaczej również przechodzą żałobę: pogodzeni i pamiętając o radości, jaką przyniósł im każdy wspólnie spędzony dzień. Patrzyłam na heroizm tych młodych rodziców każdego dnia, dla mnie są bohaterami – przywołuje wspomnienie niezwykłej rodziny siostra Luiza.

– Nikt nie wie, jak może się ułożyć życie. Są schorzenia, które nie rokują dobrze. Ale nie wolno wydawać wyroku! Ola jest naszą pacjentką od szóstego tygodnia życia. Wypisano ją ze szpitala, mówiąc matce, że z powodu wielu wad wrodzonych dziewczynka niedługo umrze. A ona żyje. Dziś ma 14 lat. Mimo że różni się od innych dzieci, jest radosna, uśmiechnięta i kochana – opowiada Teresa Niczyperowicz.

Jednym z najważniejszych codziennych wyzwań jest walka z bólem. Pacjenci cierpią i obawiają się, że udręka będzie nie do zniesienia. Lekarze i pielęgniarki troszczą się o to, nie szczędzą leków, są w ciągłej dyspozycji w razie pogorszenia się stanu pacjenta. Nie mniej niż ulgi w bólu chorzy pragną wsparcia psychicznego, obecności w trudnych chwilach.

– Odwiedziła nas ostatnia wdowa po pacjencie. Ta pani z zawodu była opiekunką medyczną. W zakresie spraw medycznych i opiekuńczych absolutnie dałaby sobie przy chorym mężu radę sama. Przyznała, że najbardziej byliśmy jej potrzebni, aby wspierać ją emocjonalnie: aby jej towarzyszyć, dawać poczucie bezpieczeństwa – że gdy cokolwiek będzie się działo, ona może do nas zadzwonić i ktoś z nią porozmawia, podpowie, co robić. Nasz telefon jest czynny całą dobę. Wysłuchamy, wesprzemy, pocieszymy. Zwrócimy uwagę, że może to już ten moment, do którego należy się szczególnie przygotować – podkreśla siostra Luiza.

To wsparcie jest bardzo ważne – i w momencie śmierci, i później. Wiele osób wypiera to, że czas odejścia jest bliski. Odpychają od siebie informacje, uciekają w pracę, w życie. Bez sygnału od hospicjum mogą ten ważny moment przegapić, być gdzie indziej, a potem tego bardzo żałować. To wcale nie jest tak, że nie chcą być przy swoich bliskich. To tylko mechanizm obronny przed tym trudem, przed zebraniem się w sobie i stanięciem twarzą w twarz ze śmiercią. Tego nie umieją, tego ich nikt wcześniej nie uczy – jak zająć się kimś najbliższym odchodzącym, jak mu w tym towarzyszyć. Gdy choroba spada na rodzinę, ludzie się gubią. Czasem zakładają z góry, że sobie nie poradzą. To nie musi być prawda. Oczywiście są sytuacje, w których opieka szpitalna potrzebna jest pacjentowi na okrągło, i od tego właśnie są hospicja stacjonarne.

– Nie trzeba się bać: ani własnej nieporadności, ani patrzenia na cierpienie osoby najbliższej. My jesteśmy i wspieramy: i w tym często okropnym bólu, jaki towarzyszy chorobie, i emocjonalnie. Jesteśmy blisko – zapewnia siostra Luiza.

Także po śmierci chorego rodzina nie zostaje sama. Są spotkania w grupie wsparcia, na mszach za osoby zmarłe. Żałoba jest każdemu potrzebna, trzeba przez ten czas przejść w swoim tempie i na swój sposób.

Hospicjum stacjonarne dla dzieci jest konieczne. Tak wynika z obserwacji pracowników placówki, taką potrzebę zgłaszają również rodziny pacjentów. Po wielu latach starań Caritas otrzymał od urzędu miasta dom. To stary zabytkowy

eprasa.pl 3bfe60f465

budynek, który po remoncie i przebudowie pomieści kilkunastu pacjentów wraz z rodzinami.

Stacjonarny oddział to ważne uzupełnienie dotychczasowej działalności. Zabezpieczy pacjentów w kryzysowych sytuacjach, w których musieli dotąd trafiać do szpitala. Teraz nadal zostaną pod opieką hospicjum, ale już w warunkach szpitalnych. Na miejscu będą lekarz i sprzęt medyczny oraz leki, które będzie można podawać w sposób ciągły, czego nie można wykonać w domu.

Hospicjum stacjonarne posłuży także rodzicom nowo przyjętych pacjentów do adaptacji w nowej trudnej roli. Na miejscu na oddziale przez kilka dni będą się mogli nauczyć, jak postępować z dzieckiem w niełatwej, również dla nich, sytuacji. Takie spokojne wejście w czekające ich od teraz obowiązki nie jest możliwe w szpitalu, gdzie wszystko odbywa się bardzo szybko, a łóżko trzeba zwolnić dla kolejnego, czekającego już pacjenta.

Pod opieką tej placówki są dziś też rodziny, które żyją w skrajnej nędzy. Organizacja życia wokół osoby chorej w takich trudnych warunkach czasem graniczy z cudem. Możliwość przyjęcia dziecka w stacjonarnym hospicjum, wraz z możliwością jak najczęstszego przebywania przy nim rodziny bywa jedynym rozsądnym wyjściem. Na miejscu można wtedy pacjentowi zapewnić opiekę, na jaką nie ma szans w domu, np. codzienną intensywną rehabilitację ze specjalistą.

Placówka ta to również miejsce, w którym w potrzebie będzie można zostawić na jakiś czas dziecko. Zmuszają do tego czasem sytuacje losowe, np. choroba jedynego rodzica. W tego typu sytuacji bez wyjścia rodzic zwykle wybiera dobro dziecka, rezygnując np. z koniecznej własnej hospitalizacji czy obecności przy drugim chorym potomku.

Wśród znanego mu personelu w hospicjum dziecko nie będzie miało poczucia porzucenia, będzie wśród swoich. Także rodzice nie mieliby oporu zostawić pociechy w rękach znających ją pielęgniarek i lekarzy, którym ufają.

Ostatnie piętro domu zaplanowano jako miejsce pobytu rodzin małych dzieci. Nie wolno dopuścić do tego, aby rodzice, szczególnie ci przyjeżdżający z daleka, koczowali gdzieś w niecieka-wych warunkach. Muszą spędzać jak najwięcej czasu przy swoim maluchu. Muszą – tak jak ich dzieci – mieć godziwe warunki, ich sytuacja jest wystarczająco trudna.

– Dzięki hospicjum stacjonarnemu pacjent ma zapewnioną ciągłość leczenia u nas w sytuacjach wymagających hospitalizacji. Ale dla rodziny ważny jest też nieprzerwany kontakt. Na pierwszym miejscu stawiamy dobro małego człowieka. To tak jak w przypadku zwykłego leczenia szpitalnego: kiedy jest możliwość być blisko, nie





zostają przerwane więzi między dzieckiem a rodzicem, maluch czuje się bezpiecznie, a rodzic ma zapewniony komfort bytowania codziennego. Samo leczenie zaś jest skuteczniejsze – tłumaczy pielęgniarka Bożena Czyż. – Nasza placówka obejmuje opieką pacjentów z całego województwa. Dla rodzica mieszkającego daleko przywiezienie i pozostawienie dziecka samego w Olsztynie to trudna decyzja. Gdy może razem z nim tu zamieszkać i być przy swoim ciężko chorym potomku na co dzień, problem znika – dodaje.

Przeznaczony na hospicjum stacjonarne budynek wymaga gruntownego remontu, przebudowy i dostosowania do wymogów pozwalających sprawować kompleksową opiekę.

Aby zebrać środki finansowe na ten cel, hospicjum organizuje bal charytatywny. Odbędzie się 10 lutego. w Olsztynie w hotelu Omega. Rozprowadzane są zaproszenia. Podczas balu odbędą się loteria fantowa oraz aukcja przedmiotów wystawionych na licytację.

Osoby zainteresowane udziałem w balu charytatywnym uzyskają szczegółowe informacje pod adresem: kierownik@hospicjum.artneo.pl.

Olsztyńskie Hospicjum Domowe Caritas można również wesprzeć, przekazując 1 proc. w rocznym rozliczeniu podatkowym: wpisując w PIT nr KRS 0000245507 na cel szczegółowy: Hospicjum Domowe Caritas w Olsztynie.

Fot. Hospicjum Domowe Caritas (x4)

43/0118/F



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS – TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl

LOTOS

LOTTO
SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

POLSKIE SZANSE NA MEDALE

Fot. KoreaKHW/Shutterstock.com

epra



Najważniejsze momenty igrzysk – ceremonie otwarcia i zamknięcia, starty Polaków oraz finały wszystkich konkurencji będzie można zobaczyć na żywo na antenach otwartych – w Jedynce i Dwójce.

Początek dnia olimpijskiego w TVP1 i TVP2 (które często będą transmitować igrzyska jednocześnie) nastąpi tuż po północy, ze względu na różnicę czasu z Koreą Południową. Relacje z zawodów potrwają nawet do godz. 16.00. Później czas na programy: „Halo, tu Pjongjang" (TVP1 ok. godz. 16.20), „Skrót wydarzeń" (TVP1, ok. godz. 16.30) i „Dzień na igrzyskach", w którym zostaną pokazane najważniejsze momenty dnia (TVP1 tuż przed „Wiadomościami" o godz. 19.30).

❄ Program TV (wybór) ❄

❄ 9 lutego (piątek)

TVP 1

11.15–15.40 ceremonia otwarcia

❄ 10 lutego (sobota)

TVP 1

06.50–09.20 biegi narciarskie – skiathlon K
11.55–12.50 skoki narciarskie – trening
13.00–16.15 skoki narciarskie – konkurs ind. NH

TVP 2

10.45–11.55 short track – 1500 M, 500 K, sztafeta K
12.00–13.35 biatlon – sprint K
13.40–14.45 saneczkarstwo – jedynki M
14.50–15.25 łyżwiarstwo szybkie – 3000K
15.40–16.45 short track – 1500 M, 500 K, sztafeta K

❄ 11 lutego (niedziela)

TVP 1

02.35–04.50 narciarstwo alpejskie – zjazd M
12.45–14.55 narciarstwo dowolne – muldy K

TVP 2

07.10–08.30 biegi narciarskie – skiathlon M, łyżwiarstwo szybkie – 5000 M
08.40–08.55 łyżwiarstwo szybkie – 5000 M
10.10–11.50 saneczkarstwo – jedynki M
11.55–13.55 biatlon – sprint M

❄ 12 lutego (poniedziałek)

TVP 1

04.05–05.05 łyżwiarstwo figurowe – druż.
12.45–15.00 łyżwiarstwo szybkie – 1500K

TVP 2

10.55–12.40 biatlon – bieg pościgowy K
12.45–13.40 biatlon – bieg pościgowy M
13.45–15.25 skoki narciarskie K NH

❄ 13 lutego (wtorek)

TVP 1

00.40–03.05 curling MIX – o 3. miejsce
03.10–04.55 narciarstwo alpejskie – kombinacja M, zjazd
06.55–08.15 narciarstwo alpejskie – kombinacja M, slalom
10.15–12.35 short track – 500 K, 1000 M, sztafeta M
12.45–13.30 łyżwiarstwo szybkie – 1500M
13.40–14.10 curling MIX
14.20–16.15 short track – 500 K, 1000 m, sztafeta M

TVP 2

11.00–13.50 biegi narciarskie – sprint K i M
14.00–14.50 saneczkarstwo – jedynki K

❄ 14 lutego (środa)

TVP 1

06.00–08.00 narciarstwo alpejskie – slalom K
07.00–07.55 kombinacja norweska – ind. NH skoki
09.10–10.10 kombinacja norweska – ind. NH – bieg
10.20–12.15 łyżwiarstwo szybkie – 1000K

TVP 2

11.55–14.00 biatlon – bieg 15 km K
14.05–14.50 saneczkarstwo – dwójki M

❄ 15 lutego (czwartek)

TVP 1

01.50–02.35 skeleton M
02.45–04.55 narciarstwo alpejskie – supergigant M
04.55–05.50 łyżwiarstwo figurowe – pary sportowe, program dowolny
06.10–09.10 biegi narciarskie – 10 km K tech. dow.
11.35–13.55 łyżwiarstwo szybkie – 10000 M
14.00–16.15 saneczkarstwo – sztafeta

TVP 2

03.35–04.10 łyżwiarstwo figurowe – pary sportowe, program dowolny
11.45–14.35 biatlon – bieg 20 km M

❄ 16 lutego (piątek)

TVP 1

06.05–09.00 biegi narciarskie – 15 km M tech. dow.
11.50–12.55 skoki narciarskie – trening
13.00–15.05 skoki narciarskie – kwalifikacje LH
15.10–16.15 narciarstwo dowolne – skoki K

TVP 2

11.50–13.40 łyżwiarstwo szybkie – 5000 K, hokej na lodzie M

❄ 17 lutego (sobota)

TVP 1

02.45–04.50 narciarstwo alpejskie – super–gigant K
05.00–06.35 narciarstwo dowolne – slopestyle K
10.30–12.05 short track 1500 K, 1000 m, 500K i sztafeta M
12.15–12.50 skoki narciarskie M – trening
13.00–15.40 skoki narciarskie M – konkurs LH
15.50–16.15 short track – 1500 K, 1000 M

TVP 2

01.55–06.30 łyżwiarstwo figurowe – soliści, program dowolny
10.10–11.25 biegi narciarskie – sztafeta 4x5 km K
11.30–12.55 biatlon – bieg masowy K

❄ 18 lutego (niedziela)

TVP 1

02.00–04.10 narciarstwo alpejskie – gigant M
05.25–06.55 narciarstwo alpejskie – gigant M
11.45–13.35 łyżwiarstwo szybkie – bieg druż. M, 500 K
13.45–14.35 bobsleje M
15.40–16.20 narciarstwo dowolne – skoki M

TVP 2

05.05–06.30 narciarstwo dowolne – slopestyle M
06.45–09.05 biegi narciarskie – sztafeta 4x10 km M
12.00–12.55 biatlon – bieg masowy 15 km M

❄ 19 lutego (poniedziałek)

TVP 1

01.55–03.10 łyżwiarstwo figurowe – tańce
03.20–03.30 narciarstwo dowolne – half pipe K
03.35–05.55 łyżwiarstwo figurowe – tańce
12.00–12.55 skoki narciarskie – konkurs druż. M, trening
13.00–16.15 skoki narciarskie – konkurs druż. M

TVP 2

11.45–13.55 łyżwiarstwo szybkie – bieg druż. K, 500 M

❄ 20 lutego (wtorek)

TVP 1

01.55–05.45 łyżwiarstwo figurowe – tańce, program dowolny
10.45–11.55 kombinacja norweska – ind. LH
12.00–12.45 short track – 1000 K, 500 m, sztafeta K
12.50–16.20 kombinacja norweska – bieg 10 km, hokej na lodzie M play-off

TVP 2

10.50–13.55 short track – 1000 K, 500 m i sztafeta, biatlon – sztafeta MIX

❄ 21 lutego (środa)

TVP 1

02.30–04.50 narciarstwo alpejskie – zjazd K
05.00–07.40 narciarstwo dowolne – ski cross M
08.30–12.10 biegi narciarskie – sprint druż.

TVP 2

11.45–14.40 łyżwiarstwo szybkie – bieg druż. M

❄ 22 lutego (czwartek)

TVP 1

02.10–03.40 narciarstwo alpejskie – slalom M
05.30–07.45 narciarstwo alpejskie – slalom M
08.15–09.25 kombinacja norweska – druż., skoki
11.05–12.30 kombinacja norweska – druż., bieg 4x5 km
12.40–13.25 short track – 1000 K, 500 M i sztafeta M

TVP 2

10.50–12.10 short track 1000 K, 500 M, sztafeta M
12.15–13.55 biatlon – sztafeta 4x6 km K

❄ 23 lutego (piątek)

TVP 1

02.45–04.25 narciarstwo alpejskie – kombinacja K (zjazd)
04.35–06.05 łyżwiarstwo figurowe – solistki, program dowolny
06.15–07.50 narciarstwo alpejskie – kombinacja K (slalom)
11.00–12.35 łyżwiarstwo szybkie – 1000 M

TVP 2

03.30–06.40 narciarstwo dowolne – ski cross K
11.55–13.55 biatlon – sztafeta M 4x7,5 km

❄ 24 lutego (sobota)

TVP 1

00.45–02.55 curling M – finał
03.00–04.50 narciarstwo alpejskie – zawody druż.
05.00–05.45 curling M – finał
05.55–08.55 biegi narciarskie – 50 km M
11.45–15.20 łyżwiarstwo szybkie – bieg masowy K i M

TVP 2

01.15–02.00 bobsleje – czwórki M
03.35–03.55 bobsleje – czwórki M

❄ 25 lutego (niedziela)

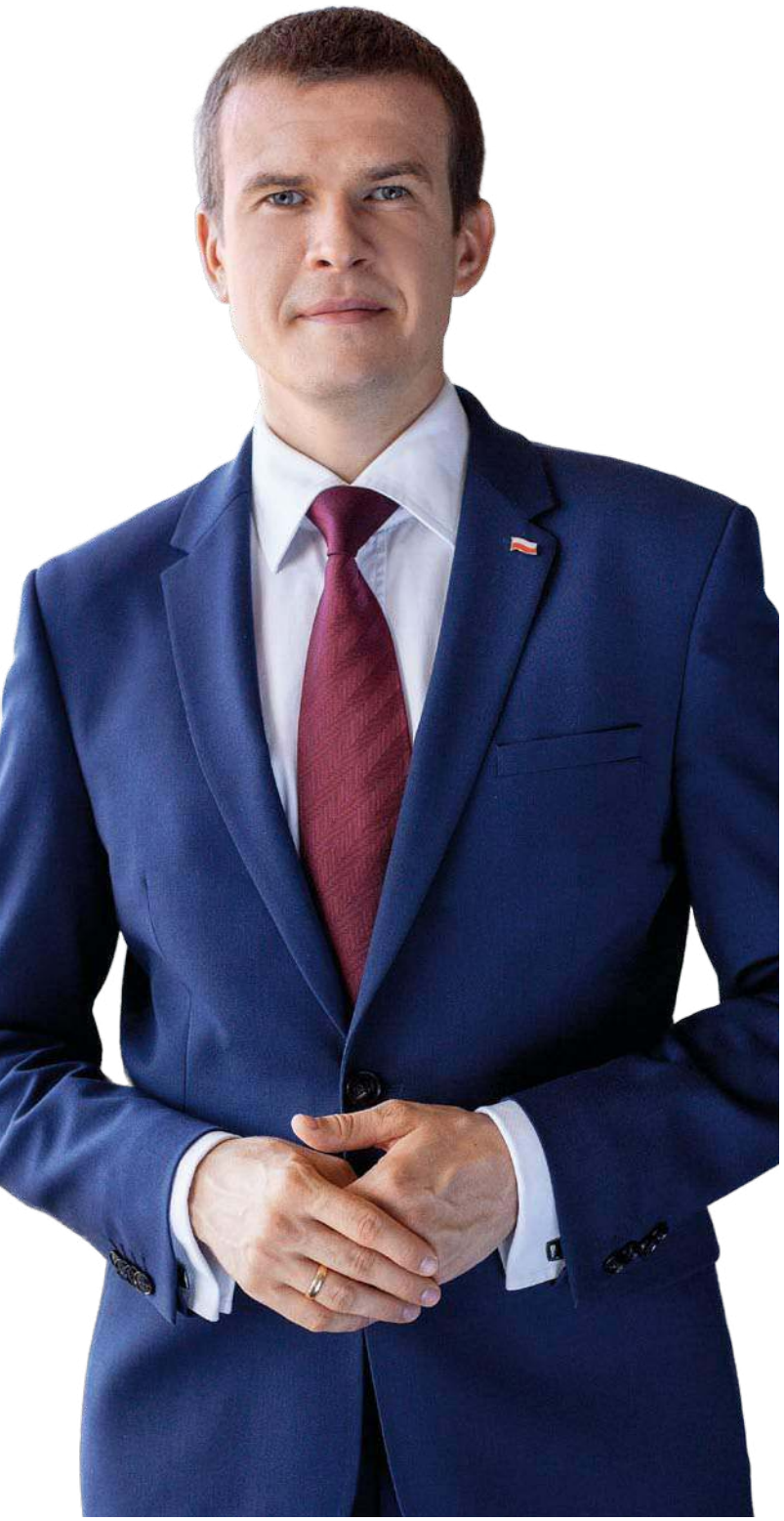
TVP 1

00.55–04.50 curling K – finał
11.30–14.45 ceremonia zamknięcia

TVP 2

01.20–04.15 bobsleje – czwórki M
04.20–06.05 „Niezapomniane chwile w Pjongjang"
06.10–09.30 biegi narciarskie – 30 km K
09.35–11.25 łyżwiarstwo figurowe – gala

eprasa.pl 3bfe60f465



Szanowni Państwo,

tegoroczna zima będzie pełna emocji! To wszystko za sprawą XXIII Zimowych Igrzysk Olimpijskich, które odbędą się w Korei Południowej. Już 9 lutego zawodnicy niemal ze wszystkich krajów świata staną do walki o medale. Igrzyska to wielkie święto sportu – spotkanie zawodników z całego globu, dla których wartością nadrzędną są idee olimpijskie. Motto „szybciej, wyżej, mocniej" towarzyszy każdemu olimpijczykowi, ale igrzyska to nie tylko rywalizacja. To także wzajemne zrozumienie, szacunek, przyjaźń, solidarność i poszanowanie zasad fair play.

XXIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie odbywają się w szczególnym momencie dla Polski. 2018 rok to czas obchodów setnej rocznicy odzyskania niepodległości. W tym okresie w sposób szczególny wspominamy drogę, jaką do wolności przeszła nasza Ojczyzna. Jesteśmy dumni z bohaterów i ich heroicznej walki o wspólną przyszłość. Suwerenność to jedna z najcenniejszych wartości, jakie posiadamy. Sto lat Niepodległej to także setki sportowych sukcesów, chwil euforii, wzruszenia i dumy.

W Korei Południowej o jak najlepsze wyniki będzie walczyć liczna grupa reprezentantów Polski. „Jesteśmy jedną drużyną" – hasło naszej kadry zachęca do wspólnego kibicowania. Emocje olimpijskie łączą nas wszystkich! W tym wyjątkowym czasie bądźmy razem i wspólnie dopingujmy naszych rodaków, którzy będą rywalizować w Pjongczangu. Niech biało-czerwona flaga powiewa na maszcie, niech „Mazurek Dąbrowskiego" rozbrzmiewa jak najczęściej, niech spełniają się sportowe marzenia sportowców, którzy z orłem na piersi reprezentują nasz kraj!

Polscy zawodnicy są waleczni, ambitni, wytrwali. W tym wyjątkowym czasie – obchodów setnej rocznicy odzyskania niepodległości – życzę wszystkim rodakom wielu pozytywnych, sportowych emocji. Głęboko wierzę, że podczas XXIII Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pjongczangu nie zabraknie pięknych, biało-czerwonych chwil. Niech wspólne kibicowanie będzie jednym z elementów świętowania tej wyjątkowej rocznicy. Wszyscy jesteśmy biało-czerwoną drużyną!

Z wyrazami szacunku

Witold Bańka,
minister sportu i turystyki

SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ
eprasa.pl 3bfe60f465

Skakanie daje bezgraniczną wolność

Z Kamilem Stochem, liderem polskiej reprezentacji skoczków narciarskich, rozmawia Marcin Wikło



Fot. Praszkiewicz/Shutterstock.com

Na igrzyskach olimpijskich w Soczi zdobyłeś dwa złote medale w kasku ze wzorem lotniczej szachownicy. To był twój hołd dla polskich lotników?

Kamil Stoch: Cieszę się, że tak to zostało odebrane, bo był to swego rodzaju hołd dla polskich lotników. Tych, którzy latali w przeszłości, bohaterów z przeszłości, ale także dla tych, którzy latają obecnie, i dla tych, którzy dopiero będą latać. Dla mnie osobiście to był ogromny zaszczyt mieć na kasku symbol polskiego lotnictwa, nikt wcześniej na to nie wpadł. To mi miało pomóc, no i... pomogło!

Skąd pomysł na taki wzór?

To było podczas sesji w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie, zdjęcia robiła moja żona Ewa. Chodziliśmy sobie od samolotu do samolotu i nagle nas olśniło. Kurczę, fajnie byłoby mieć coś takiego na kasku. Tę myśl szybko przekuliśmy w działanie. Sądzę, że fajnie wyszło.

W związku z tym nie mogę nie zapytać, gdzie byliście z żoną teraz, przed igrzyskami w Pjongczangu? Jaki wzór zaprezentujesz na kasku w Korei?

Wszystko w swoim czasie. To już niedługo się okaże.

Ponaddwustumetrowy lot na mamuciej skoczni trwa około 7,5 sekundy. Z dołu sprawia to wrażenie błysku. Jak te sekundy liczą się dla skoczka?

Nigdy nie liczyłem tego, ile czasu znajduję się w locie, ale każda sekunda jest swoistym oderwaniem się od rzeczywistości. I tych kilka chwil spędzonych w powietrzu to jest czas wyłącznie dla mnie. Jestem tylko ja, moje narty i powietrze. To czysta, bezgraniczna wolność.

Po odwołanej serii skoków podczas mistrzostw świata w lotach powiedziałeś: „Szkoda, jeszcze bym sobie polatał...”.

No tak, bo to by była superokazja do tego, by po ciężkich treningach, po tym wszystkim, co musimy zrobić, dać sobie w końcu nagrodę.

eprasa.pl 3bfe60f465

Często się mówi, że skok się udał albo nie udał. Ile w tym, co robisz, można osiągnąć dzięki szczęściu, a ile trzeba wypracować?

Można osiągnąć jakiś pojedynczy sukces. Wtedy ktoś powie, że okej, miałeś szczęście, wygrałeś jedne zawody, bo lekko ci podwiało pod narty. Jeśli jednak wygrywasz kolejne konkursy, to trudno mówić tylko o szczęściu albo o zbiegach okoliczności. Uważam, że można bardzo szybko odnieść sukces, ale o wiele trudniej utrzymać się na szczycie. Tutaj konieczna jest ciężka praca i otoczenie wielu wspaniałych ludzi, którzy nam w tej pracy pomagają.

Patrząc na cały sztab ludzi, który pracuje na twój sukces, rzeczywiście można się zastanowić, czy skoki narciarskie są dyscypliną indywidualną, czy drużynową...

To jest trochę dwa w jednym. Od momentu gdy zapnę narty i jadę w dół, jestem już sam i wszystko zależy ode mnie. Ale to, co dzieje się przedtem i potem, to jest praca bardzo wielu ludzi. Sztab szkoleniowy nie tylko programuje nam plan treningowy, lecz także pomaga w jego realizacji. Nie dalibyśmy rady, gdyby na naszej głowie były sprawy organizacyjne czy związane z doborem sprzętu. Dlatego zawsze podkreślam rolę osób, których w kamerach nie widać, które są nieocenione.

Jak to jest, że jeden zawodnik jest w stanie daleko latać, a inny nie?

Nie mam pojęcia! [śmiech] To pewnie mieszanina talentu i pracy, którą trzeba w to włożyć.

A o jakiej pracy mówisz? Jaki wysiłek musisz wykonać, żeby być w formie?

Nie chodzi mi oczywiście tylko o pracę na treningu, gdy podniesiemy ileś razy sztangę albo wykonamy kilka skoków próbnych. Bardzo liczą się charakter i samodyscyplina. To wszystko, co się robi poza treningami, jak się odpoczywa, jak się prowadzi życie prywatne.

Od jakiegoś czasu jesteś na szczycie swojej dyscypliny, co pewnie ma wpływ na życie prywatne. Czy to jest dla ciebie obciążające?

I tak, i nie. To momentami może być trudne, ale staram się żyć normalnie i być sobą. Kiedy przyjeżdżam z zawodów, staram się być normalnym człowiekiem i dobrym mężem dla swojej żony. Chcę być odpowiedzialny i robię to, co powinienem, czyli zajmuję się domem i tymi sprawami, które wymagają mojej uwagi. To, że mam możliwość skakania na nartach i że robię to na najwyższym poziomie, to nie oznacza, że jestem kimś więcej niż człowiekiem. Nie jestem. Nie chcę się czuć lepszy od kogokolwiek.

Trzeba być odważnym, żeby skakać na nartach?

Na pewno tak.

W jednej z gazet pojawił się absurdalny artykuł, w którym pewien pisarz powiedział, że wykonywany przez skoczków znak krzyża na belce startowej obraża jego uczucia ateistyczne. Możesz mu odpowiedzieć, po co się żegnasz przed skokiem?

Znak krzyża to jest wynik mojej wiary, nie wstydzę się jej, nie wstydzę się Boga ani Pana Jezusa. Tak zostałem wychowany, tak sam się ukształtowałem. Ale to nie znaczy, że będę tylko siedział, a Bóg mi ześle zwycięstwo. To ja muszę iść na trening i wykonać niezbędną pracę ze świadomością, że prawie wszystko zależy ode mnie. Prawie wszystko, bo na warunki atmosferyczne wpływu nie mam. Przede wszystkim natomiast warto wierzyć w to, że osiągniemy cel, jaki sobie zakładamy. Nie należy się zrażać porażkami, to jest najważniejsze.

Sukcesy odnosisz teraz nie tylko ty, lecz wreszcie mamy całą drużynę na wysokim poziomie. Brązowy medal w lotach w Oberstdorfie, zwycięstwo drużynowe w Pucharze Świata w Zakopanem. Na zawodach to działa, ale czy jesteście kumplami również poza skocznią?

Rzeczywiście mamy bardzo zgrany zespół i dobra atmosfera bardzo nam pomaga. A prywatnie? Jak to w grupie ludzi, z jednymi dogaduję się lepiej, z innymi dzielą nas pewne różnice zdań czy też upodobań. Świetnie rozumiem się ze Stefkiem Hulą czy Dawidem Kubackim, mamy wiele wspólnych tematów. Ze Stefkiem przyjaźnimy się także rodzinnie, często się odwiedzamy i spędzamy z sobą czas poza treningami i zgrupowaniami. To jest taka moja bratnia dusza.

Rozmawiamy w Zakopanem, miejscu, które dla biało-czerwonych jest chyba wyjątkowe, prawda?

Tak, to jest kolebka polskich sportów zimowych i wyjątkowe miejsce dla każdego polskiego skoczka. A konkursy Pucharu Świata tutaj to jest wyjątkowa sprawa i powie ci to każdy zawodnik, nie tylko z Polski. Rozmawiamy o tym między sobą. Każdy, kto tu był, mówi to samo: zawody w Zakopanem są absolutnie wyjątkowe.

Przed igrzyskami trudno cokolwiek obiecywać, ale chyba czujesz, że jedziesz do Pjongczangu w roli faworyta?

Przede wszystkim chciałbym, żeby była dobra pogoda, żeby były odpowiednie warunki do skakania. Jadę tam z nadziejami, że wszystko odbędzie się bez przeszkód, że będziemy mogli rywalizować w równych warunkach. A co tam się wydarzy... czas pokaże.

LOTTO SPONSOR GENERALNY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ
eprasa.pl 3bfe60f465

Żyjemy, żeby sobie latać



Po brązowym medalu mistrzostw świata w lotach w Oberstdorfie i triumfie w Zakopanem wiemy, że na igrzyska olimpijskie w Pjongczangu pojedzie bardzo silna drużyna polskich skoczków narciarskich

Jak sami mówią, to efekt dobrego programu szkoleniowego, ich ciężkiej pracy, ale także warunków i atmosfery, jakie im stworzono. – To jest sport, w którym drużyna jest bardzo ważna, ale ogromną rolę odgrywa też to, jaka jest atmosfera między nami. A na sukces pracujemy razem – mówi Stefan Hula, dla którego obecny sezon jest najlepszy w karierze.

Piotr Żyła dodaje, że bardzo motywują się nawzajem, a sukcesy ich lidera Kamila Stocha nie powodują zazdrości, tylko mobilizację. – Kamil jest jednym z najlepszych skoczków narciarskich w historii tej dyscypliny, zdobył praktycznie wszystko, co było do zdobycia. Nam należy się tylko cieszyć, że jesteśmy w jednej drużynie, że można go naśladować, do niego się porównywać i z niego brać przykład – mówi Żyła, wybuchając co chwila charakterystycznym śmiechem.

Skoczkowie proszą, by mówiąc o drużynie, nie wymieniać tylko zawodników. – Media i kibice często nie zauważają, że ludzie, którzy są z nami na zawodach, ale kamery ich nie sięgają, bardzo ciężko pracują na nasze sukcesy – zaznacza Dawid Kubacki.

POLATAĆ SOBIE

Dlaczego skoki narciarskie są tak popularne w Polsce? Dziwią się temu nieco kokieteryjnie sami zawodnicy. Przecież kibice nie mogą poczuć tego, co skoczkowie. A może to właśnie dlatego. – Magia naszego sportu opiera się na odwiecznym marzeniu człowieka o lataniu. Ciągnęło mnie do tego od dziecka – opowiada Kubacki. – Lot to jest chwila, szybko umyka. Mogłaby trwać dłużej – dodaje Hula.

Ponaddwustumetrowy skok na skoczni mamuciej trwa ok. 7,5 sekundy. Wtedy skoczek osiąga stan dla siebie wymarzony. – Zdarzają się sytuacje, że skok trochę zwalnia, jakby się przedłużał. To jest zawsze ogromna przyjemność. To jest coś, po co my tak naprawdę żyjemy! – ekscytuje się Kubacki. Mówi też, że każda odwołana seria to dla zawodników rozczarowanie, choć wiadomo, że najważniejsze jest bezpieczeństwo sportowców.

Jest takie miejsce na mapie konkursów Pucharu Świata, które przyciąga skoczków z całego globu. To Zakopane! – Atmosfera jest taka, jak chyba nigdzie indziej. Przyjeżdżają kibice z całej Polski, bardzo nas wspierają, na skoczni jest szał. Na to po prostu się czeka – przyznaje Stefan Hula.

Rzeczywiście, w kibicowaniu skoczkom nie ma żadnej agresji. Jest doping. Dla Polaków, co zrozumiałe, największy, ale na oklaski i słynną zakopiańską „trąbę" (donośny dźwięk kibicowskich akcesoriów) mogą liczyć i Norwegowie, i Niemcy, i Rosjanie. Wszyscy! – Jesteśmy w Zakopanem u siebie. Skaczemy przed swoją publicznością i to dodatkowo motywuje. Kibice tutaj potrafią stworzyć naprawdę fajną atmosferę – mówi Piotr Żyła.

Po przebudowaniu trybuny Wielkiej Krokwi są w stanie pomieścić nawet 40 tys. kibiców.

Z RESPEKTEM, BEZ STRACHU

– Zaczynałem trenować, gdy miałem pięć lat. Wtedy te skoki nie były ani długie, ani bardzo niebezpieczne. Jak to dziecko, nie miałem strachu. Przez to przyzwyczajałem się do coraz większych wysokości i odległości – mówi Dawid Kubacki pytany, czy skoczek musi być odważny. – Tak, odważny albo niespełna rozumu – żartują między sobą polscy skoczkowie.

– Każdy z nas ma gdzieś w środku swoje lęki, bo wiadomo, że to nie jest do końca normalny sport – śmieje się Stefan Hula i dodaje już nieco poważniej: – Trzeba mieć szacunek do tego, co się robi. Być skoncentrowanym i upartym, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie można odpuszczać.

Ten upór ma ich teraz doprowadzić do sukcesu na igrzyskach olimpijskich w Pjongczangu, choć o tym nie chcą rozmawiać.

Piotr Żyła: – Przed zawodami to tak średnio jest mówić, które miejsca się zajmie. Wiadomo, że to jest sport, trzeba zrobić swoją robotę, bo trenowaliśmy ciężko cały czas, a co będzie, to będzie... Dobrze będzie [śmiech].

Dawid Kubacki: – Nie lubię kalkulować przed zawodami. Na wyniki ma wpływ dużo czynników, więc nimi sobie głowy nie zawracam. Wiem, co mam zrobić na skoczni, pójdę i to zrobię. I zobaczymy.

Marcin Wikło

Fot. Tyler Olson/Shutterstock.com

eprasa.pl 3bfe60f465



Na zdj. od lewej: Elwira Seroczyńska, Lidja Skoblikowa (ZSRS) i Helena Pilejczyk

Fot. AP Photo

Mazurek w locie, biegu i na lodzie

Polacy od lat są zakochani w sportach zimowych. Oczywiście piłka nożna to nasz sport narodowy, ale sukcesy Adama Małysza, Kamila Stocha czy Justyny Kowalczyk sprawiły, że zima nie jest już okresem letargu dla polskich kibiców

Nasi sportowcy startują w zimowych igrzyska olimpijskich od samego ich początku – w 1924 r. we francuskim Chamonix pojawiło się siedmiu reprezentantów z orzełkiem na piersi. Przez dekady nasz kraj nie liczył się zbytnio w zimowej rywalizacji. Dopiero XXI w. przyniósł przełom za sprawą polskich skoczków, panczenistów i Justyny Kowalczyk. Dlatego nadzieje na dobry występ na Dalekim Wschodzie nie są bezpodstawne, gdyż co cztery lata nasza reprezentacja notuje stały progres, a poprzednie igrzyska w Soczi były najlepsze dla naszych zawodników w historii.

Na pierwszy medal Polska czekała aż do 1956 r., kiedy igrzyska rozegrano w **Cortina d'Ampezzo** we Włoszech. W malowniczym kurorcie zwanym Królową Dolomitów po brąz sięgnął **Franciszek Gąsienica-Groń** w kombinacji norweskiej. Konkurencja zwana także dwubojem klasycznym rozpoczęła się

LOTTO SPONSOR GENERALNY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

eprasa.pl 3bfe60f465

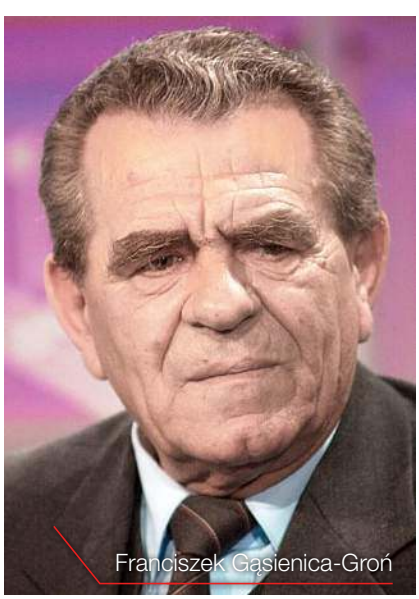
od konkursu skoków. Niestety Groń, który na treningach skakał najdalej ze wszystkich, w pierwszej próbie zaliczył fatalny wynik. Mimo to udało mu się nadrobić straty w dwóch kolejnych skokach i ostatecznie po pierwszej konkurencji zajmował 10. pozycję. Podczas biegu na 15 km zakopiańczyk zanotował upadek, ale ostatecznie dotarł do mety i podczas ceremonii medalowej w przerwie hokejowego meczu ZSRS–USA udekorowano go brązowym krążkiem. Do srebra zabrakło zaledwie siedmiu sekund, czyli mniej więcej tyle, ile kosztował go upadek na trasie. W nagrodę za medal władze zafundowały Groniowi... talon na popularną fumkę, czyli motocykl WFM.

Cztery lata później igrzyska rozgrywano w kalifornijskim **Squaw Valley**, jak dotychczas najmniejszym mieście goszczącym olimpijczyków. W programie zawodów po raz pierwszy znalazło się łyżwiarstwo szybkie kobiet, i to właśnie w tej dyscyplinie zabłysnęły Polki, zdobywając od razu dwa medale. Szczęśliwym dystansem dla naszych panczenistek okazało się 1 500 m. Triumfowała genialna Rosjanka Lidija Skoblikowa, ale srebro zdobyła **Elwira Seroczyńska**, a brąz **Helena Pilejczyk**. Seroczyńska napompowana świetnym wynikiem dzień później startowała w wyścigu na 1 000 m, podczas którego jechała po złoty medal i rekord świata. Ale na ostatniej prostej jej łyżwa zahaczyła o grudkę śniegu wtopioną w lód, a Polka upadła i straciła, wydawałoby się, pewny triumf. Osiem lata później w Grenoble panczenistki co prawda nie zabłysnęły, ale nasi reprezentanci w saneczkarstwie i biathlonie zajęli... cztery razy czwarte miejsce.

Ostatni medal w XX w. jest równocześnie tym najcenniejszym: w 1972 r. w **Sapporo** po złoto sięgnął **Wojciech Fortuna**. Do czasu nastania małyszomanii to właśnie Fortuna był wzorem dla zastępów młodych adeptów skoków, w tym dla samego Małysza. Co ciekawe, złoty medalista miał do Japonii nie lecieć z powodu oszczędności PKOl i dopiero nacisk prasy spowodował zmianę decyzji sportowych włodarzy.

Na normalnej skoczni Polak był szósty, co było niezłym prognostykiem przed konkursem na Okurayamie, dużej skoczni, ale nawet mimo tego polskie radio i telewizja nie transmitowały historycznych zawodów. Pierwszy skok Fortuny był szokiem dla wszystkich: zakopiańczyk poleciał na niewyobrażalną wówczas odległość 111 m, uzyskując 130,4 pkt, co było najlepszym wynikiem w historii dyscypliny. Po tak niezwykłym wyczynie zapanowało niemałe zamieszanie, stawiające pod znakiem zapytania możliwość kontynuowania konkursu. Ostatecznie rozegrano drugą serię, a Polak nie oddał prowadzenia, choć drugiego Waltera Steinera wyprzedził zaledwie o 0,1 pkt. Jako że nikt nie przewidział takiego scenariusza, orkiestra musiała czekać na dostarczenie nut „Mazurka Dąbrowskiego" i cała ceremonia medalowa opóźniła się o godzinę.

Przez kolejne 30 lat Polakom nie udało się wywalczyć na zimowych igrzyskach ani jednego krążka. Co więcej – ani razu nie zajęli też czwartego miejsca. Dopiero eksplozja talentu „Orła z Wisły" pozwoliła na pojawienie się naszego kraju na mapie „potentatów" w sportach zimowych. Przed igrzyskami w amerykańskim **Salt Lake City Adam Małysz** miał już na koncie pierwszą Kryształową Kulę za triumf w Pucharze Świata 2000/2001 i pewnie zmierzał po powtórzenie tego wyczynu w sezonie 2001/2002, co automatycznie stawiało go w roli żelaznego faworyta olimpijskich konkursów.


Franciszek Gąsienica-Groń

Fot. TVP/East News

Pewne kłopoty z odbiciem i nieokiełznany wiatr sprawiły, że idol milionów Polaków nie sięgnął po złoto, ale – rzecz jasna – brąz na normalnej skoczni i srebro na dużej były wspaniałym osiągnięciem. Po dwa złote medale niespodziewanie sięgnął sympatyczny Szwajcar Simon Amman, z racji swojego wyglądu porównywany przez kibiców do Harry'ego Pottera.

W mormońskiej stolicy bliska podium była jeszcze Jagna Marczułajtis. Nasza najbardziej znana snowboardzistka w slalomie gigancie równoległym zajęła czwartą pozycję.

Niepowodzeniem dla Małysza zakończyły się igrzyska w **Turynie** w 2006 r. Polak nie liczył się w konkursach skoków i nie krył rozczarowania swoimi wynikami. Z kolei we Włoszech rozbłysła gwiazda **Justyny Kowalczyk**, czyli kolejny po „Kapitanie Wąsie" obiekt fascynacji całej Polski. Pochodząca z Limanowej zawodniczka była świeżo po okresie dyskwalifikacji spowodowanej wpadką dopingową, a jej występ na igrzyskach można traktować jako początek drogi na tron w biegach narciarskich. Polka w swoim ostatnim występie zdobyła brąz na dystansie 30 km techniką dowolną ze startu wspólnego. Była to zaledwie jaskółka formy, jaką nasza biegaczka prezentowała w kolejnych sezonach.

Ze znakomitej strony pokazał się w Turynie biatlonista **Tomasz Sikora**. Dla reprezentanta Górnego Śląska były to już czwarte igrzyska, ale pierwsze, w których odniósł sukces – srebro w biegu masowym na dystansie 15 km. Dla naszego weterana było to zwieńczenie wspaniałego sezonu, w którym sięgnął także po Małą Kryształową Kulę w sprincie. Co ciekawe, Sikora złoto na mistrzostwach świata zdobywał... 11 lat wcześniej, a w ciągu swojej bogatej kariery również sześciokrotnie sięgał po mistrzostwo Europy.

Igrzyska w **Vancouver** w 2010 r. potwierdziły to, co wiedzieliśmy w tym czasie wszyscy – **Justyna Kowalczyk** jest królową śniegu. Polka zgarnęła aż trzy krążki: złoto na 30 km, srebro w sprincie na 1,4 km stylem klasycznym oraz brąz na 15 km techniką łączoną. Jej największa rywalka Marit Bjørgen w Kanadzie wywalczyła z kolei aż trzy

eprasa.pl 3bfe60f465



Adam Małysz

Fot. Shutterstock


Wojciech Fortuna

Fot. Bartosz Krupa/East News

złota. W tamtym sezonie Kowalczyk zwyciężyła drugi raz z rzędu w Pucharze Świata, po raz pierwszy w historii zawodów przełamując barierę 200 pkt.

Przypomniał o sobie **Adam Małysz**, dla którego niemal powtórzyła się sytuacja z igrzysk z 2002 r. Znów oba konkursy wygrał Amman, ale tym razem skoczek z Wisły na normalnej i dużej skoczni sięgnął po srebrne medale – tym samym zakończył swoją olimpijską przygodę z czterema krążkami, ale bez tego z najcenniejszego kruszcu. O osiągnięciach Seroczyńskiej i Pilejczyk przypomniały sobie polskie panczenistki, które w biegu drużynowym pokonały w potyczce o trzecie miejsce Amerykanki i zgarnęły brąz. Jak się okazało, nie było to ostatnie słowo drużyny złożonej z **Katarzyny Bachledy-Curuś**, **Katarzyny Woźniak** i **Luizy Złotkowskiej**...

Cztery lata później podczas igrzysk w Soczi panczenistki (uzupełnione o rezerwową **Natalię Czerwionkę**) przebiły swoje osiągnięcie, tym razem sięgając po srebro. W finałowym biegu szans Polkom nie dały Holenderki, które pobiły olimpijski rekord. Paniom pozazdrościli panowie, odnosząc największe sukcesy w historii polskiego łyżwiarstwa szybkiego. Klasą samą w sobie okazał się **Zbigniew Bródka**, wychowanek UKS Błyskawica Domaniewice. Polak wyskoczył jak filip z konopi i o błysk ostrza łyżwy wyprzedził w biegu finałowym na 1 500 m Holendra Koena Verweija. Bródka był szybszy o trzy tysięczne sekundy! Pierwsze historyczne złoto dla Polski w panczenach stało się faktem. Do tego w jeździe drużynowej mistrz olimpijski wespół z **Konradem Niedźwiedzkim** i **Janem Szymańskim** dorzucili brązowy medal. Tym samym w łyżwiarstwie szybkim nasza reprezentacja zgarnęła aż trzy medale, ustanawiając wzorzec z Sévres dla wszystkich naszych obecnych i przyszłych panczenistów.

Do swojej bogatej kolekcji trofeów złoto na 10 km stylem klasycznym dorzuciła **Justyna Kowalczyk** – jest ona więc najbardziej utytułowanym polskim olimpijczykiem w historii zimowych IO. Medal z Soczi miał szczególnie słodki smak, bo okupiony został prawdziwym bólem: polska biegaczka startowała ze złamaną kością śródstopia, co każe traktować jej sukces z jeszcze większą estymą.

Na skoczni na Krasnej Polanie narodziła się kolejna polska zimowa legenda, która trwa do dziś. Znienacka wyrosły na sukcesach Adama Małysza mieszkaniec Zębu **Kamil Stoch**, który obudził się tego dnia z gorączką, nie dał swoim rywalom szans, na normalnej skoczni uzyskując najwyższy wynik w historii igrzysk. Swój wyczyn powtórzył niemal tydzień później na dużej skoczni, tym razem startując ze stłuczonym łokciem. Do dwóch złotych medali „Rakieta z Zębu" dorzuciła jeszcze czwarte miejsce w turnieju drużynowym. Jest jedynym polskim zawodnikiem, który został podwójnym zimowym mistrzem olimpijskim.

20 medali, w tym siedem złotych – to dorobek Polski na zimowych igrzyskach. Aż 12 z nich, w tym sześć złotych, to osiągnięcia z dwóch ostatnich zawodów, więc wszyscy liczymy na co najmniej wyrównanie wyników z Soczi czy Vancouver. Nie będzie o to łatwo: poza Stochem i spółką w skokach narciarskich nie mamy faworytów w innych dyscyplinach, trzymajmy zatem kciuki za miłe niespodzianki.

Michał Muzyczuk

LOTTO
SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ
eprasa.pl 3bfe60f465



Powtórka z Soczi byłaby marzeniem

Nigdy wcześniej tak wielu sportowców z Polski nie uczestniczyło w zimowych igrzyskach olimpijskich. Ale czy ta rekordowa kadra przywiezie z Korei Południowej rekordową liczbę medali?

Polacy wystąpią w: biatlonie, bobslejach, łyżwiarstwie figurowym, łyżwiarstwie szybkim, short tracku, skokach narciarskich, biegach narciarskich, narciarstwie alpejskim, narciarstwie dowolnym, kombinacji norweskiej i snowboardzie.

Wciąż liczymy na tych samych sportowców. Uwaga kibiców skupia się oczywiście na skokach narciarskich, w których ostatnio jesteśmy potęgą, i nawet pechowy występ Kamila Stocha w Zakopanem nie zmniejszył optymizmu. Cztery lata temu przed igrzyskami w Soczi, gdzie Polak zdobył dwa złote medale, było bowiem dokładnie tak samo. A ówczesną słynną wypowiedź Kamila: „Nic się nie stało, jestem zdrowy, mam dwie ręce i dwie nogi", można byłoby powtórzyć i teraz. Oprócz Stocha w bardzo dobrej formie są Stefan Hula i Dawid Kubacki, ale ewentualny medal któregoś z nich byłby wielką sensacją.

W tej dyscyplinie możemy też liczyć na medal drużynowy (w ubiegłym roku zdobyliśmy tytuł drużynowych mistrzów świata).

Przypomnijmy, że z rosyjskiej imprezy biało-czerwoni przywieźli aż cztery złota, srebro i brąz. Osiem lat temu w Vancouver też było bardzo dobrze, bo nasi wracali z sześcioma medalami, ale tylko jednym złotym.

Powszechnie uważano jednak, że to wyniki ponad stan. – Tamte osiągnięcia przewyższały rzeczywistą kondycję polskiego sportu. Teraz musimy być optymistami, a ja wierzę w biało-czerwonych – powiedział minister sportu Witold Bańka. – Poprzednie igrzyska bardzo wysoko podniosły poprzeczkę. Teraz realnym celem są trzy medale – ocenił chłodno sekretarz generalny Polskiego Komitetu Olimpijskiego Adam Krzesiński.

I taka prognoza jest dość powszechna w środowisku związanym ze sportami zimowymi. Bo na pierwszy rzut oka (może poza skoczkami) w ostatnich czterech latach nie wyrośli żadni nowi kandydaci do olimpijskiego podium, a ci, którzy tak efektownie reprezentowali Polskę w Rosji, w większości przypadków szczyt kariery sportowej mają już raczej za sobą. Justyna Kowalczyk ma 35 lat i już od dawna nie jest w ścisłej czołówce swojej dyscypliny, a 33-letni Zbigniew Bródka tak wysoko jak w Soczi już nigdy się nie wzbił.

Pozostaje liczyć na niespodzianki, bo dyscypliny zimowe bywają nieprzewidywalne. Może zaskoczą nas biatlonistki? W Vancouver i w Soczi blisko podium była Weronika Nowakowska: – Cały czas powtarzam sobie, że do trzech razy sztuka – robi apetyt nasza nadzieja, dwukrotna medalistka mistrzostw świata z 2015 r., która wróciła do sportu po urodzeniu bliźniaków.

W obecnej olimpijskiej reprezentacji Polski znalazło się 26 kobiet i 36 mężczyzn. Do tego dochodzi 77 osób współpracujących – trenerów, lekarzy, serwismenów, fizjoterapeutów.

Cezary Kowalski

BIATLON
Magdalena Gwizdoń, Krystyna Guzik, Monika Hojnisz, Weronika Nowakowska, Kamila Żuk, Grzegorz Guzik, Andrzej Nędza-Kubiniec

BOBSLEJE
Mateusz Luty, Grzegorz Kossakowski, Łukasz Miedzik, Krzysztof Tylkowski, Arnold Zdebiak

ŁYŻWIARSTWO FIGUROWE
Natalia Kaliszek, Maksym Spodyriew

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE
Katarzyna Bachleda-Curuś, Karolina Bosiek, Natalia Czerwonka, Magdalena Czyszczoń, Kaja Ziomek, Luiza Złotkowska, Zbigniew Bródka, Sebastian Kłosiński, Piotr Michalski, Konrad Niedźwiedzki, Artur Nogal, Jan Szymański, Artur Waś, Adrian Wielgas

SHORT TRACK
Natalia Maliszewska, Magdalena Warakomska, Bartosz Konopko

BIEGI NARCIARSKIE
Kamil Bury, Martyna Galewicz, Sylwia Jaśkowiec, Justyna Kowalczyk, Ewelina Marcisz, Dominik Bury, Maciej Staręga

KOMBINACJA NORWESKA
Adam Cieślar, Szczepan Kupczak, Wojciech Marusarz, Paweł Słowiok

SKOKI NARCIARSKIE
Stefan Hula, Maciej Kot, Dawid Kubacki, Kamil Stoch, Piotr Żyła

NARCIARSTWO DOWOLNE
Maryna Gąsienica-Daniel, Michał Jasiczek, Michał Kłusak, Karolina Riemen-Żerebecka

SNOWBOARD
Weronika Biela, Aleksandra Król, Zuzanna Smykała, Karolina Sztokfisz, Mateusz Ligocki

SANECZKARSTWO
Ewa Kuls-Kusyk, Natalia Wojtuściszyn, Maciej Kurowski, Mateusz Sochowicz, Jakub Kowalewski, Wojciech Chmielewski

eprasa.pl 3bfe60f465



Czy wiecie, że...

Do Pjongczangu leci ***62 polskich sportowców***. Nigdy na zimowe igrzyska olimpijskie nie wysłaliśmy aż tylu zawodników.

Panczenista Zbigniew Bródka to 19. polski sportowiec, który będzie ***chorążym naszej ekipy*** podczas zimowych igrzysk. Dotychczas żaden z chorążych reprezentacji Polski nie zdobył medalu na tych samych igrzyskach, na których maszerował z biało-czerwoną flagą na ceremonii otwarcia.

Przed nim ***podobnego zaszczytu dostąpiło 18 sportowców***, w tym trzech dwukrotnie: skoczek narciarski Stanisław Marusarz, biegacz narciarski Józef Łuszczek i hokeista Henryk Gruth. Na poprzednich igrzyskach w Soczi funkcję chorążego pełnił bobsleista Dawid Kupczyk. Natomiast podczas pierwszych igrzysk, w 1924 r. w Chamonix, chorążym był dziennikarz Kazimierz Smogorzewski. Reprezentanci Polski spóźnili się na początek uroczystości, dlatego zastąpił ich dziennikarz.

Premie za medale. Jeśli któryś z Polaków zdobędzie złoty medal w konkurencjach indywidualnych, w nagrodę dostanie 120 tys. zł. Za srebro PKOl zapłaci 80 tys. zł, a za brąz 50 tys. zł. Na bonusy mogą też liczyć trenerzy. W przypadku mistrzostwa olimpijskiego swojego podopiecznego szkoleniowiec otrzyma do 60 tys. zł, a za drugie lub trzecie miejsce – odpowiednio do 40 i do 25 tys. zł. Jeśli zaś chodzi o rywalizację zespołową (drużyny, sztafety, załogi, pary), nagroda za złoto wynosi do 90 tys. zł na jednego zawodnika, za srebro – do 60 tys. zł, a za brąz – do 37,5 tys. zł.

Cztery ceremonie i koniec. Wybudowany za 109 mln dol. stadion w Pjongczangu będzie gościć zaledwie cztery ceremonie: otwarcia i zamknięcia igrzysk olimpijskich oraz paraolimpiady. Gdy tylko znicz olimpijski zgaśnie, obiekt zostanie rozebrany.

Sportowcy z Korei Południowej i Północnej ***przemaszerują razem podczas ceremonii otwarcia***. Oba kraje wystawią także wspólną reprezentację kobiet w hokeju na lodzie. To będzie czwarta ceremonia otwarcia igrzysk, na której koreańscy sportowcy pojawią się pod jedną flagą – białą z namalowanym na niebiesko Półwyspem Koreańskim.

Najbardziej utytułowany biathlonista ***Norweg Ole Einar Bjørndalen***, dla którego norwescy działacze nie znaleźli miejsca w drużynie na jego siódme w karierze zimowe igrzyska olimpijskie, może się pojawić w Pjongczangu jako członek... reprezentacji Białorusi. Taki plan ma tamtejsza federacja biatlonu i prowadzi rozmowy z Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim (MKOl) w sprawie akredytacji dla Bjørndalena.

Największą nadzieją medalową Białorusi jest ***biatlonistka Daria Domraczewa***, która w lipcu 2016 r. wyszła za mąż za Bjørndalena. W październiku urodziła im się córka. Norweg jest częstym i bardzo lubianym gościem na Białorusi. W Mińsku norweski sportowiec wybudował ogromną willę w kształcie statku.

Skoczek narciarski, ***45-letni Noriaki Kasai***, jeden z najlepszych zawodników w historii tej dyscypliny, będzie chorążym japońskiej reprezentacji i poniesie flagę podczas ceremonii otwarcia. Kasai po raz ósmy wystartuje w igrzyskach, co jest rekordem; debiutował w Albertville w 1992 r.

Aż 242 sportowców będzie reprezentować Stany Zjednoczone. W składzie jest 107 kobiet i 135 mężczyzn. Cztery lata temu w Soczi w ekipie było 230 osób. Drużyna wywalczyła wówczas 28 medali, w tym dziewięć złotych. Amerykanie mają nadzieję, że w Pjongczangu przekroczą liczbę 100 złotych krążków w historii zimowych igrzysk (obecnie mają 96) i 300 w sumie (obecnie 284).

MKOl poinformował, że do startu w igrzyskach pod neutralną flagą ***nie zostaną dopuszczeni żadni sportowcy z Rosji*** choćby podejrzani o stosowanie dopingu, zatajenie miejsca pobytu czy podmienienie próbek.

Rosyjski Komitet Olimpijski jest zawieszony na zimowe igrzyska, ale „czyści" reprezentanci tego kraju ***wystartują pod flagą olimpijską***. Karę wymierzono za wielokrotne łamanie przepisów antydopingowych na zawodach w Soczi w 2014 r. i wykrycie przez komisję Richarda McLarena zorganizowanego procederu manipulacji wynikami Rosjan przez moskiewskie laboratorium antydopingowe.

Partia ***południowokoreańskich banknotów***, wyemitowanych z okazji zimowych igrzysk, która trafi do norweskich kolekcjonerów, będzie nosiła podpis zdyskwalifikowanej za doping biegaczki narciarskiej Therese Johaug. Norweżka napisała na każdym banknocie słynny cytat odtwórcy roli głównej w filmie „Terminator" Arnolda Schwarzeneggera: „I'll be back" („Jeszcze powrócę").

Wybrał Cezary Kowalski

Fot. Solomon7/Shutterstock.com

LOTTO SPONSOR GENERALNY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ
eprasa.pl 3bfe60f465

#GRAMYDLASPORTU
PYEONGCHANG2018



SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

eprasa.pl 3bfe60f465



Wielkość trzymana w ryzach

Zagrać lidera Sex Pistols i Winstona Churchilla? To najlepiej definiuje niezwykłą karierę Gary'ego Oldmana. Brytyjski mąż stanu to zaś najchętniej portretowany w kinie polityk. I nikt do tej pory nie zagrał go tak jak Oldman

Fot. Shutterstock

69/0118/F
eprasa.pl 3bfe60f465



ŁUKASZ ADAMSKI

Człowiek kameleon, któremu nie zależy na sławie ani celebrytyzmie. Pilnuje życia osobistego przed pazurami tabloidów, choć nadaje się ono na serial. Brytyjski aktor był czterokrotnie żonaty i jest niepijącym alkoholikiem. Znając liczbę i jakość jego różnorodnych ról, aż trudno uwierzyć, że tylko dwa razy był nominowany do Oscara. Pierwszy raz za „Szpiega" (2011). Niezwykle późno jak na aktora, który debiutował w 1982 r.

A teraz otrzymał nominację za fenomenalną rolę Winstona Churchilla w „Czasie mroku" w reżyserii Joego Wrighta. Uchodzi za faworyta tegorocznej gali. Za rolę zgarnął już Złoty Glob i statuetkę Amerykańskiej Gildii Aktorów Filmowych. 60-letni aktor w swojej bogatej karierze zasłużył na tuzin nagród.

ŻYCIE JAK KINO

Wychowany na ulicy, były członek londyńskiego gangu – nie przez przypadek Oldman jest zwany człowiekiem kameleonem. Wcielając się w wokalistę Sex Pistols w „Sid i Nancy" (1986) Alexa Coxa, uosabiał całe brudne szaleństwo i mrok punk rocka. Kolejna rola („Nadstaw uszu" Stephena Frearsa) przyniosła mu pierwszą nominację do BAFTA. Aktor wcielił się w postać londyńskiego dramatopisarza Joego Ortona. Prestiżową brytyjską nagrodę odebrał dopiero w 1998 r. Paradoksalnie nie za aktorstwo, ale scenariusz do wyreżyserowanego przez siebie, wstrząsającego filmu o alkoholizmie „Nic doustnie". Oldman w karierze wyreżyserował jeszcze jeden film – „Flying Horse" (2016).

W 1990 r. wyjechał do Los Angeles, by podbić Hollywood. Od razu zaczął przyjmować kontrowersyjne role. W skandalizującym „JFK" (1991) Olivera Stone'a zagrał (wybielonego przez reżysera) mordercę 35. prezydenta USA, Lee Harveya Oswalda. Następnie wcielił się w hrabiego Draculę w arcydziele Francisa Forda Coppoli (1992).

Lata 90. to dla niego seria mrocznych i brutalnych kreacji. Zachwycał zarówno w rolach głównych („Krwawy Romeo"), jak i epizodycznych (oparty na scenariuszu Quentina Tarantino „Prawdziwy romans"). Przełomowy na jego drodze był jeden z najważniejszych filmów lat 90., „Leon zawodowiec" (1994) Luca Bessona, w którym stworzył przerażający obraz skorumpowanego policjanta psychopaty.

Gary Oldman nie zatopił się jedynie w wymagających rolach dramatycznych. Lubuje się też w lżejszym repertuarze kina wysokobudżetowego. „Ewolucja planety małp", „RoboCop", „Piąty element", „Harry Potter" – to tylko kilka komercyjnych tytułów w jego bogatej filmografii. W „Mrocznym rycerzu" (2008) Christophera Nolana, najciekawszej w historii ekranizacji „Batmana", zinterpretował postać policjanta Jamesa Gordona. W „Systemie" (2015) wcielił się w stalinowskiego siepacza, w przebojowej komedii „Bodyguard zawodowiec" (2016) zagrał zaś białoruskiego dyktatora sądzonego przed trybunałem w Hadze. Nie unikał również ról biograficznych. W „Wiecznej miło-





Gary Oldman w nominowanej do Oscara roli Winstona Churchilla w filmie „Czas mroku" (2018). Na zdj. obok John Lithgow jako Winston Churchill w serialu „The Crown" (2016). Jedna z najlepszych kreacji postaci tego męża stanu

Fot. Mat. prasowe, Robert Viglasky/Netflix

79/0118/F

ści" (1994) wcielił się w Ludwiga van Beethovena. W telewizyjnym serialu „Jezus" (1999) zagrał z kolei Poncjusza Piłata. Smaczku dodaje to, że jego przyjaciel David Bowie dekadę wcześniej wcielił się w tę samą postać w „Ostatnim kuszeniu Chrystusa" Martina Scorsese. Wygląda na to, że aktor, który wszedł do światowego kina dzięki roli w biograficznym obrazie o brytyjskim punkowcu, upragnionego Oscara dostanie za rolę brytyjskiego premiera. Zagrać lidera Sex Pistols i Winstona Churchilla? To najlepiej definiuje niezwykłą karierę Gary'ego Oldmana.

> Jak wiele tyrad Churchilla, ta z Izby Gmin z 1940 r. przeszła do historii. Aktor tylko za nią powinien dostać Oscara. Jego przemowa jest nakręcona według najlepszych hollywoodzkich wzorców

IKONA POLITYKI I FILMU

Winston Churchill to najczęściej portretowany w kinie polityk. Trudno w to uwierzyć, ale zagrało go... 60 aktorów. Liczba ta dotyczy zarówno ról głównych, drugoplanowych, jak i epizodów. Barwna i kontrowersyjna postać dwukrotnego premiera Zjednoczonego Królestwa pojawiała się nie tylko w kinie brytyjskim i hollywoodzkim, lecz także w sowieckich propagandowych obrazach ery stalinizmu (np. „Upadek Berlina", 1950). Sam Orson Welles, czyli twórca uważanego na film wszech czasów „Obywatela Kane'a", zagrał małą rolę Churchilla w swoim zdumiewającym projekcie „Orson's Bag" (1971).

Kino zajmowało się też różnymi okresami życia tego męża stanu. W filmie o jego młodości („Młody Winston", 1970) zagrał go Simon Ward. Obraz wyreżyserował zaś sam Richard Attenborough. Rola nie spotkała się z uznaniem wszystkich krytyków. Tak jak kreacja samego Richarda Burtona we „Wzbierającej burzy" (1974), który raczej imitował Churchilla, niż się w niego przeistoczył. Ikona polityki pojawiła się także epizodycznie, w groteskowym wydaniu, w szokujących „Bękartach wojny" (2009) Tarantino. Zagrał go pamiętany z roli w „Ptakach" Alfreda Hitchcocka Rod Taylor. Była to jego ostatnia rola przed śmiercią w wieku 85 lat.

Dopiero w serialu HBO z 2002 r. „Wzbierająca burza" postać Churchilla

REKLAMA



WOLNOŚĆ
PAMIĘĆ
TROPEMWILCZYM.PL
BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

4 MARCA w Twoim mieście!
NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI NA ŚWIECIE

PATRONAT NARODOWY
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918-2018
ORGANIZATOR
WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA
WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl
MECENAS PLATYNOWY
PZU
PGNiG
MECENAS ZŁOTY
ORLEN
KGHM
PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PARTNER FINANSOWY
FUNDACJA KGHM
PARTNER BIEGOWY
ORLEN WARSAW MARATHON
PARTNER
Bank Polski
Fundacja
FESTIWAL FILMOWY NNW
PATRON MEDIALNY
TVP
POLSKIE RADIO
WP
SIECI
GAZETA POLSKA
PAP
PARTNER MEDIALNY
SUPER EXPRESS
Gazeta Polska
wSieci HISTORII
wPolityce.pl
koncept
niezależna

eprasa.pl 3bfe60f465



Słynna, wybitna rola Gary'ego Oldmana: Norman Stansfield w „Leonie zawodowcu" (1994)

Fot. UIP

została odpowiednio wyeksploatowana. W ujęciu szekspirowskiego aktora Alberta Finneya była to pełnokrwista kreacja. Zdobył za nią nagrody Emmy i BAFTA. Nieźle poradził sobie też Brendan Gleeson, który zastąpił Finneya w obrazie „W czasie burzy" (2009).

Długo trzeba było czekać, by jakiś aktor z równą głębią jak Finney sportretował Churchilla. Timothy Spall w oscarowym „Jak zostać królem" (2012) poszedł w stronę imitacji brytyjskiego premiera. Niemniej pokazał jego zimną grozę, której obawiał się sam król Anglii. Michael Gambon w telewizyjnym „Sekret Churchilla" (2016) sportretował starego i niedomagającego męża stanu po wylewie, który jest odcięty od świata na angielskiej wsi.

Przypomnijmy też, że w 1994 r. powstał telewizyjny film „Giganci II wojny światowej", w którym polityka zagrał Bob Hoskins. Dwuodcinkową produkcję zapamiętano dzięki znakomitemu sportretowaniu Stalina przez Michaela Caine'a, dziś natomiast smaczku tamtej realizacji dodaje to, że prezydenta Roosevelta zagrał John Lithgow: właśnie ten mistrz drugiego planu stworzył wybitną kreację Churchilla w Netflixowym serialu „The Crown" (2016). Premier jest w nim postacią drugoplanową, Lithgow jednak całościowo nakreślił obraz ekscentryka, który dzięki determinacji, niezłomności i sile ducha nie uległ namowom zawarcia rozejmu z „pokojowym malarzem i barbarzyńcą" Hitlerem. To znakomita rola.

PRZED TRUDNYM WYZWANIEM

Gary Oldman, wcielając się w Churchilla, musiał się mierzyć właśnie z rolą Lithgowa. Sam zresztą wybór Oldmana był kontrowersyjny. Szczupły, energiczny, kojarzący się z rolami psychopatów, gliniarzy czy Draculą, nie pasował do roli ciężkiego, sapiącego i bełkoczącego „brytyjskiego czołgu, który ostatecznie rozjechał Hitlera". Obawiałem się, że nadmiar makijażu i charakteryzacji pogrąży aktora, co stało się w przypadku np. samego Anthony'ego Hopkinsa, nieudolnie wcielającego się w Hitchcocka kilka lat temu. Nic z tych rzeczy. Śmiem twierdzić, że Oldman pokazał najlepszego Churchilla w historii kina.

Film Wrighta warto obejrzeć w zestawie z „Dunkierką" Nolana. Oba konkurują o Oscara m.in. w kategorii najlepszy film roku. Niesłusznie krytykowany przez wielu recenzentów również w Polsce „Czas mroku" ma na koncie sześć nominacji, „Dunkierka" ma zaś szansę na osiem statuetek. Te dwa tytuły doskonale się dopełniają, pozwalając spojrzeć na mroczne dni 1940 r., które mogły dać ostateczne zwycięstwo Hitlerowi, zanim II wojna światowa na dobre się rozpoczęła.

Mocna jest sama fabuła „Czasu mroku". Niemcy z łatwością zdobywają kolejne europejskie kraje. Padają Belgia i Holandia. Francja nie ma siły na kontratak. 300 tys. brytyjskich żołnierzy jest uwięzionych na plażach Dunkierki. Chwiejny i słaby premier Neville Chamberlain (Ronald Pickup) zostaje zastąpiony przez nielubianego we własnej partii Churchilla. Ten na starcie ma za plecami czających się zimnych pragmatyków, którzy prą do tego, by zawrzeć rozejm z Hitlerem, póki Wielka Brytania ma w miarę dobrą pozycję międzynarodową. Zwolennikiem pertraktacji z Niemcami z pomocą Mussoliniego jest minister spraw zagranicznych lord Halifax (Stephen Dillane). Churchill jest rozdarty. Wie, jak wielka odpowiedzialność na niego spada. Jest świadom, ile Wielką Brytanię może kosztować pertraktacja z niemieckim diabłem, ale też ma przed oczami wizję zupełnie rozbitej brytyjskiej armii, króla uciekającego do Kanady i nazistowską flagę powiewającą nad Pałacem Buckingham. Jego podporą jest żona Clementine (Kristin Scott Thomas) i w końcu nieufny na początku król Jerzy VI (charyzmatyczny jak zwykle Ben Mendelsohn). Każdy widz znający odrobinę historię wie, że wszystko skończy się płomiennym przemówieniem w Izbie Gmin w czerwcu 1940 r.

„Chociaż wielkie obszary Europy i wiele starych oraz sławnych państw

Autopromocja

eprasa.pl 3bfe60f465

wpadło lub może wpaść w ręce gestapo i całego ohydnego aparatu rządów nazistowskich, my nie osłabniemy ani nie ulegniemy. Wytrzymamy do końca. Będziemy walczyć we Francji, będziemy walczyć na morzach i oceanach, będziemy walczyć z coraz większym przekonaniem i coraz większą siłą w powietrzu. Będziemy bronić naszej wyspy bez względu na cenę. Będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na lądowiskach, będziemy walczyć na polach i na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; nigdy się nie poddamy".

Jak wiele tyrad Churchilla i ta przeszła do historii. Gary Oldman tylko za nią powinien dostać Oscara. Jego przemowa jest nakręcona według najlepszych hollywoodzkich wzorców. Na twarzy męża stanu odmalowują się wszystkie emocje: gniew, strach, patos, realizm. Aktor zaś przechodzi sam siebie.

Nie można jednak nie zauważyć, że Wright idealizuje obraz Brytyjczyków. O zupełny kicz ociera się mityczna scena, gdy Churchill wsiada do metra i otoczony przez kochających go rodaków utwierdza się w przekonaniu, że lud uzna zawarcie pokoju z Hitlerem za zdradę. To bardzo romantyczny i politpoprawny (tylko czarnoskóry pasażer zna tak dobrze jak premier klasyczną literaturę) fragment. Nieprawdziwy, ale zrozumiały z powodów narracyjnych. Niemniej z „Czasu mroku" nie dowiemy się, że opinia publiczna była wówczas podzielona. Nie tylko knujący lord Halifax nie chciał przelewać brytyjskiej krwi, choć w filmie jawi się jako symbol brytyjskiego cynizmu. Wright potrzebował takiej figury, by jeszcze lepiej wybrzmiała postać Churchilla.

Sarkastyczny, emocjonalny, momentami grubiański i niezważający na konwenanse polityk mógł na ekranie łatwo popaść w autoparodię. Oldman jednak od początku do końca trzyma tę postać w ryzach. Szarżuje tylko tyle, ile musi. Subtelnie podkreśla wątpliwości brytyjskiego polityka. Jest porażająco srogi w scenach konfliktu ze swoim gabinetem wojny i wzruszająco bezbronny, kiedy dostaje kuriozalnie zasygnalizowaną odmowę pomocy od prezydenta USA. W obu przypadkach otrzymujemy postać wiarygodną. Oldman nie zagrał Churchilla. On się nim stał. Reszta obsady jest dodatkiem do popisu jednego aktora. Jednak dzięki dobrej reżyserii stanowi odpowiednie dopełnienie głównego bohatera.

Biografie takich legend bywają mitologizowane i reżyserowane na klęczkach. Joe Wright jednak nie ma tremy, by naświetlić ikonę historii we właściwy sposób: w żadnym aspekcie nie przesadzając. Nie da się mimo to ukryć, że ważne są dla niego heroizm i odwaga przelania krwi za wartości, które zbudowały potęgę Wielkiej Brytanii. To naprawdę istotne w czasie, gdy europejscy liderzy są pozbawieni nawet chwiejących się zębów Chamberlaina.





Piotr Adamczyk i Jerzy Schejbal w spektaklu „Listy z Rosji" (Teatr TV)

Fot. Jan Bogacz/TVP

Horubała, czyli poza

Publicysta Andrzej Horubała wydał wyrok na Teatr Telewizji. Zero w tym argumentów, za to pogarda wobec emocji „naiwniaków" – potężna

PIOTR ZAREMBA

Z jednej strony skończyła się era autorytetów, krytyków kładących książkę czy premierę jednym skrzywieniem ust i westchnieniem: słabe. Z drugiej pod wpływem internetu preferuje się lapidarność i agresywność przekazu. To pod wpływem tej tendencji redakcja „Do Rzeczy" opatrzyła artykuł Andrzeja Horubały tytułem „Nienawidzę Teatru Telewizji".

On zaś zaprezentował niechęć do tego teatru, kiedy odrodził się po latach. „We mnie po prostu coś się skręca na te pozory myślenia, pozory sztuki głębokiej, pozory sztuki drapieżnej" – to słowa Horubały na marginesie spektaklu „Biesiada u hrabiny Kotłubaj". Zawiedli wszyscy. Robert Gliński, autor tej adaptacji Gombrowicza, który nie dość, że wyreżyserował coś banalnego, to jeszcze prezentował w postscriptum do przedstawienia „banały na licealnym poziomie". Także Krzysztof Kłopotowski, Jakub Moroz i Dariusz Gawin, którzy w tym samym postscriptum opowiadali, że „z jednej strony tak, a z drugiej inaczej". W czym się mylili, czym nie dorośli do umysłu niebanalnego? Horubała krzywi usta.

Z Horubałą bywaliśmy po tej samej stronie, czasem po stronach różnych. Zawsze jednak miałem wrażenie, że czytam teksty bardziej o jego ego niż o tym, co ocenia. Ale nigdy jeszcze dezynwoltura w owym „wstałem lewą nogą, nie podobało mi się, i co mi zrobicie" nie przybrała tak kuriozalnej postaci.

Kiedy bycie enfant terrible staje się manierą, jest ona nie mniej nieznośna niż naiwny entuzjazm. Wbrew temu, co pisze Horubała, to nie zachwycanie się obecnym Teatrem Telewizji, lecz naśmiewanie się z niego jest dziś modne. A zarazem choć kokietuje, że „naraża się prawicy", bicie w reżyserów: Glińskiego, Wawrzyńca Kostrzewskiego, Krzysztofa Langa czy Pawła Woldana nie jest biciem w PiS. Natomiast zapętlenie się we własnej kokieterii grozi śmiercią lub kalectwem.

Ależ ja tylko piszę, co czuję – mógłby replikować Horubała. W porządku, przytoczmy zatem fragment, kiedy naśmiewa się z mego, jak łaskawie przyznaje: szczerego, lecz i beznadziejnie naiwnego odbioru „Listów z Rosji" Kostrzewskiego, które ogłosiłem przedstawieniem wybitnym: „»Pokazana przez moment twarz zamordowanego w Szlisselburgu młodego cara Iwana – będzie mi się śnić po nocach« – zapewnia nas Zaremba, no a ja przecież nie mam kompetencji, by zaprzeczyć, nie wiem, co tam śni się Piotrowi, może i zjawi mu się buzia aktora Marcina Bubółki z doczepionym zepsutym zębem. Takie to panie, horrory".

Redaktor Horubała powiadomił mnie, że teatr to coś umownego, a aktorom doprawiają sztuczne zęby. Powiadomił też świat, że mamy różne wrażliwości.

Uwaga, iż różni ludzie coś przeżywają na różny sposób, to truizm. Pisząc swoje, też subiektywne oceny, zwykle o tym pamiętam. Odnosząc się do widowisk, staram się polemizować z koncepcją, z myślą, z sensem i z brakiem sensu. Czasem wyrażam także rozczarowanie czy brak emocji. Ale staram się nie epatować tym, że ziewam wtedy, gdy inni się przejmują. Bo równie dobrze może to być informacja o zdarzeniu artystycznym jak o moim zmanierowaniu.

U Horubały Piotr Adamczyk płacze się po planie „Listów z Rosji" „z uśmieszkiem", a przecież: „Puste to wszystko dla mnie, tępe, niedrapieżne". Aktorzy w „Bracie naszego Boga" robią uduchowione miny, a Horubała czeka, kiedy wybuchną śmiechem. Informowanie go, że na planie widowiska Woldana według tekstu Wojtyły panowało skupienie i nikt nie sposobił się do śmiechu, byłoby stratą czasu. To nie jest przecież opowieść o przedstawieniach. To opowieść o Horubale. O pozie.

Horubała się martwi, że „rozłożono tekst Wojciecha Tomczyka o Piłsudskim". Rozmawiałem z autorem na premierze „Marszałka". Był z niej zadowolony. Ale kogoś, kto pozuje, fakty nie interesują. Nawet ten prawie milion widzów, który czegoś w „Marszałku" szukał.

W finale Horubała ogłasza, że akceptuje język telewizji, ale nie akceptuje języka Teatru Telewizji. Przecież to jest właśnie język odrębny – od filmu i od teatru. Czy chodzi tu o brak głębi, który może się przytrafić również teatrowi i filmowi? Czy o sztuczność konwencji, która nie raziła przez tyle lat? Myślę, że autor dąsów sam nie umiałby tego objaśnić.

Tym bardziej nie spytam, co dobrego wynika z tego, że wielu Polaków odnalazło w tych przedstawieniach coś, co zbyt słabo znajduje w profesjonalnym teatrze, może nawet kinie. Horubała od takiej refleksji woli narrację w stylu: „Arkadiusz Janiczek, etatowy esesman, tu [W „Bracie naszego Boga" – przyp. red.] z wniebowziętym, kompletnie niewiarygodnym uśmiechem braciszka zakonnego". Widziałem ze 20 ról Janiczka, w żadnej nie grał esesmana. Z całą resztą jest tak samo.

eprasa.pl 3bfe60f465

Surowe piękno



Adam Ciesielski

Przed zbliżającą się piątą rocznicą śmierci Wojciecha Kilara ukazał się album z nową, perfekcyjną interpretacją jego „Missa pro pace", zrealizowaną w Operze i Filharmonii Podlaskiej.

Msza skomponowana przez Kilara dla uświetnienia stulecia Filharmonii Narodowej jest jednym z najważniejszych dzieł sakralnych pamiętnego twórcy. Prapremierę miała 12 stycznia 2001 r. w sali FN z udziałem orkiestry i chóru warszawskich filharmoników oraz solistów z Izabelą Kłosińską, Jadwigą Rappé, Charlesem Danielsem i Romualdem Tesarowiczem. W tej samej sali dokonano pierwszego nagrania, które zostało wydane przez CD Accord.

7 grudnia 2001 r. kompozycja zabrzmiała w Watykanie w obecności Ojca Świętego. „To wspaniały utwór, wpisujący się w głębię tradycji liturgicznej Kościoła i pozwalający doświadczyć wielkich tajemnic ukrytych w obrzędach mszy św." – mówił wówczas Jan Paweł II.

W 2003 r. nakładem firmy DUX wyszedł album zarejestrowany rok wcześniej podczas koncertowego wykonania mszy we wrocławskiej katedrze św. Magdaleny. I tu usłyszeliśmy Jadwigę Rappé oraz Charlesa Danielsa, a obok nich Zofię Kilanowicz, Piotra Nowackiego oraz orkiestrę Filharmonii Wrocławskiej i chór Opery Dolnośląskiej pod Markiem Pijarowskim.



Wojciech Kilar, „Missa pro pace" wyd. DUX

Po tym nagraniu live, z charakterystycznym brzmieniem w gotyckim wnętrzu, DUX teraz ponownie zrealizował mszę Kilara w korzystniejszej akustyce Europejskiego Centrum Sztuki w Białymstoku. Soliści: Joanna Woś (sopran), Małgorzata Walewska (mezzosopran), Paweł Brożek (tenor) i Rafał Siwek (bas) z orkiestrą Opery i Filharmonii Podlaskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka oraz ze znakomitym chórem Violetty Bieleckiej w pełni oddali surowe piękno i nastrój modlitewnego skupienia dzieła. Z „Agnus Dei" jako przejmującym błaganiem o pokój w naszych trudnych czasach.

Tortury i rozkosze

Huśtawkę wrażeń przy muzyce Claude'a Debussy'ego i Karola Kurpińskiego zapewniły niedawne premiery na warszawskich scenach operowych.

Zachwyt nad brzmieniem sprzed ponad stu lat wywołała opera Debussy'ego „Peleas i Melizanda", pokazana po raz pierwszy w Polsce w pięcioaktowej wersji scenicznej. Jej urok wyeksponowała orkiestra Teatru Wielkiego-Opery Narodowej pod batutą Patricka Fournilliera. Popisowo śpiewali odtwórcy ról tytułowych: szwajcarski tenor Bernard Richter (Peleas) i belgijska sopranistka Sophie Karthäuser (Melizanda). Nie ustępowali im francuski baryton Laurent Alvaro (Golaud), jego rodak Bertrand Duby (Arkel) oraz Polacy: mezzosopranistka Karolina Sikora (Genevieve), sopranistka Joanna Kędzior (Yniold) i bas Robert Dymowski (Lekarz).



Claude Debussy, „Peleas i Melizanda", reż. Katie Mitchell, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera: 21 stycznia 2018



Karol Kurpiński, „Alexander i Apelles", reż. Ryszard Peryt, Polska Opera Królewska, premiera: 26 lutego 2018

Z podziwem dla muzyki nie szło w parze śledzenie fabuły. Trzyipółgodzinny koszmar zazdrości wg dramatu Maeterlincka, do tego odarty przez brytyjską inscenizatorkę z tajemnicy na rzecz krwawej dosłowności – był wyzwaniem co się zowie.

Odmianę nastroju stanowił „Alexander i Apelles" Kurpińskiego. Jednoaktowe dziełko przywrócone rodzimej scenie po 200 latach, niedawno w Kaliszu, a teraz w Polskiej Operze Królewskiej, ma pogodną muzykę i takież libretto. Drogi malarza Apellesa (Tomasz Krzysica) z ukochaną Pankastą (Tatiana Hempel-Gierlach) schodzą się tu bez przeszkód dzięki wspaniałomyślności Aleksandra Macedońskiego (Robert Gierlach). Tyle że w realu taki komfort raczej się nie zdarza.

Adam Ciesielski

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Marcin Makowski

Korona dla każdego

Prezes TVP Jacek Kurski miał nosa. „Korona królów" to pomysł trafiony, bo łączy atrakcyjną dla wielu konwencję telenoweli z przedsięwzięciem typowo misyjnym, obliczonym na przybliżenie Polakom ich własnej przeszłości. Truizmem jest już twierdzenie, że mało kto dziś uczy się historii z opracowań naukowych, a wielu zna ją głównie z kina i telewizji. Dlaczego więc w edukacji społeczeństwa mamy nie korzystać z narzędzi kultury masowej?



PIOTR GONTARCZYK

Epokę wybrano świetnie: budowa zrębów silnego państwa, skomplikowane stosunki polsko-litewskie, konflikt z Krzyżakami i relacje z innymi sąsiadami same w sobie są wielowątkowe i ciekawe. Również osoba Kazimierza III Wielkiego, jego dokonania polityczne i bogate życie osobiste są interesującym punktem wyjścia do napisania barwnego i dynamicznego scenariusza. Wszystko może tu być trochę bajkowe – król, rycerze, stroje i obyczaje – i odmienne od innych epok, znanych chociażby z wybitnego serialu „Królowa Bona" czy licznych ekranizacji dzieł Henryka Sienkiewicza.

Ale jeszcze przed premierą serialu można było się domyślać, że „Koronę królów" zaleje rytualna fala ataków czę-

ści dziennikarzy i prywatnych mediów. Wdeptywanie w ziemię wszystkiego, co robią TVP i Jacek Kurski, jest od dwóch lat normalnym (choć nie wiem, czy uczciwym) elementem walki z konkurencją. Oczekiwałem, że i tym razem przywalenie TVP stanie się punktem honoru establishmentu III RP, bo jednym za to płacą, a dla innych będzie to szansa na zaistnienie. Było jasne, że każda krytyczna (niekoniecznie mądra) uwaga spotka się z wielokrotnym echem w zaprzyjaźnionych mediach.

No i poleciało: tandeta, żenada, błędy historyczne i w ogóle wszystko nie tak. Jednym z głośniejszych uderzeń i zarazem typowym wykwitem tej kampanii był internetowy felieton Karoliny Korwin-Piotrowskiej pod obrazowym tytułem „Rozmodlona kruchta". No cóż, osobie czytającej czasem książki nie trzeba tłumaczyć, że w średniowieczu wiara głęboko przenikała życie prywatne i publiczne, była też ważnym atrybutem władzy i obszarem uprawiania wielkiej polityki. Zresztą, uwaga autorki była nieuzasadniona, bo sprawa religii w serialu nie przytłacza. Nadto obok niej funkcjonują wątki ekscesów damsko-męskich króla Kazimierza i królowej Anny z jej pogańską rodziną i otoczeniem.

73/0118/F

eprasa.pl 3bfe60f465

Oprócz rzekomego nadmiaru kruchty Korwin-Piotrowska krytykuje prawie wszystko. Niby rozumie ograniczenia czasowe i budżetowe, a mimo to wszystko jest nie tak z choreografią, strojami, scenariuszem, aktorstwem, a nawet ustawieniem kamery. To, jej zdaniem, nie ma nic wspólnego z dobrym polskim filmem historycznym, którego daje przykłady: „Gniazdo" (1974), „Krzyżaków" (1960) i serial „Przyłbice i kaptury" (1986).

Dwóch pierwszych, mocno ciosanych dzieł peerelowskiej propagandy, nie chcę tu komentować, bo zwłaszcza różne wpadki „Krzyżaków" (śmieszne rekwizyty, rozpadające się murowane zamki z drewna czy „hajlujący" rycerze zakonni) opisywano już wielokrotnie. Aktorstwo w serialu „Przyłbice i kaptury" – w tym przede wszystkim niezapomniana mina kulomiota Władysława Komara, który cały czas nie wierzy, że „robi w filmie" – też nie musi się podobać. W zakończeniu między zdjęciami dwóch głównych bohaterów, z których jeden nie umie się utrzymać na koniu, powklejano scenki powycinane z „Krzyżaków" Aleksandra Forda. Widowiskowy wykwit peerelowskiego obciachu. Skoro taki serial jest dla naszej pani krytyk wybitnym dziełem polskiego kina historycznego, to warto było sobie w tej sytuacji zadać pytanie, jakie są osiągnięcia wybitnej pani krytyk?

W jej biogramie znalazłem głównie znane periodyki fachowe: „Gala", „Cosmopolitan", „Pani", „Uroda"... Z doświadczeń własnych z dziesiątą muzą trzeba wymienić trzy epizodziki filmowe, z których największym wyzwaniem była dla niej rola w odcinku numer 101 serialu „Niania". Koronę królowej krytyki filmowej zdobi jeszcze diament w postaci wywiadu na Pudelku.pl o księżnej Dianie i jej kolekcji wibratorów. No ale nie bądźmy jednostronni: pani Korwin-Piotrowska bywała na festiwalach filmowych i przeprowadziła wywiady ze światowymi gwiazdami (np. Stevenem Spielbergiem, Sophią Loren i Romanem Polańskim). Czy to dużo? Zapewne dla niej wiele, skoro pozwoliła sobie na kilka wyjątkowo ostrych uwag. Choćby wtedy, kiedy powołując się na opinię „jednej bardzo dobrej aktorki" (oczywiście anonimowej), napisała o serialu jako „ratunku dla bezrobotnych" aktorów. Na tym poziomie kultury można sobie darować komentarze.

Zamiast nich warto się przyjrzeć szczegółowym uwagom, jakie pod adresem konkretnych postaci nasza gwiazda wskazała. Indywidualnie wspomniany jest tylko Władysław Łokietek, który ma przypominać Papcia Chmiela. No cóż, starość ma swoje prawa, a król Władysław żyjący w epoce nieznającej zdrowej diety ani fitnessu przekroczył siedemdziesiątkę, co w tamtych czasach było rzeczą wyjątkowo rzadką. Miał prawo w filmie wyglądać niedołężnie i nieco

REKLAMA



kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt połączenia wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 24.01.2018 r.

eprasa.pl 3bfe60f465


Fot. Marcin Makowski

dziadkowato. Przecież w następnym odcinku będzie umierał, oddając koronę w ręce Kazimierza. Gdyby Łokietek przed ostatnim namaszczeniem ostrzygł się, ogolił i zatańczył krakowiaka, to i tak byłby krytykowany, że umiera w tańcu z niewłaściwej epoki.

Trudno się też zgodzić z uwagami, że z aktorstwem jest w serialu tak słabo. Do galerii ról traktowanych przez Piotrowską jako dobre, choć odosobnione (obie królowe i ich kucharka: fantastyczne Halina Łabonarska, Marta Bryła i intrygująca Agata Bykowska) chętnie dopisałbym kolejne z Olgierdem Giedyminowiczem (Wojciech Żołądkowicz), kanclerzem (Tomasz Sapryk) i kasztelanem krakowskim Spytkiem z Melsztyna (Sławomir Orzechowski) na czele. Podobno niektórzy młodzi aktorzy bardzo przeżyli falę hejtu, która wylała im się na głowy. Po ludzku trochę szkoda, że nie o ich grę aktorską w rzeczywistości chodziło, lecz wojnę establishmentu z TVP.

Prawie na koniec Korwin-Piotrowska dorzuciła: „Pozostaje jeszcze kwestia obyczajowa. [...] Oby Kazimierz Wielki, którego temperament seksualny był słynny i legendarny, nie wyszedł na świętoszka. Chyba te czasy, które unurzane były we krwi, brutalności i rozwiązłości, takie zostały pokazane, bo na razie to rozmodlona kruchta z tekturki".

W „Koronie królów" wysyła się na męki, wydaje wyroki śmierci, a Kazimierz Wielki na pewno nie jest świętoszkiem, skoro serial zaczął opowiadać o jego romansach i nieślubnych dzieciach. Ale radykalnego podostrzenia obrazu poprzez wprowadzenie zbliżeń realizacji królewskiej chuci czy pokazanie toru lotu odcinanych przez kata kończyn to tu raczej nie będzie. Nie to pasmo, nie ta telewizja ani nie ta misja publiczna. Jeżeli ktoś nie przyjmuje tego do wiadomości, to zawsze może zmienić kanał albo w ogóle wyłączyć telewizor.

Ten dość jednorodny poziom rytualnych ataków establishmentu na „Koronę królów" zakłóciły wypowiedzi kilku osób kojarzonych z prawicą. Do nich należy historyk Sławomir Cenckiewicz, który ironiczny komentarz zakończył podsumowaniem „Dramat! Dajcie Braunowi tę kasę, to zrobi wam film". Mój Uczony Kolega zapomniał chyba, że dziś wybitny reżyser Grzegorz Braun to kiedyś głównie performers, lider ugrupowania politycznego Szczęść, Boże! niestroniący od prezentacji swoich obsesji. Po kilku odcinkach mogłoby się okazać, że Kazimierz Wielki nie był w permanentnym politycznym zwarciu z Zakonem Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie (Krzyżaków), tylko wspólnie z nim toczył bój z masonerią i brukselską biurokracją. W każdym razie na miejscu kierownictwa TVP wstrzymałbym się z podjęciem współpracy z Braunem co najmniej do czasu rozstrzygnięcia fundamentalnego pytania filozoficznego, z którym zmaga się on w internecie: „Czy mistrz Yoda z »Gwiezdnych wojen« jest Żydem?".

Media niechętne TVP i prezesowi Kurskiemu z lubością powtarzały również tweeta zamieszczonego w sieci przez wiceministra kultury i dziedzictwa narodowego Pawła Lewandowskiego: „Zgniłem, jak to zobaczyłem". Tweet został usunięty, ale jego kopie w przestrzeni publicznej zostały. Nie wiem, co upoważniało wspomnianego do komentowania serialu, szczególnie tym językiem, w tym bowiem przypadku nie ma nawet mowy o roli w serialu „Niania", nie mówiąc już o poważniejszym wykazie naukowych czy artystycznych dokonań. Pani Korwin-Piotrowska to przynajmniej poezję Lucjana Rydla zna, bo z jego wiersza „Procesya" z tomiku „Poezya" (Kraków, 1901) zasięgnęła pomysł na frazę o „rozmodlonej kruchcie". A tu? Czyżby kolejny przykład „gnicia" od nadmiaru wody sodowej?

Oczywiście autorzy serialu powinni unikać wpadek, starać się dbać o wierność realiom i zwracać uwagę na szczegóły. Nie można zapominać, że papryka jest „trochę węgierska", ale w krętą podróż z Ameryki do Polski wyruszy ona dopiero w epoce wielkich odkryć geograficznych. Ale generalnie serial niesie w sobie trudny do przecenienia ładunek ciekawych informacji o polskiej historii: wielkiej polityce, obyczajach, kulturze, życiu codziennym i królów, i rzemieślników czy choćby patologiach (przestępczość) początków kazimierzowskiej epoki. Ale prawda, to produkt bez poważniejszych aspiracji przeznaczony dla masowego odbiorcy. Ludzie to chętnie oglądają i dobrze. Generalnie nie jest źle, całość może się podobać i coś z tego w głowach na pewno zostanie. Sam słyszałem, jak w metrze jakiś ojciec został zapytany przez syna (chyba gimnazjalistę): „Dlaczego we wczorajszym odcinku serialu króla Łokietka ktoś nazwał nie królem Polski, tylko królem Krakowa?". Pomogłem ojcu i wspólnie daliśmy jakoś radę.

Nie tylko pani Korwin-Piotrowska będzie rozczarowana, lecz mówi się trudno: gołych bab tu nie będzie, podobnie jak „unurzanej we krwi brutalności i rozwiązłości". A i „rozmodlonej kruchty" na bardziej wyzwolony klub nikt tu nie zamieni. Nie można mieć wszystkich atrakcji naraz. Mnie osobiście tego rodzaju braki sytuacja z metra z nawiązką rekompensuje.

eprasa.pl 3bfe60f465

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Dzieci mordują dzieci

Miałem przerwę w siedzeniu przed telewizorem. I postanowiłem poszukać czegoś, o czym chciałem kiedyś napisać, a brakło czasu. Padło na „Plac zabaw" Bartosza Kowalskiego. Film wciąż się błąka po rozlicznych mutacjach Canal+.

Na ostatnim festiwalu w Gdyni wywołał gwizdy i wychodzenie widzów z sali. Wyszedł nasz wysłannik Łukasz Adamski. Siadałem więc przed telewizorem z rezerwą. I kiedy film zaczął zmierzać ku finałowi, o którym słyszałem, tak jak widzowie z Gdyni przerwałem oglądanie.

Zaczyna się jak typowy film społeczny z dziecięcymi bohaterami. Zdawkowe, chropawe dialogi, aktorzy naturszczycy lub w każdym razie nieznani. Brzydkie wnętrza i miejskie plenery, nerwowa, łapiąca jakieś strzępy rzeczywistości kamera – standard. I zajawka w Filmwebie niczym ponury żart „Jeden dzień z życia trójki nastolatków w dzień zakończenia przez nich szkoły podstawowej". W pewnym momencie orientujemy się, że nie skończy się na jednym więcej zapisie rzeczywistości byle jakiej, dołującej i pozbawiającej dzieci nadziei. Nie, dzieci muszą popełnić zbrodnię.

Jaką, nie byłem pewien. Teraz na potrzeby tego tekstu przeczytałem opis. Okazuje się, że dwaj trzynastoletni chłopcy o ponurych, zaciętych spojrzeniach dopuszczają się nawet dwóch strasznych czynów. Ludzie, którzy wychodzili z kina w Gdyni, zarzucali filmowi efekciarstwo i przekraczanie granic. Zdumiewające, choć i krzepiące, że taka dyskusja w ogóle się odbywa.

W internecie wyczytałem też głosy obrońców dowodzące, że owa makabra była oczyszczająca, że przecież to film na motywach prawdziwej zbrodni. Że wręcz takie rzeczy trzeba oglądać, aby wiedzieć, jakie jest życie. A ja stchórzyłem, choć w nie najgorszym towarzystwie.

Kluczowe jest pytanie, czy z „Placu zabaw" dowiadujemy się czegoś nowego. Z pozoru demagogiczne, bo bardzo wiele filmów (podobnie jak książek czy sztuk) nie tyle otwiera przed nami nowe przestrzenie, ile przypomina, pogłębia tematy, czasem wstrząsa powtarzalnością wątków, które już były. Nie buntuję się przeciw temu, my również piszemy ciągle o tym samym.

Jednak zabijanie dziecka jest przełamaniem tabu. Zabijanie przez inne dzieci, podpatrzone ze szczegółami – tym bardziej. Trzeba mieć mocny powód, aby się na to tabu zamachnąć. Mam wątpliwości, czy miał je Kowalski.

Obrońcy twierdzą, że zobaczyliśmy w filmie zły świat, który do zbrodni doprowadził. Ale czy biedne mieszkania z przemęczonymi, nieciekawymi rodzicami, szkoła z nauczycielami niczym roboty, to wystarczające objaśnienie fenomenu? Pełne społeczne tło? Naprawdę wierzycie, że to oni pchnęli te dzieci do zbrodni. I że w bardziej cieplarnianym otoczeniu to by się nie zdarzyło? A może są inne, bardziej globalne powody? Może wreszcie istnieje zło bez powodu, tyle że natura cywilizacji pozwala mu się objawić? Ale woli się rutynową debatę o szkole, która nic nie robi.



Na te pytania Kowalski nie odpowie i nawet nie musi. Owszem, tajemnica zła bez przyczyny jest warta filmów, tyle że powstało ich sporo. Może akurat Polacy nie doczekali się dzieła o mordzie w świecie tak młodocianych osób. Jednak czy jest na co czekać?

Skądinąd zbrodni, na którą powołują się obrońcy, dokonało dwóch dziesięciolatków, lecz w Anglii. Polska wciąż nie dorosła – a to sprawcy byli starsi, a to czyn mniej drastyczny. Ale może to mogłoby się zdarzyć i u nas. Tylko, czy to wystarczy, by powstał film?

Piotr Zaremba



Czytanie jako Zagończyk Joseph Roth

Wojciech Stanisławski

Cóż prostszego, jak zganić Polskę, na osłodę rzucając kilka komplimentów pod adresem miejscowych poetów i nabiału? Znali tę sztukę korespondenci dawni, znają i dzisiejsi

To jeden z tych autorów, których legenda przynajmniej przez pierwszą chwilę przesłania dzieło: Żyd z czarnego sztetlu, student filologii z Uniwersytetu Wiedeńskiego, ochotnik, z czasem odważny żołnierz w szeregach cesarsko-królewskiej armii, spiskowiec działający na rzecz restauracji Habsburgów i, jak chcą niektórzy, konwertyta na katolicyzm? Wierny mąż chorej na schizofrenię żony, katastrofista i nostalgik, erudyta, alkoholik i monarchista, piszący przy karafce koniaku w zatłoczonej kawiarni i umierający w podrzędnym paryskim hoteliku trzy miesiące przed wybuchem II wojny światowej? Tak, Josepha Rotha można pokochać już za sam życiorys, ale tylko do chwili, kiedy przeczytamy pierwszy akapit jego pióra: wtedy rozpoczyna się inne urzeczenie, zagarnia nas inny rytm. Ten stop rzeczowości i smutku jest trudniejszy do podrobienia niż bitcoin. „Galicja spoczywa w samotności, zapomniana przez świat, a jednak nie odizolowana; wygnana, ale nie odcięta; więcej tu kultury, niż kazałyby domniemywać niedostatki kanalizacji, dużo nieładu i jeszcze więcej osobliwości. Wielu zna ją z czasu wojny, ale wówczas Galicja ukrywała swoje oblicze. Nie była krajem. Była zapleczem albo frontem. Ma jednak własną radość, własne pieśni, własnych ludzi i własny blask; smutny blask wzgardzonych". Roth, prawda? Tak, to musi być Roth.

Zanim napisał powieści, zanim rozpoczęła się jego ucieczka przez hitlerowcami, zanim jasno dostrzegł, że Europa zadała sobie śmiertelny cios w roku 1914, miotał się, jak całe pokolenie ocalałych z Wielkiej Wojny, przez kilka nerwowych, euforycznych, lecz wypranych z radości lat w nurtach mód, jazzu, konferencji międzynarodowych i salonowego filobolszewizmu. Roth miał szczęście krążyć w tym wirze nie jako rozbitek (którym tak naprawdę był), lecz jako wzięty dziennikarz berlińskiej prasy liberalnej, z „Frankfurter Zeitung" na czele, i w tej roli trafił do Albanii, do Włoch, do ZSRS (jego relacje stamtąd należą do zlekceważonego przez międzywojenną Europę kanonu „przejrzeń na oczy"), do Langwedocji – i do Polski.

Napisawszy to zdanie, zdałem sobie sprawę, jak jest ono dwuznaczne: czym innym był przed kilkudziesięciu laty „dziennikarz", co innego znaczyła „liberalna prasa". Zostawmy jednak na boku banalne lamenty nad upadkiem mediów, skoro różnicę poznać można po owocu, czyli po zbiorze korespondencji Rotha zatytułowanym przez wydawcę „Listy z Polski": najwyraźniej w latach 20. i 30. XX w. poważni dziennikarze pisywali eseje podróżne, nie hashtagi.

Przeglądanie się w cudzym spojrzeniu jest zawsze zdrowe: pozwala dostrzec niejedną tkwiącą w naszych oczach belkę, ściera jak pilnikiem megalomanię, w przypadku czyjejś niechęci też bywa pożyteczne, ukazując, że nie oznacza ona końca świata. Stąd relacje podróżników zawsze są w cenie, by wspomnieć choćby kanoniczną od ponad pół wieku antologię „Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców" zestawioną przez Wacława Zawadzkiego. Najprzyjemniejsza bywa jednak zapewne lektura tych tekstów, których autorzy rozpływają się nad zaletami polskiego chleba i mleka, urodą Polek i odwagą Polaków.

Kto szuka podobnego plasterka na ego, nie zawiedzie się, sięgając po „Listy z Polski"; ale mam nadzieję, że znajdzie tam dużo więcej. Roth pozostaje pełen uznania dla polskich krajobrazów, pieśni wieśniaczych, ciekawości świata, ba, młodości Młodziakówien i „Alków" których widzi, spieszących do gimnazjum – ale warto zdać sobie sprawę, że pisząc filuterne frazy, podejmował znacznie głębszą grę z własną przeszłością, rodowodem oraz z czytelnikami i wydawcami.

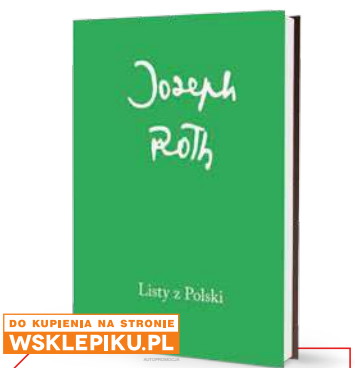
Wracał do Galicji (najpiękniejsze, choć nie wszystkie relacje dotyczą Lwowa i „Małopolski Wschodniej") z której, jak tylu z jego pokolenia, wyrwał się, dokonując kolosalnego skoku, i której doświadczył po raz drugi w najgorszym dla niej czasie, podczas walk toczonych w Karpatach. I więcej jeszcze: pisał

eprasa.pl 3bfe60f465

dla liberalnego czytelnika berlińskiego, niemieckiego, europejskiego, który o Polsce wiedział niewiele, a jeszcze mniej dobrego, i który świeżo miał w pamięci rozdmuchane propagandowo doniesienia o nieszczęsnym pogromie we Lwowie, jakiego dopuścili się hallerczycy, oraz o „zamachu Piłsudskiego". Cóż prostszego, jak popłynąć tym nurtem, ganiąc soldateskę, a na osłodę rzucając kilka komplimentów pod adresem miejscowych poetów i nabiału? Znali tę sztukę korespondenci dawni, znają i dzisiejsi.

Joseph Roth, eksoficer piechoty w arcycywilnym meloniku, z przekorą zagończyka wybiera tematy najtrudniejsze: tłumaczy postawy ludu, politykę państwa wobec mniejszości ukraińskiej, ba, rzecz tak śmieszną jak tromtadrację parad. „Tyle jest okazji! Dziś jakieś miasto świętuje przyłączenie do państwa, jutro to czy inne lokalne zwycięstwo, w następną niedzielę rocznicę pułku. [...] Sztandary łopoczą, huczą bębny, grzmią trąby. Ale bez żadnej wojowniczej intencji! Proszę ostrożnie przyjmować informację o symptomach, a jeszcze ostrożniej ich wykładnię! – zastrzega się, przyjmując konwencję »listu do przyjaciela«. „W Polsce panuje po prostu coś w rodzaju chronicznej radości zmartwychwstania i swego rodzaju niepewność, czym wypełnić pauzę między narodzinami państwa a jego wyruszeniem w drogę".

Zarazem – warto to może zastrzec po tym cytacie – nie był Roth nigdy pisarzem skupionym na polityce. Jak zawsze, najbardziej obchodzą go impresje i obrazy, brzydkie blizny okopów, „żydowscy drobni handlarze, czarni i rudzi, którzy na nikogo nie czekają", a czasem, między uwagą o błocie czy pucybucie, zdanie godne hagady: „Bóg dopuszcza cuda każdego dnia. Każdej zaś niedzieli przewyższa samego siebie". A jednak przez te kilka tygodni spędzonych w Polsce, niesiony chagallowskim wiatrem, zdołał zrozumieć tak wiele.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Joseph Roth, „Listy z Polski" (wstęp: Krzysztof Czyżewski, przełożyła Małgorzata Łukasiewicz), wydawnictwo Austeria, Kraków 2018

Krakowskie wydawnictwo Austeria wydaje „Dzieła zebrane" Rotha od lat. Trudno o oficynę bardziej niszową, funkcjonującą siłami kilku osób; raz czy drugi zdarzyło mi się westchnąć nad opóźniającą się premierą ich tytułu czy pewną, nazwijmy to, niefrasobliwością w redagowaniu strony WWW. Publikując „Listy z Polski" pod koniec stycznia, w dniach kolejnego fatalnego sporu o pamięć, w którym obu stronom brakuje chęci zrozumienia rozmówcy, wykazało jednak wyczucie chwili w stopniu, którego mogą pozazdrościć mu wszyscy potentaci na rynku wydawniczym.

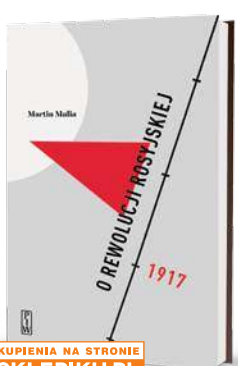
Instrukcja obsługi Sowietów

Stanąć za katedrą paryskiej uczelni w latach 70. i krok za krokiem podważać najświętsze artykuły wiary słuchaczy, podkreślając, że bolszewicy zwyciężyli niejako „na pobojowisku", w próżni politycznej, w sytuacji całkowitego rozpadu struktur państwowych, gospodarczych i społecznych? Że finał, czyli powstanie ZSRS, jeśli był przesądzony, to nie za sprawą logiki dziejów, lecz spóźnionej modernizacji Rosji, a następnie katastrofalnego dla niej przebiegu I wojny światowej? Podkreślać skalę terroru, lecz i ważniejszego odeń przekonania o „racji Historii", które dawało bolszewikom psychologiczną siłę do totalnego upaństwowienia?

Więcej: z wyższością, jaką daje poczucie mówienia rzeczy oczywistych, konstatować, że stalinizm nie był żadną „aberracją", że fundament wszystkiemu położył Lenin? Wymagało to odwagi, którą trudno sobie wyobrazić polskim czytelnikom prostodusznie przekonanym, że „Zachód był przeciwko komunizmowi", nieświadomym meandrów postępowej zachodniej sowietologii. Taką odwagę – żołnierza US Navy w latach II wojny – i zarazem kompetencje, które nie pozwalały go zignorować, miał w roku 1974 jeden chyba człowiek: Martin Malia. Czy przypadkiem zaproszono go tam rok po opublikowaniu w Paryżu pierwszego tomu „Archipelagu GUŁag"?

Są książki, dla których chciałoby się ukraść tytuł innemu dziełu: „O rewolucji rosyjskiej" powinno się nazywać (gdyby tak nazwanej książki, w dodatku na ten sam temat, nie napisał był już Michaił Heller) „Maszyna i śrubki", tak nieubłagane są te wywody amerykańskiego historyka, w których jedno zawsze wynika z drugiego. Suche, pozbawione ozdób, są trochę niczym instrukcja obsługi czy podręcznik oficera sztabowego: być może stało się tak, ponieważ mamy do czynienia z transkrypcją wykładów sporządzoną przez zaprzyjaźnionych paryskich jezuitów: sam Malia, jak we wstępie wspomina Alain Besançon, „pojawiał się na wykładzie z wizytówką, na której miał nagryzmolone cztery lub pięć słów. Z jej pomocą potrafił mówić przez dwie godziny w sposób bardzo płynny, posługując się nienagannym francuskim".

Ba, i to jak mówił.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Martin Malia, „O rewolucji rosyjskiej. Wykłady paryskie", tłum. Łukasz Maślanka, PIW 2017

eprasa.pl 3bfe60f465

Adamski poleca





Wartość życia

Kino

Gdy się wydawało, że Ridley Scott wpadł w pułapkę robienia wyłącznie poprawnego i nudnie przewidywalnego kina, pokazał, iż wciąż ma pazur z czasów „Helikoptera w ogniu".

Scott opowiada o porwaniu 16-letniego Jeana Paula Getty'ego III (Charlie Plummer), do którego doszło w Rzymie w 1973 r. Nastolatek był wnukiem uznanego wówczas za najbogatszego człowieka świata J. Paula Getty'ego (Christopher Plummer). Mieszkał w Rzymie, gdzie brylował jako złoty hipis. Włoscy porywacze, związani luźno z 'Ndràngheta, zażądali za jego uwolnienie 17 mln dol. okupu. Matka Paula, Gail (Michele Williams), o pieniądze poprosiła teścia. „Jeśli zapłacę choć centa, będę miał 14 porwanych wnucząt" – usłyszała. Nie zrobiło na nim wrażenia nawet obcięcie wnukowi ucha i przesłanie go do redakcji włoskiej gazety. Getty uchodził za wyjątkowego skąpca podobnego do Scrooge'a.

Pierwotnie zagrał go Kevin Spacey, który po wybuchu seks-skandalu został wycięty z filmu. Prędko nakręcono nowe ujęcia z Christopherem Plummerem. Chciałbym zobaczyć kiedyś wersję ze Spaceyem (pewnie za kilka lat będzie białym krukiem na rynku Blu-Ray). 88-letni Plummer spisał się perfekcyjnie i zgarnął za rolę nominację do Oscara. To imponujące, że zaledwie w ciągu kilku tygodni, jakie miał na przygotowanie się i zagranie roli, tak mocno się w niej rozsmakował. Getty w wykonaniu Plummera nie jest zresztą postacią jednowymiarową. Scott umieszcza nawet jedną scenę nawiązującą do słynnego finału „Obywatela Kane'a". Getty też miał swoją „różyczkę". Jak każdy z nas.

Scott zadbał o to, by jego film był wiarygodny w najmniejszych szczegółach. Z pomocą kapitalnych zdjęć Dariusza Wolskiego odmalowuje specyfikę spalonej słońcem Kalabrii, gdzie przetrzymywano chłopaka. Skorumpowanie całego systemu jest na południu dopełnione wszechobecną omertą. Zimne wnętrza angielskiej posiadłości podkreślają zaś wyjałowioną duszę miliardera, który miłością wnuka obdarza tylko raz: przechadzając się po Forum Romanum. Ta scena również ma głęboki podtekst.

„WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA",
REŻ. RIDLEY SCOTT, DYSTR. MONOLITH

Internet

Bez niego nie byłoby dzisiejszej komedii

A Futile and Stupid Gesture" to błyskotliwa, przewrotnie zrealizowana biografia Douglasa Kenneya. Ten słabo kojarzony w Polsce komik wymyślił w latach 70. satyryczny magazyn „National Lampoon", bez którego nie byłoby dzisiejszej komedii. W radiowym show pod tym samym tytułem talent szlifowały takie późniejsze gwiazdy jak Bill Murray, John Belushi czy Chevy Chase. Logo „National Lampoon" znajduje się też przy kultowych dziś komediach „Animal House" czy „W krzywym zwierciadle: Wakacje".

Kenney był tragiczną postacią. Piekielnie inteligentny absolwent Harvardu mógł się stać ojcem chrzestnym odrodzonej komedii. Narkotyki i depresja doprowadziły go jednak na skraj przepaści. Ten film jest taki jak jego humor. Niepoprawny politycznie, pełen dystansu i głębokiej autoironii. Ba, narratorem jest 70-letni Kenney, choć przecież zmarł w wieku 33 lat! Kto by wpadł na taki myk fabularny? Tylko twórca „National Lampoon"!

„A FUTILE AND STUPID GESTURE"
JEST DOSTĘPNY NA NETFLIX.COM



Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 3bfe60f465

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Banalny romans

Oglądając nominowany do czterech Oscarów film twórcy „Nienasyconych", miałem przed oczami perełkę Bernarda Bertolucciego z 1996 r. „Ukryte pragnienia". Wakacje, włoskie słońce, wino i miłość, która zamiast być otwarcie romantyczna, jest tłumiona pod konwenansami. Scenariusz Jamesa Ivory'ego w ujęciu Sycylijczyka Luca Guadagnino jest przepełniony erotyką, która z pewnością będzie uwierać osoby nieoswojone z homoseksualizmem na ekranie.

Lato 1983 r. Elio (Timothée Chalamet) jak co roku spędza z rodziną wakacje w letniej rezydencji. Gdzieś na północy Italii – jak informuje napis na początku filmu. Ojciec (Michael Stuhlbarg) jest szanowanym profesorem i specjalistą od antycznej sztuki. Matka (Amira Cesar) biegle mówi kilkoma językami i współtworzy rodzinną idyllę. Co roku zapraszają do siebie amerykańskiego studenta. Tym razem jest to idealnie męski, wyjęty wręcz z amerykańskich broszurek lat 50. Oliver (Armie Hammer). Koleżanki Elia szaleją za jego wysportowanym ciałem. On natomiast swoim aroganckim amerykanizmem równocześnie przyciąga i odpycha. Szczególnie Elio.

Guadagnino nakręcił bardzo zmysłowy film. Momentami zbyt dosłowny i łopatologiczny. Zrywana z drzewa brzoskwinia zamienia się w owoc zakazany, którego smak miesza się z lepkim od gorąca powietrzem zagęszczającym w każdej scenie atmosferę. Czy to grzech? Obaj mężczyźni noszą symbol judaizmu na szyi. Symbolika drzewa poznania dobra i zła pozostaje bardzo wyraźna. Ojciec i Oliver analizują strukturę idealnie wyrzeźbionych ciał greckich bogów. Takim bogiem dla Elia staje się amerykański student. Kuszący nonszalancją, niedostępny, ale jednak będący wciąż w zasięgu wzroku i dłoni.


Kino

Doceniam intelektualną grę z widzem. Erudycyjne odniesienia do poezji, rzeźby, filmu (rozmowa o antyburżuazyjnym Buñuelu) zadowolą wykształconego widza. Porażający jest też finałowy monolog ojca. Ostatecznie jednak ten romans jest banalny. Jakże inny był genialny zeszłoroczny „Moonlight" Barry'ego Jenkinsa! „Tamte dni, tamte noce" nie są żadną prowokacyjną przypowieścią w duchu skandalisty Bertolucciego. To gejowski romans pod włoskim słońcem. Tym razem nie toskańskim.

„TAMTE DNI, TAMTE NOCE", REŻ. LUCA GUADAGNINO, DYSTR. UIP

Ale to już było!

DVD

Świat niszczony przez ocieplenie/oziębienie klimatu mieliśmy w „Pojutrze" czy „2012". Tsunami i trzęsienie ziemi niszczyło Amerykę w „San Andreas". We wszystkich tych filmach efekty specjalne zapierały dech w ustach, a wymyślna destrukcja miast przyprawiała o oczopląs. „Geostorm" nie oferuje nam pod tym kątem nic nowego. Nawet efekty specjalne nie są niczym przełomowym. Do tego głównym herosem ratującym świat jest eksploatowany w rolach twardzieli herosów Gerard Butler.



Role zostały tutaj od początku rozdane. Ludzie chcą kontrolować anomalie pogodowe za pomocą sieci satelitów rozmieszczonych w kosmosie. Pogoda się jednak buntuje i pokazuje siłę żywiołów. Dziury logiczne w tym filmie są oczywiście wielkości dziury ozonowej, co nie musi być w tym gatunku zarzutem. Gdy jednak łata się je kolejnymi kliszami, trudno o pozytywną ocenę całości. Można „Geostorm" obejrzeć i się nieźle bawić, ale niczego on do gatunku nie wniesie. Mnie znudził.

„GEOSTORM", REŻ. DEAN DEVLIN, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 3bfe60f465



GRZEGORZ GÓRNY



Fot. Evan El-Amin/Shutterstock.com

Rok niespokojnego Trumpa

Jego prezydenturę zapowiadano jak armagedon, kataklizm, który zniszczy Amerykę i spustoszy świat. Dlaczego nic takiego się nie stało?

Od czasu kiedy Donald Trump wprowadził się do Białego Domu, minął rok, a bilans jego rządów okazuje się zaskakująco pozytywny. W ciągu ostatnich 12 miesięcy gospodarka amerykańska przeżywa okres prawdziwej prosperity. Indeksy giełdowe poszybowały wysoko. Wzrost PKB wyniósł ponad 3 proc. Rosną płace, spada inflacja i bezrobocie. Za prezydentury Trumpa powstało prawie 2,5 mln miejsc pracy, z czego 250 tys. w sektorze produkcji.

Ekonomiści spodziewają się, że hossa potrwa dłużej, do czego może się przyczynić największa od czasów Reagana reforma podatkowa, która weszła w życie 1 stycznia. Upraszcza ona system fiskalny i znacznie zmniejsza obciążenia obywatela wobec państwa, np. obniża jednolitą stawkę podatku od osób prawnych z 35 do 21 proc. Wśród wielu zlikwidowanych danin znalazł się również podatek spadkowy dla osób mało i średnio zamożnych. Z wyliczeń wynika, że dzięki wprowadzonym zmianom najubożsi Amerykanie będą odprowadzać do budżetu 4 proc. mniej pieniędzy niż dotychczas.

Mowa, którą wygłosił Trump, podsumowując rok swej prezydentury, została przyjęta przez mieszkańców USA bardzo dobrze. Z badań przeprowadzonych przez stację CBS wynika, że 80 proc. Amerykanów, którzy widzieli jego wystąpienie, uznało, że stara się on zjednoczyć naród. Dwie trzecie czuło dumę, słuchając przemówienia.

Podczas pierwszego roku kadencji Trump zaskoczył większość komentatorów swym stanowiskiem zwłaszcza w dwóch kwestiach: stosunków z Rosją i zaangażowania w wojnę kulturową.

PRZYJACIEL CZY WRÓG PUTINA?

Jeszcze w czasie kampanii wiele mediów nieustannie powtarzało, że Donald Trump jest „najlepszym przyjacielem Władimira Putina". Przewidywano, że jego urzędowanie w Białym Domu będzie oznaczać zniesienie sankcji wobec Moskwy, sojusz z Kremlem i pozostawienie Ukrainy na pastwę groźnego sąsiada.

Minął rok, a stosunki między USA a Rosją są dziś najbardziej napięte od momentu zakończenia zimnej wojny. Amerykanie nie tylko nie znieśli sankcji, lecz jeszcze bardziej je zaostrzyli (ustawa podpisana przez Trumpa zo-

eprasa.pl 3bfe60f465

stała wcześniej przegłosowana w Izbie Reprezentantów stosunkiem głosów 419 do 3, a w Senacie 98 do 2). Rosja zaliczona została razem z Iranem i Koreą Północną do nowej „osi zła".

Podjęto decyzję o dostarczeniu Ukraińcom śmiercionośnej broni, w tym rakietowych pocisków przeciwczołgowych Javelin, które mogą zostać użyte w Donbasie. Jednym z celów swej polityki zagranicznej Biały Dom uczynił też niedopuszczenie do budowy rurociągu Nord Stream 2. Warszawska mowa Trumpa została odebrana w Moskwie niemal jak wypowiedzenie wojny.

Prezydent USA uważa, że jednym z największych zagrożeń dla Ameryki jest dziś program nuklearny Korei Północnej. W tym kontekście krytykuje jednak nie Chiny, lecz właśnie Rosję za to, że łamie ona sankcje wobec Pjongjangu i pomaga przetrwać reżimowi Kim Dzong Una najtrudniejszy czas. Trump ściera się też z Putinem w kwestiach Iranu i Syrii. Potrafi przy tym okazać zdecydowanie, np. wydając rozkaz ataku rakietowego na bazę lotniczą w Asz-Sza'irat.

W tle cały czas pojawiają się głosy przeciwników Trumpa, podważających prawomocność jego wyboru z powodu mieszania się Rosji w kampanię wyborczą w USA. Ich wymowa jest jasna: to Putin otworzył obecnemu prezydentowi drogę do Białego Domu. W tej kwestii Trump także przeszedł do ofensywy. Jego doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Herbert McMaster oświadczył, że priorytetowym zadaniem amerykańskich służb jest dziś walka z zakłócaniem przez Rosjan demokratycznych mechanizmów na Zachodzie. Przyznał, że Moskwa przez swe manipulacje i dezinformacje w internecie wpływała na przebieg kampanii wyborczych nie tylko w USA, lecz także we Francji i w Katalonii oraz referendum w Wielkiej Brytanii.

McMaster powiedział, że nie wierzy w zapewnienia rosyjskich władz, iż nie miały z tym nic wspólnego: „Ci sami ludzie oświadczali: nie, to nie my zestrzeliliśmy samolot pasażerski i zabiliśmy tych wszystkich ludzi; nie, naszych żołnierzy nie ma na Krymie ani na wschodzie Ukrainy; to nie my podtrzymujemy syryjski reżim odpowiedzialny za masowe mordy na własnych obywatelach z wykorzystaniem broni chemicznej. Dziś tym słowom nikt już nie wierzy".

OBROŃCA ŻYCIA

Jeszcze bardziej Trump zaskoczył wszystkich swym zaangażowaniem w ochronę życia. Kiedy ponad rok temu wygrywał wybory, wówczas założyciel i wydawca „Playboya" Hugh Heffner obwieścił, iż elekcja obyczajowego libertyna do Białego Domu dokonana głosami republikanów oznacza ostateczny pogrzeb rewolucji konserwatywnej w Stanach Zjednoczonych. A jednak po roku swych rządów Trump jest uważany za najbardziej nastawionego pro-life prezydenta we współczesnej historii USA. Na początku stycznia został nawet uhonorowany Nagrodą Malachi jako Człowiek Pro-Life Roku 2017 w Stanach Zjednoczonych.

Powodów, dla których zasłużył sobie na miano obrońcy życia nr 1 w USA, jest wiele. Już w pierwszych dniach swojego urzędowania podpisał dekret blokujący zagraniczną pomoc lub finansowanie z budżetu federalnego międzynarodowych organizacji pozarządowych, które promują na świecie aborcję. Wziął też na celownik największą z nich, czyli Planned Parenthood. Nie tylko odszedł od polityki Baracka Obamy, która zobowiązywała państwo do finansowania tej instytucji, lecz pod jego rządami Departament Sprawiedliwości wszczął nawet dochodzenie w sprawie nielegalnego handlu szczątkami nienarodzonych dzieci przez kliniki aborcyjne Planned Parenthood.

Trumpowi z powodu oporu Kongresu nie udało się znieść ustawy Obamacare, ale mimo to zdołał wprowadzić do niej klauzulę sumienia, czyli przepisy, zgodnie z którymi pracodawcy nie muszą już zapewniać ubezpieczonym kobietom bezpłatnych środków wczesnoporonnych, jeśli narusza to ich „przekonania religijne lub moralne". Udało mu się też przeforsować w Kongresie projekt zakazu tzw. aborcji przez częściowe urodzenie.

Trump konsekwentnie obsadza swą administrację ludźmi ze środowisk pro-life. Mianował do Sądu Najwyższego zdecydowanego zwolennika obrony życia – Neila Gorsucha. Podczas styczniowego Marszu dla Życia w Waszyngtonie jako pierwszy prezydent w historii wygłosił przemówienie do uczestników tego wydarzenia transmitowane na żywo przez telewizję. Powiedział wówczas: „Pod rządami mojej administracji zawsze będziemy bronić pierwszego prawa w Deklaracji Niepodległości, czyli prawa do życia". Zaraz potem ogłosił 22 stycznia Narodowym Dniem Świętości Życia Ludzkiego.

BIZNESMEN W POLITYCE

Warto przypomnieć, że kiedy w 2016 r. środowiska konserwatywnych republikanów zdecydowały się poprzeć Trumpa, a nie praktykujących chrześcijan w rodzaju Teda Cruza czy Marca Rubio, wywołało to powszechne zdziwienie. Dziś jednak przedstawiciele moralnej większości triumfują, pokazując, iż dokonali dobrego wyboru. Dlaczego to zrobili?

Być może odpowiedź tkwi w tym, że Trump nie jest politykiem, lecz biznesmenem. Politycy dużo obiecują, a mało z tego spełniają. Ich słowa nie mają większego znaczenia, co pokazała choćby prezydentura Obamy, który najpierw publicznie zagroził Asadowi bombardowaniami, jeśli ten użyje broni chemicznej, a kiedy do tego doszło, w żaden sposób nie zareagował. Okazał się przywódcą niesłownym i niedecyzyjnym.

Odwrotnie jest z Trumpem. W biznesie przez jedno niedotrzymane słowo można stracić zaufanie klientów i podkopać wiarygodność u partnerów, a tym samym zagrozić swej pozycji na rynku. Jeśli więc Trump obiecał konserwatystom, że będzie walczył o obronę życia, to dotrzymuje obietnicy. Tak jest też w innych sprawach – już dawno żaden prezydent tak konsekwentnie nie realizował swych zapowiedzi z kampanii.

Podobnie wygląda sprawa z Putinem, który przez lata mógł wodzić za nos Obamę. W biznesie optyka jest jednak inna. Tam oszukać można tylko raz. Dajesz partnerowi kredyt zaufania, ale wystarczy, że raz cię oszuka, a przestajesz z nim robić interesy. Jest dla ciebie przekreślony. I tego właśnie nie rozumieją Rosjanie, dla których Trump jest dziś wrogiem publicznym numer 1.

eprasa.pl 3bfe60f465

W drodze do globalnej wiochy

Tak jest, być Polakiem to żaden zaszczyt, wręcz wstyd i upokorzenie. Prawdziwy globalista jest obywatelem globalnej wioski, która Europą się zwie, a jak nosiciele idei zjednoczenia się postarają, cała nasza planeta będzie globalną wioską, a z polska „globalną wiochą". Na jej czele stać będą ponadnarodowi jednopłciowcy, wyróżniający się posiadaniem wszystkiego, co produkują Ziemianie w swojej siedmiomiliardowej masie, skoszarowani w betonowych folwarkach i pustynnych ziemiankach. Ale po kolei.



Najpierw muszą powstać Stany Zjednoczone Europy, jak sobie zażyczył pewien Europejczyk germańskiego pochodzenia, Martin Schulz, który powinien zostać prezydentem tych Stanów, bo mu się to należy z racji pochodzenia, wykształcenia oraz wychowania. Że nie ma matury? No i bardzo dobrze, bo gdyby ją zrobił, zostałby studentem poprawnego politycznie uniwersytetu w jakichś Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i stracił resztki szarych komórek, którymi się posługuje w marszu w poprzek historii.

Czy tak się zachowuje i wygląda klasyczny Europejczyk, za jakiego pragnie uchodzić europoseł Janusz Lewandowski? Wystarczy popatrzeć na te ludzkie egzemplarze wykuwające przyszłość kontynentu, a nawet planety... A zatem najpierw pogoni się narody do kupy, z której uklepane zostaną te „Stany" Schulza i paru innych politycznych straceńców, i zamiast szyldu obwieszczającego granice Polski albo na ten przykład Szwecji będzie stał drogowskaz informujący o odległości do stolicy, Brukseli i do traktatów rzymskich, od których się to zjednoczenie zaczęło.

No dobrze, gdy powstanie państwo europejskie, będzie potrzebny ogólnoeuropejski język wspólny dla wszystkich obywateli. Angielski jest bez szans, bo to język obowiązujący w Wielkiej Brytanii, ale ona wystąpiła z UE. Zatem francuski, bo prezydent Francji Macron jest zwolennikiem tych europejskich Stanów. Wreszcie Francuzi będą mogli się porozumieć z mieszkańcami innych byłych państw, jako że naród ten jest pozbawiony talentów językowych. Lepszy będzie język niemiecki, bo choć trudniejszy od angielskiego, to dalece łatwiejszy od francuskiego. Tak jest, nareszcie nasz zachodni sąsiad doczeka się czasów, w których zarówno wiersze poety Heinricha Heinego, jak i „Mein Kampf" Hitlera będzie można czytać w oryginale.

Gdy powstanie państwo europejskie, będzie potrzebny ogólnoeuropejski język wspólny dla wszystkich obywateli. Angielski jest bez szans

Ale wszyscy będą Europejczykami i wszyscy będą musieli mówić po niemiecku, dzięki czemu do programów szkolnych oraz uniwersyteckich zostaną wprowadzone przedmioty poświęcone tolerancji wobec wyznawców Koranu i nietolerancji wobec piewców miłości ojczyzny i wyznawców Biblii, oraz im podobnych wywrotowców. W każdym z tych 27 Stanów będą licznie reprezentowani przedstawiciele cywilizacji bliskowschodniej i afrykańskiej. W menu restauracji zjednoczonej Europy będą obowiązkowo podawane „stanowe" dania o nazwie Eintopf (gęste z rzadkim) i Sauerbraten (pieczeń wołowa wymoczona w occie), nie zabraknie też Zwiebelkuchen (ciasto przekładane cebulą), czyli pełen wachlarz niemieckich „przysmaków". Obok przysmaków muzułmańskich, ma się rozumieć. Zakazany będzie humor, zwłaszcza angielski jako niezrozumiały dla przodujących Europejczyków pochodzenia niemieckiego.

I w ten oto sposób mieszkańcy Europy staną się awangardą Nowego Porządku Świata zaprogramowanego przez ideologa „otwartego świata" George'a Sorosa. Tą awangardą miały być Stany Zjednoczone Ameryki, lecz nieoczekiwanie i podstępnie obywatele USA wybrali na prezydenta Donalda Trumpa, człowieka, który mówi to, co myśli, i robi to, co obiecał. Rzecz niesłychana nie tylko dla prominencji wielkich Niemiec, ale także dla Sorosa, w czego rezultacie musiał się skupić na Unii Europejskiej jako ostatniej desce ratunku w dziele zrównania człowieka z pralką automatyczną. Soros mimo podeszłego wieku i słabego zdrowia pojawił się na Światowym Forum Ekonomicznym w szwajcarskim Davos z rewelacją o tym, że Trump przestanie być prezydentem jeszcze w tym roku, bo demokraci wygrają wybory do Senatu. Biedny staruszek, wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. USA przetrwają Sorosa i jego zwolenników, a Stany Zjednoczone Europy nie powstaną i Róża Thun nie będzie gubernatorką stanu o nazwie PRL Bis. Co jej pozostanie? Plakietka z napisem „Jestem Europejką" przyklejoną do wybitnego czoła.

eprasa.pl 3bfe60f465

Tak zostało zapisane

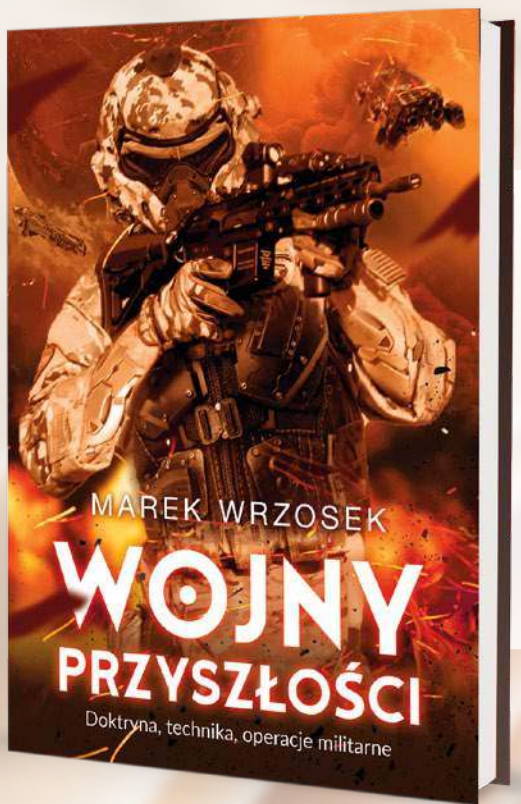
Czy Polak zamordowany przez hitlerowskich oprawców w Auschwitz jest mniej wart od Polaka żydowskiego pochodzenia zagazowanego w tym samym obozie? Czy Żyd francuski był mniej wart od francuskiego nie-Żyda i dlatego został przez swoich współobywateli bez oporów wepchnięty do bydlęcego wagonu i zawieziony na stracenie do obozu koncentracyjnego? Czy to, że te obozy były zakładane na terenie Polski, źle świadczy o humanizmie Polaków i czy wydawanie Żydów przez szmalowników jest bardziej godne pogardy niż zdradzieckie wydanie ich esesmanom przez innych Żydów, co niejednokrotnie się zdarzyło i co zatają żydowska lewica na Zachodzie i w Izraelu, żerująca ideologicznie na tragedii ofiar Holokaustu? Mnożą się pytania, na które zdemoralizowana prominencja polityczna świata zachodniego nie zamierza odpowiedzieć, bo to pokrzyżowałoby jej plany pozbawienia ludzi ich wolnej woli, czemu służy relatywizm moralny, straszliwa zaraza współczesnego świata.

Na każde z tych zadanych przeze mnie pytań słyszymy odpowiedź: „tak, ale", „nie, ale". I wszystko gra. Ale to już przestaje działać. Nadszedł czas prawdy, bez której nie przetrwamy. Popatrzmy na naszych młodych współobywateli, na ich bezradność w obliczu wyzwań, jakie niesie z sobą egzystencja w rozpędzonym świecie informacji i dezinformacji. Temu pokoleniu obiecano życie pełne beztroski i zabawy, sprowadzając psychikę do poziomu rozpieszczonych niemowlaków, odbierając dorosłość wraz z przynależną jej odpowiedzialnością za siebie, za bliskich, za społeczność, za państwo. Fejk i hejt stały się przewodnią siłą propagandy kłamstwa i wszelkiego zła, w czym celują wyznawcy skrajnej lewicy, nieprzebierający w słowach na internetowych forach.

Człowiek już nie brzmi dumnie, jest odrażającym indywiduum, na które można napluć, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności. Nie tylko moralnej, lecz także prawnej. Przez ten bluzg z trudem przedzierają się prawda, uczciwość i przyzwoitość. Z trudem, ale wreszcie dochodzą do głosu. Należy się cieszyć, że to dzieje się w mojej ojczyźnie, tak pogardzanej przez wieki, ale jednak nieugiętej. Prawda promieniuje z Polski na Europę i świat. Tak widocznie zostało zapisane.

Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL



WOJNY PRZYSZŁOŚCI. DOKTRYNA, TECHNIKA, OPERACJE MILITARNE
Marek Wrzosek

Rosjanie potrafili rozpraszać chmury nad Moskwą w czasie pochodów pierwszomajowych, Chińczycy skupiali chmury, by zapewnić wilgotność Pekinowi w czasie igrzysk. A kto jest w stanie stosować skutecznie broń klimatyczną na dużą skalę?

Roboty nie muszą przypominać transformersów, by stać się morderczą bronią. Małe roboty, przypominające granat, umiejące się toczyć po bezdrożach, zostały z sukcesem przetestowane w Afganistanie w krętych jaskiniach, wszędzie tam, gdzie trudno byłoby wysłać żywego żołnierza.

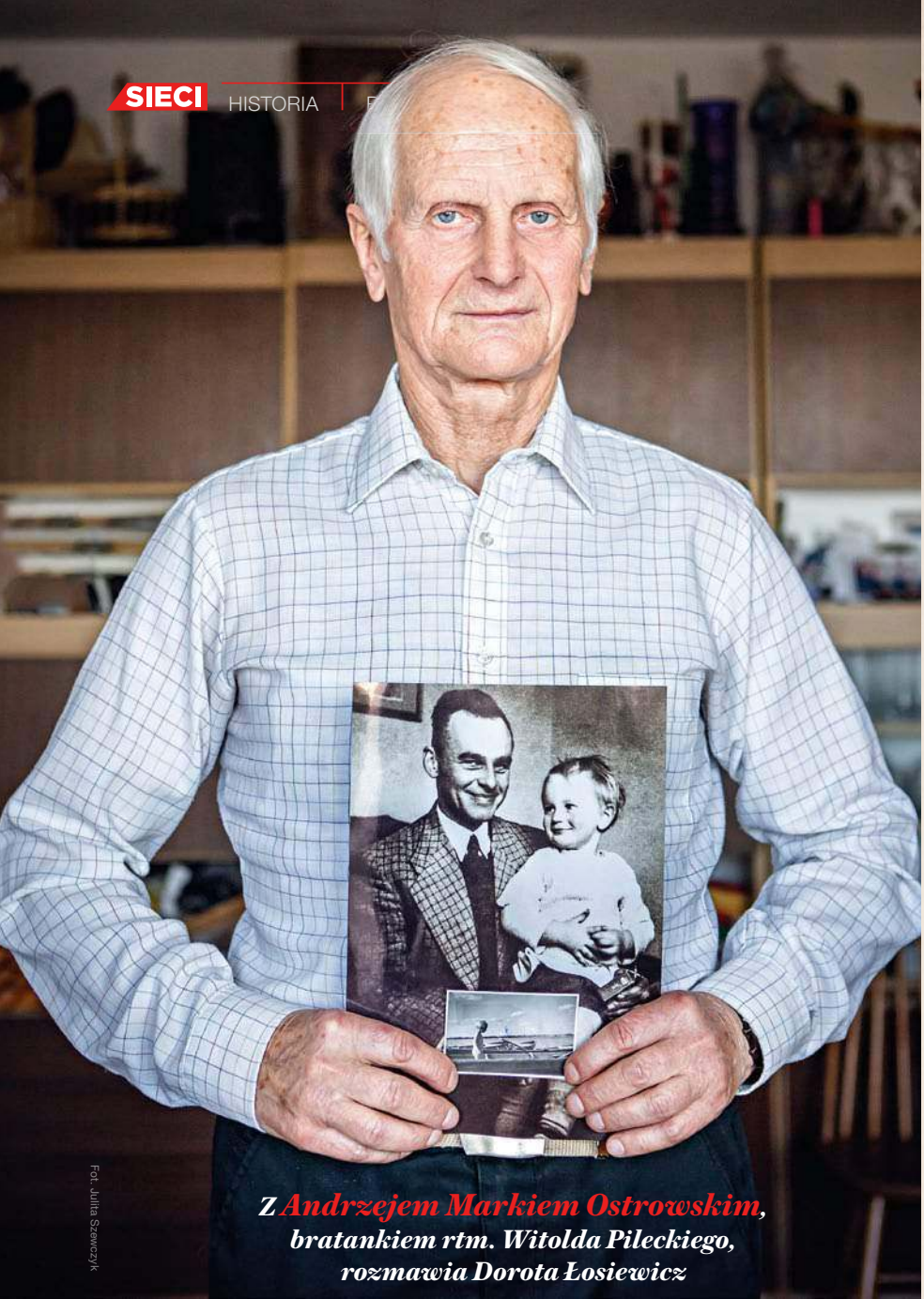
Płk Marek Wrzosek, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej, przedstawia nowy wymiar wojny – walkę informacyjną, operacje psychologiczne i wykorzystanie mediów w światowych zmaganiach. Medialne fikcje o wojnie hybrydowej na Ukrainie przeciwstawia militarnym faktom, oceniając poczynania Rosjan i strategię wojsk ukraińskich w walce z separatystami.

Autor zestawia klasyczne teorie: wojny morskiej, pancernej czy totalnej, z najnowszymi: koncepcją rozszerzonego pola bitwy, bitwy powietrzno-lądowej i morsko-powietrznej. W książce znajdziemy porównanie współczesnych strategii amerykańskich, operacji natowskich i rosyjskich.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Julita Szewczyk

Z Andrzejem Markiem Ostrowskim, bratankiem rtm. Witolda Pileckiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Mój wuj, Witold Pilecki

Ponieważ mój ojciec był więziony w oflagu w Woldenbergu, wuj mi go częściowo zastępował. To był wyjątkowy człowiek

Rotmistrz był pana wujem. Jego żona była siostrą pana taty. Przez jakiś czas Witold Pilecki mieszkał z wami. Jak do tego doszło?

Andrzej Ostrowski: Rotmistrz Witold Pilecki, wraz z przez siebie wyszkolonym ochotniczym Oddziałem Kawalerii tzw. Krakusów, brał udział w wojnie obronnej 1939 r. Ten oddział był przydzielony do 19. Dywizji Piechoty, która walczyła w okolicach Łowicza, Sochaczewa, Piotrkowa Trybunalskiego. 19. Dywizja Piechoty i jej zwiad kawaleryjski uległy rozbiciu 7 września pod Piotrkowem Trybunalskim. Część ocalałej dywizji zaczęła się przemieszczać lasami w kierunku Warszawy. Pod Falenicą 20 września zostali rozbici. W tym czasie Warszawa upadła, a oni dotarli w okolice Małkini i tam rtm. Pilecki rozstał się ze swoim bezpośrednim przełożonym, mjr. Włodarkiewiczem. Umówili się, że spotkają się, kiedy to tylko będzie możliwe, w Warszawie. Tak się złożyło, że jednym ze znanych wujowi warszawskich adresów był adres moich rodziców na Żoliborzu: al. Wojska Polskiego 40, mieszkania 7. Moi rodzice mieszkali tam od 1937 r. Ja urodziłem się w 1938 r., a wuj dotarł do nas w listopadzie 1939 r. Ukrywał się pod tym adresem do chwili, gdy trafił do Auschwitz.

Jak wyglądało wasze mieszkanie?

To były dwa pokoje, kuchnia, łazienka i pomieszczenie nazywane służbówką.

Gdy Pilecki do was dotarł, ojca już nie było?

Tak. Trafił do niewoli niemieckiej. Tata także brał udział we wrześniowej wojnie obronnej 1939 r. Był oficerem kawalerii w 5. Pułku Ułanów Zasławskich. Przydział mobilizacyjny miał w Ostrołęce. Jego szwadron brał udział w wypadzie na tereny Prus Wschodnich. Zostali stamtąd wyparci przez dywizję pancerną gen. Guderiana. Resztki pułku ojca, prowadząc walki opóźniające, dołączyły do wojsk gen. Kleeberga, by brać udział w ostatniej bitwie wojny obronnej pod Kockiem 6 października. Bitwa ta, ze względu na brak amunicji, zakończyła się kapitulacją oddziałów i niewolą niemiecką.

eprasa.pl 3bfe60f465

Z czasów, gdy Witold Pilecki mieszkał z wami na Żoliborzu, zachowało się zdjęcie, na którym trzyma pana na kolanach. Pamięta pan okoliczności wykonania tej fotografii?

To zdjęcie wykonano w sierpniu 1940 r., mam na nim dwa i pół roku. Chwili wykonania zdjęcia nie pamiętam, natomiast świetnie pamiętam wujka, choć minęło już tyle lat. Ponieważ mój ojciec był więziony w oflagu w Woldenbergu, wuj mi go częściowo zastępował. To był wyjątkowy człowiek, takich osób się nie zapomina.

Co szczególnie utkwiło panu w pamięci?

W tym czasie wszystkie okna musiały być zasłaniane czarnymi roletami ze względu na rygorystyczne zarządzenia niemieckie dotyczące zaciemnienia okien w mieszkaniach. Bałem się zasypiać sam w ciemnym pokoju. Dodatkowo moje obawy były podsycane bujną wyobraźnią, która podpowiadała mi, że zza dużej szafy stojącej przy moim łóżku wyłazi bezkształtna poczwara, którą nazywałem „Kakułą". O swoich lękach wolałem nie mówić mamie, więc zdradziłem swoją tajemnicę wujkowi, a on powiedział, że musimy znaleźć sposób na rozwiązanie tego problemu. Po kilku dniach przyniósł mi dziecięcą szabelkę, mówiąc, że mam z nią spać, i gdy znowu zobaczę „Kakułę", to mam ją ciąć tą szabelką z lewej i z prawej przez łeb. Od tej chwili szabelka zawsze mi towarzyszyła i po prostu przestałem się bać. Było to mistrzowskie rozwiązanie problemu wychowawczego.

A on się nie bał?

Jego odwaga była dobrze skalkulowana. Wuj nie był szaleńcem, był bardzo rozważny, konsekwentny, był świetnym obserwatorem i psychologiem. Potrafił postępować z ludźmi. Był bardzo lubiany i szanowany przez otoczenie. Mama była zachwycona jego patriotyczną postawą, konsekwencją w działaniu, umiejętnościami wojskowymi i konspiracyjnymi. Jedno z pierwszych spotkań konspiracyjnych odbyło się właśnie w naszym





mieszkaniu pod koniec 1939 r. Podczas tego spotkania (co wiem z opowiadań) doszło do powołania Tajnej Armii Polskiej. Wuj został osobą odpowiedzialną za wojskowe szkolenie młodych, a moja mama Eleonora została zaprzysiężona jako łączniczka TAP.

A miał pan okazję bawić się z wujem, tak zwyczajnie, jak bawią się chłopcy?

Oczywiście. Po ucieczce wuja z Auschwitz wiosną 1943 r. i dotarciu jesienią tego roku do Warszawy zamieszkał w naszym domu na czwartym piętrze w konspiracyjnej kawalerce. Zjawiał

> Jego odwaga była dobrze skalkulowana. Wuj nie był szaleńcem, był bardzo rozważny

się bezszelestnie, stawał w drzwiach kuchni, obserwował nas przez kilka minut. Dlatego mama nazywała go „zjawą", która nagle się pojawia i znika. Pamiętam, jak bawił się ze mną, ciągnąc mnie w dywaniku po podłodze, a ja się przewracałem. Bawiliśmy się czołgiem zabawką. Dobrze pamiętam też upalny czerwiec 1944 r. Chodziliśmy z wujem nad Wisłę. Tam, gdzie dziś jest klub Spójnia. Stały tam łódki pychowe, które bardzo mnie interesowały, mam nawet takie historyczne zdjęcie. Obserwowaliśmy wtedy ruch parostatków i innych jednostek na rzece. Wuj pokazywał mi różne ćwiczenia, np. przerzuty bokiem, salta. Był dobrze umięśniony i proporcjonalnie zbudowany. Bardzo imponował mi sprawnością fizyczną. Był dla mnie niedoścignionym wzorem. Moja dzisiejsza forma fizyczna jest w dużym stopniu wynikiem tamtej dawnej fascynacji wujem. Do dziś, gdy np. idę pod górę i łapie mnie zadyszka, kiedy chcę odpocząć, myślę: „Nie mogę, wuj szedłby dalej". A po tych wyprawach z wujem nad Wisłę wpakowałem się w niezłe tarapaty.

W tarapaty? Będąc przedszkolakiem?

[śmiech] No tak. Namówiłem mojego kolegę z przedszkola do wypadu nad Wisłę. Powiedziałem mu, że tam są łódki i można się kąpać. I podczas leżakowania wymknęliśmy się z przedszkola. Bocznymi ulicami dotarliśmy na Wisłę. Dobrze nam tam było. Niestety straciliśmy rachubę czasu, nie udało nam się wrócić na leżakowanie. Okazało się, że w sumie nie było nas pół dnia. Wyszła z tego prawdziwa afera. Siostry podniosły alarm. Bały się, że zostaliśmy porwani przez Niemców. Było wiadomo, że Rzesza potrzebuje blondynów. Wróciliśmy do przedszkola po kilku godzinach w sam środek awantury. Dostałem wtedy od mamy porządne lanie.

Pamięta pan, jak wuj trafił do Auschwitz?

Nie wiem, ile pamiętam, a ile wiem z opowiadań mamy. To było 19 września 1940 r. Wcześnie rano przybiegł zaprzysiężony w TAP Jan Kiliański – dozorca w naszej kamienicy. Powiedział, że Niemcy wygarniają mężczyzn z domów oficerskich na Żoliborzu. Otaczano cały kwartał i po kolei sprawdzano mieszkania. Pan Kiliański zaproponował wujowi

eprasa.pl 3bfe60f465



ukrycie się w kotłowni, ale on odmówił. Po kilkudziesięciu minutach dozorca przybiegł ponownie, mówiąc, że Niemcy zbliżają się do naszego domu, że to ostatnia okazja do ucieczki. Wuj ponownie odmówił. Po kilku minutach słychać było łomot do naszych drzwi. Mama otworzyła. Zapytano, czy są tu jacyś mężczyźni, wtedy wyszedł wuj i zapytał: „O co chodzi?". Zabrano go bez legitymowania, a żegnając się z mamą, szepnął jej: „Zamelduj, gdzie trzeba". Taki był zresztą plan wuja, by dostać się do Auschwitz. Nikt wtedy właściwie nie wiedział, co tam się tak naprawdę dzieje. Dowództwo TAP zdecydowało, że trzeba sprawdzić, jaki jest los wywożonych tam ludzi, i opracować wiarygodny raport, a wuj podjął się tej misji.

Pisał do mamy z Auschwitz?

Pisał, ale te listy się nie zachowały. Korespondencja była zaszyfrowana. Mama przekazywała ją do władz TAP, później AK. Jedna z pierwszych informacji brzmiała, że wuj ma możliwość „sadzenia drzewek". Chodziło o tworzenie tajnej wojskowej organizacji na terenie obozu.

Pańska mama pisała dzienniki, które zostały opublikowane. Czego pan się z nich dowiedział?

Dowiedziałem się, że mama pracowała jako inspektor w Izbie Rolniczej przy ul. Filtrowej. Tam też działała w zakonspirowanej Delegaturze Rządu na Kraj, w dziale zajmującym się rolnictwem i żywnością. Dzięki temu część żywności mogli w sposób tajny przekazywać Polakom w obozach jenieckich i rodzinom będącym w trudnej sytuacji. Z dzienników poznałem losy mamy po wybuchu powstania warszawskiego. 1 sierpnia poszedłem do przedszkola Sióstr Zmartwychwstanek przy ul. Krasińskiego. I jak każdego dnia miałem tam być do jej powrotu. Tamtego dnia jednak przed 14.00 usłyszeliśmy strzały. Siostry chyba wiedziały, że ma wybuchnąć powstanie. Myślały, że to już nastąpiło, i starszaki zostały wypuszczone do domów. Wróciłem do domu sam i czekałem na powrót mamy. Ona jednak nie wracała, szczęśliwie dla mnie tamtego dnia zjawiła się u nas kuzynka babci Maria Włoczewska, która mieszkała niedaleko i była łączniczką w TAP. Zobaczyła, że mamy nie ma, i zajęła się mną. Byliśmy razem przez całe powstanie do kapitulacji, przejściowy obóz w Pruszkowie i wywiezienie pod Jędrzejów do majątku ziemskiego w Łowini. Mama cudem nas odnalazła dopiero trzy miesiące po upadku powstania.

Z ojcem też udało się wam odnaleźć?

Tak, ale już po wojnie. Został cudem uratowany. W lutym 1945 r., po likwidacji obozu w Woldenbergu i po zimowym marszu śmierci aż pod Hamburg, pozostałych przewieziono pociągami do oflagu w Murnau (w górnej Bawarii), a tam spotkał się z rtm. Pileckim, który po kapitulacji powstania wraz z innymi oficerami początkowo trafił do obozu w Łambinowicach, a potem do oflagu w Murnau. W połowie kwietnia 1945 r. obóz w Murnau wizytował inspektor szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. W rozmowie z niemieckim komendantem zorientował się, że jeńcy mają być wkrótce likwidowani. W drodze powrotnej do Szwajcarii przekazał tę informację dowództwu 3. Armii US pod dowództwem gen. Pattona. Amerykanie zareagowali błyskawicznie. To był cud, że w ostatniej chwili jeńcy zostali uratowani od niechybnej śmierci. Ojciec wrócił do kraju w 1947 r. i odnalazł nas we wsi pod Sochaczewem.

Jak pan się dowiedział o śmierci wuja?

W więzieniu na Mokotowie przestano przyjmować paczki żywnościowe dla niego. Informację o śmierci przekazano rodzinie wiele lat później.

Ma pan żal do tych, którzy wydali na niego wyrok śmierci?

To jest nie tyle żal, ile nienawiść. Nie umiem wybaczyć tej sądowej zbrodni popełnionej na niekłamanym bohaterze naszego kraju. On całe swoje życie poświęcił na walkę o niepodległość Polski. Tę zbrodnię popełniono z premedytacją, uniemożliwiając do dziś odnalezienie szczątków wuja. To była azjatycka metoda niszczenia człowieka i całkowitego zatarcia pamięci o nim. Dziś się cieszę, że mój wuj wrócił na karty historii i stał się wzorem oraz autorytetem dla naszej młodzieży, czego najlepszym dowodem jest liczba ponad 40 szkół jego imienia.

eprasa.pl 3bfe60f465

Czas na nowe wyzwania

Rekordowe wyniki PKN Orlen to z pewnością powód do dumy dla spółki, ale także dowód na to, że dobrze skonstruowana strategia i jej konsekwentne realizowanie przynosi efekty. I tworzy dobry klimat do sięgania po nowe wyzwanie, jakim dziś dla Orlenu jest uczestnictwo w rynku elektromobilności

Koncern wypracował w ubiegłym roku najwyższy w historii wynik EBITDA LIFO – na poziomie 10,4 mld zł. Do sukcesu przyczyniły się wszystkie segmenty działalności, w tym nadzwyczajny wynik segmentu detalicznego (ponad 2 mld zł). W 2017 r. odnotowano także inne rekordy: największego przerobu ropy (33,2 mln ton) oraz najwyższej w historii spółki sprzedaży (42,4 mln ton).

– Osiągnięte już kolejny rok z rzędu rekordowe wyniki koncernu pokazują, że dzięki dobrze skonstruowanej i konsekwentnie realizowanej strategii, a także elastyczności w działaniach i trafnym decyzjom biznesowym w pełni wykorzystujemy nasz potencjał. Co istotne, nie zapominamy o ciągłym umacnianiu naszej pozycji konkurencyjnej. Inwestujemy w nowe aktywa produkcyjne oraz prowadzimy działania mające na celu efektywniejsze wykorzystywanie tych, którymi już dysponujemy. Przełom osiągnięty na Litwie oraz plan przejęcia pełnej kontroli nad Unipetrolem są tego najlepszym przykładem. Chcemy dalej integrować nasze aktywa, tak aby w pełni wykorzystywać możliwe synergie i być bardziej odporni na negatywny wpływ czynników makroekonomicznych – zapowiedział Wojciech Jasiński, prezes zarządu PKN Orlen.

KONSEKWENTNA REALIZACJA STRATEGII

Zeszły rok to czas, w którym zrealizowano inwestycje rozwojowe w zakresie petrochemii na terenie Polski oraz Czech. Koncern zadbał o umocnienie swojej pozycji w obszarze energetyki poprzez uruchomienie bloku parowo-gazowego we Włocławku i realizując podobną inwestycję w Płocku. Zgodnie



Wojciech Jasiński, prezes zarządu PKN Orlen

Fot. Piotr Ratajski

z założeniami strategii dotyczącej segmentu wydobywczego spółka zwiększyła łączne zasoby gazu i ropy (2P).

Dostawy ropy naftowej na rok 2018 zostały zabezpieczone poprzez współpracę z największymi światowymi producentami surowca. Jednocześnie koncern pozostaje otwarty na różne kierunki dostaw i korzystanie z pojawiających się okazji rynkowych.

– To, co powinno cieszyć nas szczególnie, to fakt, że udział w rekordowych wynikach koncernu mają wszystkie segmenty działalności. To pokazuje, że nawet w okresie pogorszenia warunków makroekonomicznych potrafimy doskonale wykorzystywać nasze przewagi. Ma to szczególne znaczenie na niezwykle dynamicznie zmieniającym się i konkurencyjnym rynku, na którym funkcjonujemy – ocenia Mirosław Kochalski, wiceprezes zarządu PKN Orlen.

Na liście zeszłorocznych osiągnięć znajdziemy też rekordowy rating od Moody's (na poziomie Baa2, z perspektywą stabilną). Swoim sukcesem koncern podzielił się z akcjonariuszami, wypłacając najwyższą dywidendę w historii, łącznej wysokości 1,3 mld zł, czyli 3 zł na akcję.

NA PODBÓJ NOWEGO RYNKU

Wypracowana przez spółkę stabilność finansowa daje poczucie bezpieczeństwa. Tworzy również dobry klimat, aby sięgać po kolejne wyzwania. Marka koncernu jest dobrze znana ekspertom – co przynosi liczne tytuły i nagrody. Wśród nich na uwagę zasługuje pozycja na globalnej liście Thomson Reuters Top 100 Energy Leaders wśród 100 wiodących firm energetycznych oraz 25 czołowych przedsiębiorstw z sektora oil & gas. To nie tylko zasłużone wyróżnienie, lecz również sygnał, że w tych sektorach firma osiągnęła już wiele. A to znaczy, że czas na podbój nowego rynku.

W Polsce rok 2018 będzie niewątpliwie rokiem ekotransportu. Ustawa o elektromobilności i paliwach alternatywnych czeka już tylko na podpis prezydenta. Według Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do 2025 r. po polskich drogach ma jeździć 1 mln pojazdów elektrycznych. Aby je obsłużyć, do końca 2020 r. zaplanowano utworzenie 6 tys. punktów ładowania energią elektryczną o normalnej mocy, 400 punktów ładowania energią elektryczną o dużej mocy i 70 punktów tankowania CNG. Mają być rozmieszczone w 32 aglomeracjach i na obszarach gęsto zaludnionych.

Rok 2018 jest również przełomowy dla projektu polskiego samochodu elektrycznego. ElectroMobility Poland uruchomiło pod koniec zeszłego roku postępowanie na wybór partnera biznesowego, z którym rozpocznie produkcję elektrycznego auta. W 2018 r. powstaną dokumentacja techniczna i pierwsze wersje prototypów. Wiosną 2019 r. spółka ma dysponować jeżdżącymi prototypami osobowych samochodów elektrycznych.

– Uruchomimy produkcję z tym, który zaprezentuje najlepszą koncepcję biznesową i największe umiejętności techniczne. Proces prac nad prototypem jest wieloetapowy, bo idziemy w stronę produktu, który potem da się wyprodukować w dużej liczbie egzemplarzy. Prototypy są doskonalone z każdą kolejną sztuką, aż dochodzimy do egzemplarza, który jest na tyle dojrzały, że możemy myśleć o jego produkcji – mówi Piotr Zaremba, dyrektor zarządzający ElectroMobility Poland.

INFRASTRUKTURA ŁADOWANIA WARUNKIEM ROZWOJU

Na polskich drogach przybywa pojazdów napędzanych elektrycznie, a kiedy produkcja naszych samochodów elektrycznych ruszy pełną parą, będzie za późno na planowanie infrastruktury.

– Wiele wskazuje na to, że jesteśmy u progu okresu dynamicznego rozwoju rynku elektromobilności. Infrastruktura ładowania jest warunkiem wzrostu liczby pojazdów elektrycznych. Myśląc o zapotrzebowaniu na punkty ładowania, powinniśmy wybiegać w przyszłość, a nie koncentrować się na obecnej sytuacji – podkreśla Sebastian Kawczyński, członek zarządu Polskiego Stowarzyszenia Elektromobilności.

Kto więc jest dziś gotów wejść w ten projekt i już za chwilę umożliwić samochodom elektrycznym pokonywanie długich kilometrów polskich dróg? Swoją gotowość do współpracy deklaruje też Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad.

– Chociaż zapewnienie punktów ładowania nie należy do naszych kompetencji, nasza infrastruktura jest przygotowana do szybkiej instalacji tej funkcjonalności. Dysponujemy gęstą siecią Miejsc Obsługi Podróżnych wzdłuż autostrad i dróg ekspresowych. Systematycznie prowadzimy kolejne przetargi na dzierżawę MOP. Aktualne warunki przetargowe uwzględniają zmianę sytuacji rynkowej, w szczególności w sektorze sprzedaży paliw – informuje rzecznik GDDKiA Jan Krynicki.

SZYBKA ODPOWIEDŹ ORLENU

Nie czekając na pierwszy milion elektrycznych samochodów, koncern rozpoczyna pilotażowy projekt instalowania szybkich ładowarek na swoich stacjach paliw. Właśnie ogłoszono postępowanie zakupowe (tzw. RFP – request for proposal) na 23 ładowarki o mocy 50 kW i 100 kW. Jeszcze w tym roku kierowcy będą mieli możliwość naładowania aut elektrycznych na wybranych stacjach zlokalizowanych przy trasach tranzytowych w Polsce.

– Inwestycja w elektromobilność w Polsce, wpisująca się w strategiczne plany rozwojowe naszej gospodarki, pozwoli nam znacząco poszerzyć know-how zdobyte m.in. na zagranicznych rynkach. Będzie również ważnym bodźcem rozwojowym dla całego rynku paliw alternatywnych w naszym kraju. Chcemy, by w 2019 r. kierowcy korzystający z aut elektrycznych mogli przejechać przez całą Polskę głównymi szlakami komunikacyjnymi, korzystając z naszych punktów ładowania – mówi Wojciech Jasiński, prezes zarządu PKN Orlen.

Planowane punkty ładowania będą obsługiwać wszystkie typy pojazdów elektrycznych oferowane dziś na rynku europejskim. Stacja szybkiego ładowania o mocy 50 kW po stronie prądu stałego pozwala na naładowanie akumulatorów pojazdu elektrycznego z poziomu 20 proc. do 80 proc. pojemności w ciągu 20–30 minut.

Inwestycja będzie realizowana w latach 2018–2019, pierwsze punkty zostaną uruchomione jeszcze w tym roku. Oprócz lokalizacji tranzytowych ładowarki pojawią się pod siedzibami Orlenu w Płocku i w Warszawie.

Anna Raciniewska

1/0118/Fr

eprasa.pl 3bfe60f465



To się opłaca

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 3bfe60f465

Sposoby na wolną niedzielę



Sztaby prawników pracują nad tym, by wielkie sieci straciły na zakazie handlu w niedzielę jak najmniej. Sęk w tym, że nie wszystko da się obejść



EWA WESOŁOWSKA

Trudno powiedzieć, jak będzie wyglądał świat handlu po 11 marca, czyli po dniu, gdy wejdzie w życie ustawa ograniczająca handel w niedzielę. Które sklepy będą czynne, które zamknięte? Czy markety, chcąc zrekompensować sobie brak niedzielnych wpływów, wydłużą godziny pracy w pozostałe dni tygodnia? Czy będą płacić za nadgodziny? A może dowiemy się nagle, że stacja benzynowa, która do tej pory była tylko budką na terenie supermarketu, nagle powiększy się do kilku tysięcy metrów kwadratowych? Nie wiadomo nawet do końca, kiedy się zaczyna i kończy niedziela, bo obowiązujący Kodeks pracy nieco inaczej definiuje godzinowo ten dzień niż nowa ustawa.

Przypomnijmy, że podpisana w ubiegłym tygodniu przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawa zakłada, że od 11 marca tego roku sklepy będą czynne tylko dwie niedziele w miesiącu: pierwszą i ostatnią. W 2019 r. handlowa będzie wyłącznie jedna niedziela w miesiącu (ostatnia), a od 1 stycznia 2020 r. będzie obowiązywał zakaz handlu we wszystkie niedziele z wyjątkiem kilku przed świętami oraz w sezonie wyprzedaży. W sumie ma być ich siedem.

POSZUKIWANIE WYTRYCHÓW

Nowe przepisy jeszcze nie weszły w życie, ale przedsiębiorcy i prawnicy od miesięcy przygotowują scenariusze pozwalające im nie zamykać sklepów. W wielu przypadkach to się pewnie uda, bo ustawa zawiera ok. 30 tzw. wyłączeń. W niedzielę będą mogły handlować małe i średnie sklepy, pod warunkiem

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Zuzanna Kruschewska

że za ladą stanie ich właściciel. Otwarte będą też piekarnie, markety na stacjach paliw, na dworcach, apteki i hurtownie farmaceutyczne, placówki pocztowe, sklepy w strefach wolnocłowych, zakłady pogrzebowe, tzw. kioski, punkty handlowe przy szpitalach, domach kultury, hotelach.

Jeden z paliwowych gigantów już w lutym dokonał zmian w statucie, by móc sprzedawać na swoich stacjach benzynowych m.in. mięso, ryby i owoce morza, a także sprzęt AGD i RTV, odzież, obuwie, biżuterię czy perfumy.

„To prawda, że tych wyłączeń jest dużo, ale tak naprawdę nie chodziło nam o to, aby w niedzielę wszystko było pozamykane, bo ludzie muszą jakoś funkcjonować" – podkreślił Stanisław Szwed, wiceminister resortu rodziny pracy i polityki społecznej, podczas wywiadu dla telewizji wPolsce.pl. Zaznaczył jednak, że przedsiębiorcy, którzy będą naciągać rzeczywistość, mogą zostać ukarani grzywną nawet do 100 tys. zł. „Jeżeli market ma stoisko z wypiekiem pieczywa, to jeszcze nie jest argument, że może on handlować w niedzielę. Musi jeszcze dowieść, że bułki czy chleb stanowią jego podstawowy asortyment" – tłumaczy Szwed. „Sprawdzaniem tego zajmą się inspektorzy odpowiednich instytucji kontrolnych".

Narzędziem, które może być powszechnie wykorzystane do obchodzenia zakazu, jest internet. E-sklepów zakaz handlu w niedzielę bowiem nie dotyczy. Jedna z dużych sieci odzieżowych już testuje tzw. showroomy, w których będzie można przymierzać odzież czy buty, a operacji zakupu dokonywać smartfonem. Podobno ma nie być w nich ekspedientek, ma być tylko ochrona. Czy to będzie działać? Szczerze mówiąc, wątpię. Owszem, kilka tygodni temu Amazon otworzył w Seattle pierwszy bezobsługowy sklep spożywczy, ale system kamer i chipów rejestrujących ruch klientów oraz towarów w markecie jest bardzo kosztowny i – jak przyznaje sam Amazon – jeszcze niedoskonały.

Pojawiły się też pomysły, jak otworzyć centra handlowe. – Można w nich np. organizować koncerty i różne imprezy kulturalne, bo jedno z wyłączeń zakłada, że w niedzielę handlować będzie można „w placówkach handlowych organizowanych wyłącznie na potrzeby festynów, jarmarków i innych imprez okolicznościowych, tematycznych lub sportowo-rekreacyjnych, także gdy są one zlokalizowane w halach targowych" – podpowiada prawnik jednej z dużych warszawskich korporacji.

BRANŻOWE LAMENTY

Handlowcy niemal ze wszystkich organizacji branżowych ograniczenia w handlu krytykują. Twierdzą, że ustawa jest dziurawa, że wprowadza chaos na rynku, że niekonstytucyjna, że pociągnie za sobą spadek konsumpcji, zwolnienia ludzi, spowolnienie wzrostu PKB.

Z jednej strony rozumiem te branżowe lamenty, bo kupiec nie byłby kupcem, gdyby nie chciał sprzedać i zarobić jak najwięcej. Ale z drugiej strony, powiedzmy sobie szczerze, część argumentów przeciwników zakazu jest absurdalna. Bo dlaczego ma spaść sprzedaż, skoro rosną wynagrodzenia i apetyty konsumpcyjne Polaków? Ludzie nie zaczną kupować mniej jedzenia, ubrań czy butów tylko dlatego, że sklepy w niedzielę będą nieczynne. Po prostu pójdą po nie w sobotę lub w piątek. Nie będzie też zwolnień. Pracowników w handlu brakuje, markety wspomagają się sprzedawcami z Ukrainy, wiele z nich codziennie dowozi ludzi z odległych miejscowości. Jedna z dużych warszawskich sieci autobusami przywozi ekspedientki i kasjerki z okolic Płońska. Inna otworzyła biuro rekrutacyjne za naszą wschodnią granicą, inwestuje w hotel pracowniczy.

I jeszcze jednak sprawa: choć lobby handlowe woli o tym nie mówić, to niedzielne obroty należą do jednych z najniższych w tygodniu. Jak wyliczył Wojciech Kruszewski, prezes zarządu Lewiatan Holding, są one nawet dwa razy niższe niż np. w poniedziałek czy we wtorek. Z kolei z danych Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji, zrzeszającej największe zagraniczne sieci, wynika, że zamknięcie sklepów w niedzielę sprawi, że roczne obroty spadną o 10–15 proc. (obecnie wynoszą one ok. 325 mld zł). Tyle że spadną też koszty związane np. ze zużyciem energii (część oświetlenia się wyłącza), dodatkowym sprzątaniem, dostawami itp. Straty branży wcale nie muszą być znaczące.

WOLNY CZAS TO LUKSUS

Przyglądając się receptom na obejście zakazu handlu w niedzielę, widać wyraźnie, że branża jest przekonana, iż Polacy o niczym innym w ten dzień nie marzą, tylko o wyprawie na zakupy. Tymczasem to założenie jest błędne. Po pierwsze, jak wspomniałam wyżej, obroty sklepów dowodzą, że popularność marketów w niedzielę wcale nie jest wysoka (wyjątkiem są niedziele przed

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Andrzej Skwarczyński

Bożym Narodzeniem i Wielkanocą oraz sezonowe wyprzedaże). Poza tym coraz mniej Polaków zainteresowane jest spędzaniem wolnego czasu na zakupach. Owszem, było to popularne 20 czy 15 lat temu, gdy wielkie markety były nowością, ale dziś już nie są. Z ubiegłorocznych badań Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że większość z nas wolny czas spędza, relaksując się na powietrzu (przynajmniej raz w miesiącu deklaruje to 75 proc.), słuchając muzyki (68 proc.), spotykając się z rodziną i przyjaciółmi (60 proc.). Najpopularniejsze jest jednak oglądanie telewizji i słuchanie radia. Robi to codziennie 81 proc. respondentów. Badanie GUS obnażyło też jeszcze jeden ważny problem: aż 19 proc. mieszkańców Polski przyznało, że nie miało w ciągu powszedniego dnia czasu wolnego dla siebie, w tym 4 proc. stwierdziło, że czasu brakuje im nawet na konieczne zajęcia. Brak czasu wolnego deklarują przede wszystkim osoby w wieku 25–34 lata oraz 35–44 lata. Tylko w najstarszych grupach wiekowych zaobserwowano relatywnie wysokie odsetki osób mających nadmiar czasu wolnego.

Wniosek? Polacy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza podporządkowali swoje życie obowiązkom, głównie tym związanym z pracą. Ogromny udział w tym miały wielkie korporacje, które weszły do naszego kraju po 1990 r., propagujące pełną dyspozycyjność, dowodząc, że pracę należy przedkładać nad zdrowie, rodzinę, nawet religię. Wymagały mnóstwo, a płaciły kilkakrotnie mniej niż w swoich zachodnich spółkach. Polski młody biznes przejmował te wzorce (bo innych nie miał), upraszczając je i wypaczając po swojemu. To prawda, że gospodarka rozwijała się w miarę szybko, ale niewspółmiernie wysokim kosztem. W efekcie staliśmy się społeczeństwem, w którym czas wolny jest luksusem. Mogą z niego korzystać tak naprawdę albo starcy, albo bogaci. Im niżej się stoi w hierarchii zawodowo-materialnej, tym mniej ma się czasu na życie.

> Jedna z sieci odzieżowych już testuje tzw. showroomy, w których będzie można przymierzać odzież czy buty, a operacji zakupu dokonywać smartfonem

PARIASI XXI w.

Niestety znaczna część pracujących w handlu (ok. 1,2 mln) to właśnie tacy pariasi XXI w. Wielu pracuje za minimum płacowe, często na umowach cywilnoprawnych. To prawda, że w ciągu ostatniego roku największe sieci zafundowały swoim pracownikom podwyżki, umowy o pracę, pakiety socjalne, ale w dalszym ciągu kasjer po pół roku pracy może liczyć na 2,2–2,5 tys. zł brutto. A normy pracy są wyśrubowane. Ekspedientka z jednego z supermarketów na warszawskim Tarchominie (dojeżdża służbowym autobusem z Płońska) przyznała, że pracuje po 11 godzin dziennie, a do domu z drugiej zmiany wraca o 2.00 w nocy. Niedziela to dla niej luksus, do którego nie jest przyzwyczajona. – Zresztą jak będą te niedziele, to pewnie wydłużą nam czas pracy w tygodniu i będę na nogach 12 godzin – martwi się.

Wydłużenie czasu pracy planuje większość sieci. Nie zastanawiając się, że dla zatrudnionych ludzi to bardzo męczące, a zysk jest często mierny. Bo kto przyjdzie w sobotę o 22.00 do działu RTV/AGD po telewizor czy pralkę? Ekspedient i kasjer będą musieli jednak swoje wysiedzieć. Są przecież tani. Znacznie tańsi niż samoobsługowe kasy czy drogie systemu monitorujące.

Prezydent Andrzej Duda, podpisując ustawę o ograniczeniu handlu w niedzielę, powiedział przed kamerami, że nowe przepisy „przywracają wreszcie normalność". I być może za kilka lat faktycznie tak się stanie.

eprasa.pl 3bfe60f465





Przeczytaj wSIECI HISTORII

O roku ów! Można by powtórzyć za Mickiewiczem. Wkroczyliśmy bowiem właśnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – *pisze Łukasz Michalski*

Schyłkowe lata panowania Jana Kazimierza (1648–1668) nie należały do wesołych. Po odparciu Szwedów Rzeczpospolita była wyczerpana. W dodatku targały nią spory – *przypomina Dariusz Milewski*

W czarnym dla Europy 1941 r., gdy wojska Osi zwyciężały na frontach, Tobruk, który stawiał czoła niemiecko-włoskim atakom, urósł do rangi symbolu – *pisze Maria Radożycka-Paoletti*

W późnym średniowieczu polski dwór monarszy w sferze obyczajów i konsumpcji nie odbiegał od rezydencji władców w innych częściach Europy. Dotyczyło to również wina, które od czasów Jagiełły i Jadwigi coraz częściej gościło na królewskim stole – *tłumaczy Maciej Badowicz*

P oczątki Warszawy zwykle opisuje się w kontekście przywileju lokacji miasta na prawie chełmińskim wydanego pod koniec XIII stulecia dla kupców pochodzących z Torunia. Stwierdzenie to jednak jest nieścisłe – *pisze Michał Janik*

eprasa.pl 3bfe60f465

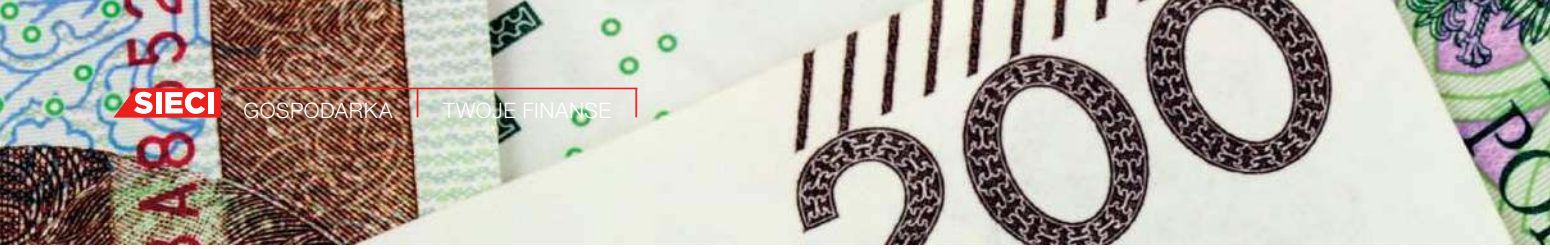


Firmy muszą mieć kapitał

Fot. Shutterstock | 3/1217/F



eprasa.pl 0fe6014



O rozwoju kraju decyduje wiele czynników. Jednym z najważniejszych jest stopień zaawansowania i bezpieczeństwa sektora finansowego. Dla gospodarki ma on bardzo duże znaczenie, ponieważ jest jej krwiobiegiem

Rynek finansowy to miejsce, w którym dochodzi do wymiany nie tylko pieniędzy, lecz również kapitału. Podmioty, które posiadają nadwyżki finansowe, poprzez różne instytucje finansowe przekazują je tym, którzy potrzebują funduszy niezbędnych do produkcji dóbr i usług. W ten sposób zwiększa się efektywność wykorzystania rozproszonych zasobów, a także następuje rozłożenie ryzyka gospodarowania na wielu uczestników rynku.

Od początku funkcjonowania giełd i banków centralnych ekonomiści zauważali, że sektor finansowy pełni istotną funkcję, jeśli chodzi o rozwój gospodarki. Kluczową rolę rynku finansowego w stymulowaniu wzrostu powszechnie zaakceptowano jednak dopiero w połowie lat 50. XX w. po publikacji Josepha Schumpetera „A theory of development". Ten wybitny austriacki ekonomista udowodnił, że najważniejsze dla rozwoju jest posiadanie zdrowego motoru wewnętrznego gospodarki – czyli silnego sektora finansowego, który zapewnia działającym i produkującym podmiotom dostęp do kapitału.

Sektor finansowy różni się znacznie w poszczególnych krajach. Różnice dotyczą m.in. dominujących instytucji finansowych, formy finansowania inicjatyw gospodarczych, instrumentów dopuszczonych do obrotu, poziomu rozwoju technologicznej infrastruktury.

Według analizy Banku Światowego przeprowadzonej kilka lat temu istnieje ścisły związek między wielkością, dostępnością i efektywnością funkcjonowania rynku finansowego a tempem wzrostu gospodarczego w danym kraju. Im większy stopień rozwoju rynku finansowego, tym większe szanse na wysokie tempo wzrostu gospodarczego – stwierdzili eksperci Banku Światowego.

MOBILIZACJA KAPITAŁU

Istnieją trzy podstawowe funkcje sektora finansowego, kluczowe z punktu widzenia gospodarki. Każda z nich jest równie ważna i każda z nich w równy sposób przyczynia się do rozwoju kraju.

Pierwsza polega na dostarczaniu informacji pomagającej w efektywnej alokacji kapitału (np. notowania akcji). Co prawda naukowcy coraz częściej zwracają uwagę, że rynki nie są w pełni efektywne, ale nie da się zaprzeczyć, iż jednak dzięki funkcjonowaniu sektora finansowego kapitał trafia przede wszystkim do podmiotów mających szanse na realizację ciekawych pomysłów biznesowych. A to pośrednio przyczynia się do rozwoju gospodarczego kraju.

Drugą funkcją, ściśle powiązaną z pierwszą, jest tzw. mobilizacja kapitału. Dzięki sektorowi finansowemu fundusze trafiają do podmiotów, które go nie posiadają, mają za to pomysł, siły wytwórcze, czyli jednym słowem: możliwości realizacji przedsięwzięć gospodarczych. Przeważnie wzrost zasobów kapitałowych w gospodarce przekłada się na wzrost produkcji i inwestycji, a tym samym pośrednio na tempo rozwoju gospodarczego.

Trzecią ważną funkcją sektora finansowego jest dostarczanie działającym podmiotom instrumentów pozwalających zmniejszać ryzyko strat. Nie chodzi tylko o znane od wieków ubezpieczenia, lecz także o liczne nowości (np. opcje, kontrakty). Istnienie takich narzędzi pozwala na finansowanie przedsięwzięć dość ryzykownych.

NAD SEKTOREM CZUWA BANK CENTRALNY

Jakie instytucje sektora finansowego są najważniejsze dla prawidłowego nasycenia gospodarki kapitałem i obiegu pieniądza? To przede wszystkim banki komercyjne, giełdy, fundusze inwestycyjne oraz bank centralny odpowiedzialny za stabilność finansową.

W Polsce bank centralny – Narodowy Bank Polski – stoi na straży polskiego systemu finansowego. Bank centralny ma nie tylko wyłączne prawo do emitowania prawnych środków płatniczych (złoty), lecz również wypełnia wraz z innymi instytucjami nadzoru (Komisja Nadzoru Finansowego, Bankowy Fundusz Gwarancyjny) funkcje nadzorcze wobec banków komercyjnych, instytucji finansowych i płatniczych. „Narodowy Bank Polski jest odpowiedzialny za stabilność i bezpieczeństwo całego systemu bankowego, pełni funkcję banku banków, ponadto nadzoruje systemy płatności w Polsce. Organizuje system rozliczeń pieniężnych, prowadzi bieżące rozrachunki międzybankowe i aktywnie uczestniczy w międzybankowym rynku pieniężnym" – czytamy na stronie internetowej NBP.

Wielką rolę Narodowy Bank Polski odegrał podczas ostatniego kryzysu finansowego. Gdy w 2008 r. pojawił się w sektorze bankowym kryzys zaufania (banki przestały sobie pożyczać pieniądze), polski bank centralny, kierowany wówczas przez prezesa Sławomira S. Skrzypka, ogłosił tzw. pakiet zaufania. W jego ramach NBP mógł dostarczać polskim bankom dodatkową płynność kapitałową na wiele sposobów, za pomocą różnych narzędzi finansowych. Dzięki temu





banki komercyjne mogły mieć dostęp do kapitału, przez co pieniądz wciąż krążył w gospodarce. To m.in. dzięki tamtej inicjatywie NBP Polska przeszła w miarę suchą stopą przez kryzys finansowy lat 2008–2009.

W okresie dynamicznego rozwoju gospodarki i technologii rola NBP rośnie. Na rynku pojawiają się nowe, nie zawsze bezpieczne instrumenty. Należy mieć do nich bardzo ostrożne podejście. Chodzi tu np. o tzw. waluty wirtualne oraz ICO (Initial Coin Offering), czyli metodę pozyskiwania kapitału w zamian za emitowane tzw. tokeny (wirtualne aktywa). W lipcu 2017 r. NBP wraz z Komisją Nadzoru Finansowego (KNF) opublikowały oświadczenie ostrzegające przed kryptowalutami. Wymieniono w nim najistotniejsze wady tego typu aktywów (wbrew obiegowej opinii mogą zostać ukradzione, inwestowanie w nie nie jest objęte gwarancją Bankowego Funduszu Gwarancyjnego itd.). Od końca 2017 r. NBP wraz z KNF prowadzi kampanię informacyjną ostrzegającą przed ryzykiem związanym z inwestowaniem w waluty wirtualne, takie jak Bitcoin, Litecoin czy Ethereum (strona www. Uwazajnakryptowaluty.pl).

BANKI KOMERCYJNE

Banki komercyjne są przede wszystkim pośrednikami między oszczędzającymi a kredytobiorcami. Zbierają pieniądze od tych, którzy chcą trzymać je na depozytach, a dzięki temu mogą udzielać kredytów m.in. potrzebującym ich do rozwoju przedsiębiorstwom. Oczywiście banki świadczą firmom również liczne usługi finansowe wykraczające poza depozyty i kredyty, głównie w zakresie przelewów oraz inwestowania.

W Polsce istnieje kilka rodzajów banków: detaliczne, inwestycyjne, hipoteczne, spółdzielcze. Te największe komercyjne, które obsługują firmy, to: PKO Bank Polski, Bank Pekao, Bank Zachodni WBK, mBank, ING Bank Śląski, Bank Millennium, Alior Bank, Bank Citi Handlowy, Idea Bank. Wszystkie są spółkami giełdowymi, nadzorowanymi przez KNF, a depozyty w nich zakładane są gwarantowane przez BFG. Wartość udzielonych przez banki kredytów dla przedsiębiorstw na koniec III kwartału 2017 r. wyniosła 367,3 mld zł i wzrosła przez 12 miesięcy o 6,5 proc. – wynika z danych KNF.

> Dzięki sektorowi finansowemu fundusze trafiają do podmiotów, które nie posiadają kapitału, mają za to pomysł, siły wytwórcze, czyli jednym słowem: możliwości realizacji przedsięwzięć gospodarczych

NIE TYLKO BANKI

Giełda Papierów Wartościowych to miejsce, w którym innowacyjne, ale już dość rozwinięte, przedsiębiorstwa poszukują kapitału na sfinansowanie swoich dalszych planów rozwojowych. Uzyskują środki dzięki emisji akcji obejmowanych przez dawców kapitału. Wejście na giełdę daje im także możliwość łatwiejszego pozyskania środków w przyszłości oraz zapewnia właścicielom łatwiejszą drogę do wyjścia ze spółki.

Nie każda spółka może zadebiutować na giełdzie. Warszawska Giełda Papierów Wartościowych nakłada na przyszłych emitentów kilka wymogów. Przede wszystkim firma idąca na parkiet musi się charakteryzować odpowiednią wielkością. Wartość rynkowa (kapitalizacja) spółki musi stanowić co najmniej równowartość w złotych 15 mln euro (dla mniejszych podmiotów dobrym pomysłem może być wejście na rynek równoległy NewConnect).

Spółka musi przejść przez proces dopuszczenia do obrotu publicznego, a także wyjaśnić, na co konkretnie chce pozyskać kapitał, oraz zaprezentować się inwestorom, zdradzając wiele szczegółów swojej działalności, m.in. dokładne wyniki finansowe i prognozy. Te informacje muszą się znaleźć w prospekcie emisyjnym zatwierdzanym przez Komisję Nadzoru Finansowego (KNF).

Pierwsze giełdy papierów wartościowych pojawiły się na ziemiach polskich już w XIX w. Giełda w obecnym kształcie istnieje od 1991 r. Od 2010 r. spółka GPW SA jest notowana na warszawskim parkiecie. Według stanu na dzień 30 stycznia br. na rynku głównym GPW było notowanych 370 spółek o wartości 1 456 mld zł, a na rynku równoległym NewConnect – 109 spółek o kapitalizacji 17,4 mld zł.

Najmłodsze i najbardziej innowacyjne firmy, tzw. start-upy, bardzo często nie mogą uzyskać finansowania w bankach (bo nie mają odpowiedniej historii). Trudno im też – z oczywistych względów – wejść na giełdę (rynek NewConnect także ma swoje wymogi). Mają one szansę na pozyskanie kapitału z funduszy venture capital i private equity.

Fundusze venture capital (VC) to podmioty, które inwestują pieniądze założycieli w młode i małe firmy w średnim oraz długim terminie. Zazwyczaj tego rodzaju fundusze dają raczkującym przedsiębiorstwom nie tylko kapitał, lecz także wsparcie menedżerskie w zakresie organizacji i zarządzania. Fundusze private equity (PE) działają na podobnej zasadzie co venture capital, ale inwestują zazwyczaj cudze pieniądze i raczej omijają start-upy znajdujące się dopiero na etapie pomysłu.

Paweł Sowiński



eprasa.pl 0ofe6014f5

Zaplanowany sukces

Kiedy Adam Małysz zapowiedział zakończenie kariery, w polskich skokach narciarskich nie było rozdzierania szat, bezradnego rozkładania rąk ani dramatycznego pytania: co dalej? To jedyna dyscyplina sportowa w Polsce, w której na kanwie sukcesu jednostki udało się stworzyć program pozwalający wyszkolić następców mistrza. I to jakich następców



Fot. Adrian Gladecki/REPORTER

To wręcz nieprawdopodobne, ale kilkanaście lat temu niemal w 100 proc. udało się zaprogramować wzlot tej dyscypliny, którego jesteśmy świadkami obecnie. Większość zawodników obecnej kadry Stefana Horngachera, z Kamilem Stochem na czele, która jedzie do Pjongczangu po złote medale igrzysk olimpijskich,



CEZARY KOWALSKI

uczestniczyła w programie Lotos Cup – Szukamy następców mistrza. Dzięki pieniądzom spółki skarbu państwa i rozsądnemu wsparciu Polskiego Związku Narciarskiego stworzono system rozwojowo-szkoleniowy realnie kreujący przyszłych czempionów. Aż się prosi, aby podobną ścieżką poszły inne dyscypliny sportu w Polsce.

eprasa.pl 3bfe60f465

Jeśli ktoś zaczął się interesować skokami narciarskimi jakąś dekadę temu, może odnieść wrażenie, że w tej dyscyplinie, która obok piłki nożnej uważana jest za naszą narodową, od zawsze byliśmy potęgą. Wielki mistrz Adam Małysz zbliżał się do końca kariery, ale cały czas słychać było, że za jego plecami czają się już młode wilki, które zamierzają pójść w jego ślady i mają ku temu możliwości. Dziś widać, że tak się właśnie stało, a Kamil Stoch – jeśli chodzi o osiągnięcia – przebił Małysza już dość dawno (ma na swoim koncie dwa złote medale olimpijskie i jest faworytem przed igrzyskami w Pjongczangu, podczas gdy Adam musiał się zadowalać „tylko" wicemistrzostwami).

Nie wszyscy pamiętają, że mimo wielkich sukcesów Małysza jeszcze na początku XXI w. polskie skoki przypominały zachwaszczone pole z jedną różą. Cały ciężar odpowiedzialności za nie spoczywał na barkach chłopaka z Wisły. Wystarczy spojrzeć na wyniki polskiej ekipy z tamtych lat. Na czele zawsze Małysz, a gdzieś pod koniec trzeciej dziesiątki Robert Mateja, Łukasz Kruczek... Jak jesteśmy słabi jako drużyna, okazywało się, kiedy dochodziło do tak popularnych dziś konkursów drużynowych. Do chwili gdy Małysz zakończył karierę, udawało nam się stanąć na podium jako drużyna ledwie cztery razy. Zwykle były to lokaty odległe, niezależnie od tego, jak skakał lider. Bo reszta ciągnęła nas w dół. Kibice w Polsce rozkochani w skokach zwyczajnie odpuszczali sobie ten rodzaj rywalizacji. Dziś jeden z dwóch kultowych konkursów w Zakopanem przerobiono na drużynowy. Koniunkturalnie, bo takie emocje wywołuje...

Można śmiało postawić tezę, że Małysz, który polskie skoki ciągnął przez lata, narodził się jako mistrz nie dzięki systemowi, ale na przekór wszelkim otaczającym go okolicznościom. Po prostu skala jego talentu była tak duża, że musiał się przebić. Później szlifowano tylko jeden diament, chuchając na niego i dmuchając (profesjonalni fizjoterapeuci, serwismeni, psycholog, szeroki sztab szkoleniowy itd.). Młodzi zawodnicy wpatrzeni w idola tak naprawdę pozostawieni byli sami sobie. Opowieść o tym, że jeden zniszczony kombinezon przypadał często na trzech zawodników, nie była żadną efektowną legendą, ale prawdziwym obrazem polskich skoków na pierwszych stopniach szkoleniowej piramidy. W klubach brakowało dosłownie wszystkiego.

Do przełomu doszło w 2005 r., kiedy do skoków włączył się potężny koncern paliwowy i rozpoczęto program Lotos Cup – Szukamy następców mistrza. Polski Związek Narciarski zyskał wreszcie strategicznego sponsora, ale – co ważne – pieniądze nie popłynęły jedynie na „dopieszczanie" niedoścignionego lidera ani doraźne spijanie śmietanki po jego kolejnych sukcesach. Wreszcie ktoś o skokach pomyślał długofalowo. Bo stało się jasne, że taki mistrz jak Małysz rodzi się raz na 100 lat i zamiast czekać, aż narodzi się kolejny, trzeba było po prostu zakasać rękawy i popracować systemowo. Wychować następców, wykreować, nie iść na skróty.

To pozwoliło wzmocnić podstawę piramidy, a kontrakt z Polskim Związkiem Narciarskim zaspokajał wszystkie potrzeby w tamtym czasie – od sportu dzieci i młodzieży po czołowych zawodników. Opłacano stypendia trenerskie dla najlepszych szkoleniowców programu, co też okazało się strzałem w dziesiątkę. Bo nie jest żadną tajemnicą, że gdy jakaś dyscyplina kuleje, to z reguły dlatego, że trenerzy młodzieży nie są odpowiednio wyszkoleni. W tej chwili w wielu przypadkach nie są to już jedynie pasjonaci – jak było za czasów wschodzącego Adama Małysza – ale ludzie, którzy traktują tę działalność zawodowo.

Stypendia dostają także osiągający najlepsze rezultaty juniorzy, co jest jakimś pomostem między sportem jeszcze amatorskim a już zawodowym seniorskim. I jednocześnie sygnałem dla tych sportowców: „Wierzymy w was, skupcie się na tym, nie szukajcie szczęścia gdzie indziej". Dawniej w trudnej sytuacji nikt za zawodnikiem nie stał, dlatego zostawali tylko nieliczni, niekoniecznie najlepsi czy najtwardsi, ale tacy, którzy zwyczajnie nie mieli innego pomysłu na życie.

W program zaangażowane są wszystkie liczące się kluby w Polsce z sekcjami skoków narciarskich i kombinacji norweskiej. Od 14 lat organizowane są zawody Lotos Cup na skoczniach z Zakopanem, Zagórzu, Wiśle i Szczyrku. Przewinęli się przez niego tacy zawodnicy jak Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Maciej Kot, Jakub Wolny, Aleksander Zniszczoł, Klemens Murańka. Wzruszający i bijący rekordy popularności filmik z YouTube'a, w którym 12-letni Kamil Stoch mówi o tym, że chce zostać mistrzem świata i wygrać igrzyska olimpijskie, został nagrany właśnie podczas jednej z imprez tego programu. Pomysłodawcy podkreślają, że oprócz wyników sportowych ważna jest edukacja objętej programem młodzieży. To swego rodzaju społeczna odpowiedzialność.

Grupa Lotos funduje sprzęt sportowy dla klubów, narty, kombinezony, kaski, buty, a także nagrody i stypendia dla najlepszych. Prezes PZN i były trener Adama Małysza Apoloniusz Tajner chwali się rozbudową infrastruktury i zaplecza dla skoków. Nie jest też tajemnicą, że nie byłoby możliwości zatrudniania tej klasy specjalistów z zagranicy jak Stefan Horngacher czy dr Harald Pernitsch w pierwszej reprezentacji, gdyby nie kontrakt Lotosu z PZN.

Sposób przygotowań do kolejnych konkursów Pucharu Świata czy igrzysk olimpijskich to efekt współpracy strategicznego sponsora, związku oraz Ministerstwa Sportu. Dziś trzymamy się wysokich standardów, dzięki którym należymy do absolutnej światowej czołówki. I co najważniejsze, nie ma w tym żadnego przypadku. To dzięki talentowi zawodników, ale też rozsądnie inwestowanym pieniądzom i skutecznym działaniom wokół skoków narciarskich przez ostatnie lata udaje nam się wyprzedzać takie potęgi jak Norwegia, Niemcy czy Austria. A przecież jeszcze kilka lat temu musieliśmy oglądać ich plecy.

Nie ma też wątpliwości, że w ciągu kilkunastu lat skoki stały się polską dyscypliną narodową, wręcz dobrem narodowym. Śledzenie konkursów skoków w telewizji podczas zimowych weekendów często łączy pokolenia, całe rodziny. A radość po coraz częstszych sukcesach naszych to doskonała okazja do patriotycznych uniesień. O skali zjawiska może świadczyć ostatni prestiżowy plebiscyt na najlepszego polskiego sportowca 2017 r. Choć wydawało się, że nic nie może się równać z popularnością piłki nożnej i uwielbieniem kibiców dla Roberta Lewandowskiego, to wygrał Kamil Stoch.

eprasa.pl 3bfe60f465

Wspieramy następców mistrza

Z Marcinem Jastrzębskim, prezesem zarządu Grupy Lotos SA, rozmawia Marcin Wikło

Wydawałoby się, że firma produkująca paliwo powinna dążyć do skojarzeń ze sportem motorowym. Skąd zatem skoki narciarskie?

Marcin Jastrzębski: Myśląc biznesowo, w tej dyscyplinie jest ogromny potencjał reklamowy, ale to niejedyny powód i niejedyna dyscyplina, która jest nam bliska. Nie ukrywam, że ważna jest także dobra współpraca z Polskim Związkiem Narciarskim, którego władze doskonale rozumieją naszą filozofię sponsoringu. A ona się zmieniła w ostatnich latach. Skupiliśmy się na kilku dyscyplinach i rezygnujemy ze wspierania np. klubów piłkarskich na rzecz reprezentacji oraz przede wszystkim sportu dzieci i młodzieży, żeby było kogo w przyszłości do tej kadry powoływać. Ten pomysł sprawdził się doskonale w przypadku skoczków narciarskich. Kiedyś mieliśmy tylko pojedyncze rodzynki jak Wojciech Fortuna, Piotr Fijas czy Adam Małysz, którzy dochodzili na sam szczyt, teraz święcimy tryumfy w drużynie, a nam jest niezmiernie miło, bo tylko jeden z zawodników szerokiej kadry nie jest absolwentem naszego programu „Szukamy następców mistrza".

Narodowy Program Rozwoju Skoków Narciarskich „Szukamy następców mistrza" został zainaugurowany w 2004 r., gdy Adam Małysz zachwycał cały świat swoimi skokami. Nie przespaliśmy ogromnego sukcesu, który ściągnął do tej dyscypliny spore grono młodych zawodników.

Zarówno Grupa Lotos, jak i PZN doskonale zrozumiały wtedy, że to jest właśnie ten moment, kiedy można na serio spopularyzować skoki narciarskie. Polacy zawsze oglądali turnieje, choć nie do końca jest wyjaśniony fenomen tej dyscypliny, w której kibice nie mogą naśladować swoich sportowych idoli. Może to i lepiej. [śmiech] Małyszomania spowodowała, że publiczność na skoczniach zaczęliśmy liczyć w dziesiątkach tysięcy, potem przyszedł i trwa czas Kamila Stocha, ale on już nie jest sam, ma solidne wsparcie kilku równorzędnych zawodników, którzy – kiedyś to było nie do pomyślenia – muszą rywalizować o miejsce w kadrze. Jestem dumny, że mamy w tym swój udział.



Zauważył pan, że skoki to taka dyscyplina, w której publiczność nie może brać czynnego udziału. Nie może być jak np. bieganie, dostępne dla każdego. Skąd więc ta miłość Polaków do skakania i to na nartach?

Mamy świadomość, że skoki nie będą z oczywistych względów sportem powszechnym. To nie jest dla każdego. Trzeba się urodzić w górach i być bardzo odważnym, co i tak nie gwarantuje sukcesu. A skąd popularność? Jest w tym pewnie element mityczny, latanie jako coś nieosiągalnego dla człowieka. A trzymając się bliżej ziemi, proszę zauważyć, że gdy skakał Adam Małysz, to w sporcie mieliśmy sporą posuchę. Mieliśmy jego jednego, który regularnie znajdował się na najwyższym stopniu podium. Polacy nie różnią się w tym chyba od innych narodów – jesteśmy głodni sukcesów i utożsamiamy się z tymi, którzy zwyciężają.

Na turniejach Lotos Cup obserwuje pan dzieci, które skaczą na małych skoczniach, choć dla nich ta góra pewnie jest ogromna. Skąd w niech taka odwaga?

Rzeczywiście, ale większość tych zawodników to są małe dzieci. Zaczynają skakać w momencie, kiedy nie wiedzą, co to jest odwaga, po prostu ją mają. Polski Związek Narciarski pracuje z nimi na co dzień i rozwija w nich z jednej strony świadomość konsekwencji, ale w ten sposób, by nie utracić odwagi, o której mówiliśmy. System działa, mamy coraz więcej kandydatów do kadry, czyli robią to umiejętnie, a my ich w tym wspieramy.

Był pan na szczycie dużej skoczni?

Byłem.

I jak wrażenia?

Nie skoczyłbym. Mimo że uwielbiam prędkość i jazdę na nartach alpejskich.

Teraz w sportach zimowych też nie jest dobrze, szans medalowych w Pjongczangu mamy niewiele. Ale chyba skoczkowie jadą po sukces?

Apetyt rośnie. Szczególnie po zwycięskim dla Kamila Stocha Turnieju Czterech Skoczni i medalu dla drużyny podczas mistrzostw świata w lotach nie wyobrażam sobie, byśmy wrócili z Korei bez medali.

43/0118/F



JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

GRUPA LOTOS – ZAŁOŻYCIEL NARODOWEGO PROGRAMU ROZWOJU SKOKÓW I BIEGÓW NARCIARSKICH

Szukamy
Następców
Mistrza

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 3bfe60f465

AGATA KONARSKA DZIENNIKARKA I PREZENTERKA

Bogactwo w ofercie



Moje smaki to przede wszystkim kuchnia śródziemnomorska. Towarzyszyła mi od małego. Wychowywałam się we Francji i nasiąknęłam tamtejszą atmosferą. Także kulinarną. Chętnie też wracam do potraw włoskich i greckich. Kuchnia południa Europy nie tylko najbardziej mi odpowiada, lecz i służy mojemu organizmowi. Różnego rodzaju sałatki, owoce morza... Chociaż i makaronów czy pizzy od czasu do czasu sobie nie odmawiam. Smakują mi zarówno najprostsze dania, jak i bardziej wysublimowane.

Nie zamykam się na inne kulinarne propozycje. Już jako podróżująca dziennikarka zakochałam się w Azji i tamtejszej kuchni. W różnych krajach, które miałam przyjemność i szczęście odwiedzać, próbowałam wielu wspaniałych dań. Cztery lata temu oczarował mnie, również kulinarnie, Wietnam.

Do tradycyjnej polskiej kuchni umiejętnie przekonywała mnie zwłaszcza babcia (obie z mamą fantastycznie gotowały). Każde święta spędzaliśmy w Polsce i nie wyobrażam sobie innych potraw w tym czasie niż tradycyjne. W ostatnich latach zauważyłam, że nasza kuchnia robi się coraz ciekawsza. Znacznie ją odtłuściliśmy, zachowując to, co w niej oryginalne. Znajomi z zagranicy, których zabieram do polskich restauracji, są zaskoczeni, ile fantastycznych i nowych dla siebie smaków mogą odkryć.

Nie do końca rozumiem ten fenomen, bo przecież są np. włoskie ravioli, ale nasze pierogi zawsze okazują się hitem. Pozytywnie zaskakują też dania z kaszą, jej różnymi odmianami i kulinarnymi odsłonami. Gęsina także bardzo smakuje. I kaczka po polsku... Mamy sporo do zaoferowania.

Jeśli chodzi o moje gotowanie, znacznie lepsza jestem w daniach kuchni śródziemnomorskiej. Zawsze przygotowuję sporo przystawek, takie antipasti (sałatki, np. ze świeżej mozzarelli, pomidorów i bazylii; carpaccio, bruschetty...). Oczywiście amatorzy na pastę zawsze się znajdą. I na owoce morza również.

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Krewetki w białym winie

(przepis ze strony Nietylkopasta.pl)

Przygotowanie: 15 min, **liczba porcji:** 2.

Składniki: 0,5 kg krewetek średniej wielkości, ok. 300 ml białego wytrawnego wina, 1–2 ząbki czosnku, 1 papryczka chili, 2 cm świeżego imbiru, 1 łyżka oliwy z oliwek, garstka świeżej pietruszki lub szczypioru.



Wykonanie: Zacznijcie od przygotowania krewetek. Należy przygotowywać je z ogonkami, ale obrane z pancerzy; jeśli nie zdejmiecie skorupek, niezwykle ciężko będzie je później jeść. Zatem kupcie te z pozostawionymi jedynie ogonkami lub obierzcie z pancerzyków przed przygotowaniem. Na oliwę wrzućcie pokrojony czosnek (w cieniutkie plasterki), posiekaną paryczkę chili wraz z pestkami oraz posiekany drobno imbir. Kiedy wszystko zacznie pachnieć, wrzućcie krewetki i wlejcie wino. Wino powinno być wytrawne lub półwytrawne o dość wyraźnym smaku. Gotujcie ok. 8 min bez przykrycia. Włóżcie krewetki do głębokich talerzy, posypcie posiekaną świeżą natką pietruszki lub szczypiorem (w obu wersjach są pyszne). Ja zawsze podaję z ciepłymi jeszcze bułeczkami lub bagietką oraz z masłem czosnkowym, którym można te bułeczki posmarować. Najlepiej krewetki zjada się palcami, a bagietka służy do maczania w pysznym sosie. Podając krewetki w białym winie, możecie serwować je z dodatkiem tego samego białego wina w kieliszkach. Będzie doskonale pasowało!

Fot. Piętka Mieszko/AKPA, Shutterstock

eprasa.pl 3bfe60f465



Fot. Shutterstock

SŁODKO-SŁONY

Zielona bajka

ANNA MONICKA

Staram się słuchać, co mówi do mnie moje ciało. I wyciągać wnioski. W ciąży miałam cukrzycę, nie mogłam więc sobie poszaleć. Ale i tak bym się nie obżerała – ciało domagało się bowiem fasolki szparagowej. Nie ogórków kwaszonych ani lodów, ale zielonej i żółtej fasolki. Dopiero później się dowiedziałam, że ma bardzo niski indeks glikemiczny, organizm „wiedział" to wcześniej. Cukier przestał skakać, a ja przytyłam niecałe 9 kg i po urodzeniu dziecka wskoczyłam w dawne ubrania, choć jadłam dużo. Tyle tylko, że fasolki oprószonej płatkami masła lub polanej masłem utartym z czosnkiem. Zabawne, że córcia od małego lubiła i fasolkę, i czosnek.

Wracając jednak do zachciewajek – ciało zapragnęło nagle zielonego groszku, co niechybnie oznacza dogorywanie zimy. Po pierwsze, nakazało mi natychmiastowe nabycie dobrej ziemi i wysianie groszku na listki. Kupiłam cukrowy, bo najsłodszy, odmiany bajka, bo podobała mi się nazwa (poza tym można w całości zjadać strączki). Nie wiem tylko, czy się na nie doczekam, bo już kiełki są pyszne. Można je ścinać po kilku lub kilkunastu dniach i dodawać do wszelkich sałatek.

Kolejny znak – napad euforii na widok mrożonki z zielonymi kulkami na opakowaniu. Plus hurtowe zakupy i przerabianie groszku na zupy, sałatki i surówki. Najlepsza polewka – najprostsza i najbardziej energetyczna – zblanszowane kulki miksujemy z bulionem warzywnym, odrobiną soli, cukru i soku z cytryny. Pośrodku robimy kleks śmietany lub gęstego jogurtu. Podajemy z grzankami (bułka posmarowana z jednej strony masłem, z drugiej natarta czosnkiem i zapieczona w piekarniku). Groszek jest bogaty w białko, więc z powodzeniem zastąpi mięso.

W sałatce z ziemniakami i cebulką, pomoczony wcześniej w delikatnej kwaśnej zalewie (np. z octu jabłkowego lub cydrowego) jest wybitnie smakowity i zachowuje soczysto zielony kolor. Sałatkę można podawać na cieniutkich plastrach słodkiego pieczonego buraka i pikantnej rukoli, oprószoną białym pieprzem.

Smarowidło z groszku wygląda jak guacamole, ale jest słodsze – do zblanszowanych kulek dodajemy orzechy nerkowca lub podprażone migdały, kolendrę, miętę (albo szczypiorek), sok z limonki, posiekane chili, zmiażdżony ząbek czosnku, sól i biały pieprz. Coś wiosennego na kanapce.

WINNICA MAZURKA

Lampka z dyktatorem

ROBERT MAZUREK

Plaże, kawa i ostatnio wysadzanie w powietrze. No może jeszcze ten ich prezydent – dyktator, zupełnie jak nasz Kaczyński. Z grubsza z tym ostatnio kojarzy się Turcja. Bo historycznie to wiemy, sułtan, harem, Sienkiewicz, Sobieski, takie klimaty. Ale że winnice?!

A tak, winnice, i to ile! Turcja jest wszak jednym z największych na świecie producentów winogron, ba, areał winnic stale rośnie. I wiecie co? Ledwie 3 proc. – tak, trzy procent – przeznaczają na wino! Z reszty robią rodzynki, soki albo sprzedają ot tak do światowych Lidlów i Biedronek. No przecież to się nie godzi, drodzy bracia Turcy, to grzech tak dary boskie marnować.

Pomyślmy przez chwilę: tysiące lat tradycji, co najmniej kilkaset (Turcy mówią, że nawet ponad tysiąc) starożytnych odmian winorośli, świetny klimat, znakomite gleby, góry i morze – przecież z tego byłyby wielkie wina! Niestety tu decyduje inny klimat – polityczny. I tak jak niespełna sto lat temu, za Atatürka, współczesne winiarstwo się rozpoczęło, tak za Erdoğana raczej boomu nie będzie. Bo islam i islamiści, sami państwo rozumieją.

Na razie więc tureckie winiarstwo raczkuje i ważniejsza jest ilość niż jakość. A nawet jeśli jakość, to rozumiana i staroświecko, i nowoświatowo – dużo beczki i alkoholu, smak wiejskiej dyskoteki, głośniki podkręcone na maksa. Czasem jednak, bądźmy sprawiedliwi, coś się udaje. Biała Bryza smakuje jak marketowe, chilijskie sauvignon blanc i jeśli to jest dla kogoś rekomendacja, to się nie zawiedzie. Mnie nie powala, ale razem z rybą da się przełknąć. Ciekawszy jest anatolijski kupaż dwóch tutejszych, niewymawialnych odmian czerwonych. Sporo truskawki i wiśni, ładnej taniny i bardzo, bardzo oszczędna beczka. Güney to jeden z potentatów, więc warto się przyjrzeć. Tak jak reszcie tureckich win, ale to już niestety tylko na miejscu.



Terra White Breeze 2015

Güney Boğazkere & Öküzgözü 2012

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 3bfe60f465

W świecie różowych kucyków

PIOTR SKWIECIŃSKI

To oczywiście prawda, że wszelkie Sorosy tego świata nienawidzą mediów społecznościowych dlatego, że są one przez nich niekontrolowalne. Że ich rozwój podważył informacyjny monopol elit. I pewnie głównie dlatego Soros zaatakował Facebooka jako medium mające zbyt wielką władzę.

Uff... napisałem, mam to z głowy.

A skoro już mam to z głowy, to powiedzmy, że to bynajmniej nie jest jedyny aspekt rzeczywistości.

Steven Pinker to wybitny amerykański psycholog i neurobiolog, profesor Uniwersytetu Harvarda. Liberał i z pochodzenia Żyd. Trzeba podkreślić ten aspekt sprawy, żeby uwidocznić, iż chodzi o krew z krwi amerykańskiej intelektualnej lewicy ze Wschodniego Wybrzeża. O człowieka znanego, a nie jakiegoś tam nołnejma. Nie tylko nie rednecka, jak te środowiska zwykły pogardliwie określać plebejskich białych Amerykanów z prowincji, lecz wręcz zaprzeczenie redneckości. I oczywiście żadnego tam prawicowca.

Otóż tenże intelektualny liberał w czasie jakiejś konferencji na Harvardzie miał krótkie wystąpienie na temat – właśnie – zjawiska Altrightu, czyli popierającej Trumpa nowej, alternatywnej prawicy. Wystąpienie nagrano. A nagranie wpuścił do sieci lewicowy magazyn „Spiked", co – ku osłupieniu profesora – spowodowało coś na kształt końca świata. Oczywiście końca świata trwającego 48 godzin i zaraz zapomnianego – takie to już są końce świata w tej naszej najlepszej z epok.



I Sorosowi trafia się czasem ziarno prawdy

Bo „Spiked" klip Pinkera zalinkował, w swoim opisie wybijając słowa profesora o „często wysoko wykształconych, wysoce inteligentnych ludziach ciążących do Altrightu", których określił jako „internetowo i medialnie kumatych". I w ten sposób ośmiominutowy filmik stał się tzw. zjawiskiem wiralnym, czyli rozprzestrzeniającym się z prędkością światła przebojem sieci.

Lewica wybuchła nienawiścią, a jej wrogowie – radością. Tytuł w neonazistowskim „Daily Stormerze" głosił „Żydowski profesor z Harvardu przyznaje że Altright ma we wszystkim rację". Radykalnie prawicowe, triumfalne tweety zyskiwały po kilkaset retweetów. Lewicowcy zaś pisali, że Pinker zdradził. Że po prostu stał się faszystą.

A wszystko to opierało się, jak łatwo się domyślić, na absurdalnym nieporozumieniu. Bo tak naprawdę Pinker oczywiście nie poparł amerykańskiej prawicy. Zgodził się tylko z tezą, iż wyeskalowana do absurdu przez lewicę poprawność polityczna napędza tej prawicy wykształconych i inteligentnych adeptów. Ludzi, których droga od światła ku ciemności zaczyna się od tego, że stwierdzają jakiś oczywisty fakt (na przykład, iż „Murzyni częściej popełniają przestępstwa") i wcale nie wyprowadzają z tego żadnego zbrodniczego wniosku (np. jakoby Murzyni byli dziedzicznie bardziej skłonni do zła), ale lewica mimo to już w tym momencie wdeptuje ich w ziemię jako faszystów. Przez to wdeptywani naprawdę przesuwają się na pozycje Altrightu, co – gdyby nie próbowano ich zwalczać – wielu z nich przez głowę by nie przeszło.

Tylko że nikomu ani z prawicy, ani z lewicy nie chciało się obejrzeć ośmiominutowego filmu przed zabraniem głosu na temat jego treści...

Tu przeskok. Dwa lata temu dwóch Amerykanów stworzyło portal, który nazwali RealTrueNews. A który miał być według ich planu tzw. beką z amerykańskiej prawicy. Pastiszem radykalnie prawicowego medium publikującego skończone bzdury. Ot tak, żeby nielubiący tego kierunku politycznego mogli się pośmiać.

Niestety, zrealizowali plan zbyt dobrze. W epicentrum kampanii prezydenckiej opublikowali rzekomy stenogram wykładu, jaki Hillary Clinton miała wygłosić dla kierownictwa któregoś z ważniejszych banków. Początek i koniec tekstu wyglądały normalnie. Ale w środku Hillary nagle zaczynała opowiadać o subkulturze dorosłych mężczyzn – fanów pewnego animowanego serialu dla dziewczynek o cudownym różowym kucyku, po czym bez większego związku z tym, co przedtem i co potem, wygłaszała zdanie, iż popierający jej konkurenta do nominacji Berniego Sandersa młodzi Amerykanie to „losers", czyli frajerzy, nieudacznicy.

Twórcy portalu uważali, że całość jest tak absurdalna, iż wszyscy zrozumieją, że jest to pastisz. Mylili się. Zdanie o loserach stało się wiralne. Amerykańska radykalna lewica zawyła: ta obrzydliwa Clinton tak nas traktuje?! Tak znieważa?!

Oczywiście wszystkie zainteresowane strony, włącznie z redakcją RealTrueNews, szybko zdementowały całą tę historię. Ale... doszła ona do świadomości milionów, a do jakiego procenta spośród nich dotarło, że to wszystko fikcja? Między innymi przez to wielu wyborców Sandersa nie poparło Hillary. I między innymi przez to przegrała wybory.

Tak, media społecznościowe osłabiają establishment. Ale przez to wcale nie stajemy się mądrzejsi.

Nawet Soros czasami miewa rację.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 3bfe60f465

LOKAL DLA AWANTURNYCH

„Wróżbitka" i Murzyn



Witold Gadowski

Kiedy dzieje się coś, co jawnie gwałci prawdę, poczucie zdrowego rozsądku i generalnie niszczy normalne zasady, zastanawiamy się, o co chodzi. Kiedy taka blaga, bezczelność i zastraszenie przybierają realne rozmiary, początkowo nie jesteśmy w stanie w to uwierzyć, a gdy już dociera do nas, że taki humbug staje się realnym zdarzeniem, odrętwiali spoglądamy na to z niedowierzaniem. Potem jednak następuje moment, w którym dłużej już nie możemy stać w odrętwieniu, musimy coś zrobić, zacząć jakoś wobec tej zaskakującej sytuacji się zachowywać. Co wtedy zrobić? Jak się zachować, aby nie stracić szacunku do samych siebie?

Pora zatem na wyjaśnienie, co to jest hucpa i jak wobec hucpy powinien się zachować porządny człowiek. Hucpa to słowo wieloznaczne, zwykle jednak znamionuje bezczelne łgarstwo, oszustwo, wprowadzenie kogoś w błąd dokonane dla osiągnięcia wymiernej korzyści.

Wiele lat temu przechodziłem przez przejście podziemne przy krakowskim Dworcu Głównym. Naraz widzę atletycznie zbudowanego Murzyna, który niemal roniąc łzy, szarpie się z wrzeszczącą Cyganką. Kobieta wykrzykuje: „Zboczeniec! Zboczeniec! Chce zgwałcić Cygankę!". Podchodzę i pytam atletę, o co chodzi, a ten wyjaśnia, że dał Cygance 10 banknotów studolarowych, bo potrzebowała ich, aby na nich powróżyć o jego losie. Teraz Cyganka chce odejść z jego banknotami, a on nie ma już innych pieniędzy. „Ona mi się nie podoba, ja chce tylko pieniędzy" – opowiada mi łamiącym się głosem. Znam tę Cygankę. Niewiele myśląc, podpowiadam więc cudzoziemcowi, tak aby usłyszała to też „wróżbitka": „Natychmiast strzel ją w twarz!". Twarz Murzyna tężeje, zaczyna się nad czymś zastanawiać... a dłoń ma wielką jak bochen chleba, spogląda badawczo na kobietę. Ona niespodziewanie milknie. Rwetes milknie. Po chwili Cyganka posłusznie oddaje pieniądze i odchodzi.

Proszę wybaczyć drastyczność tej opowieści, ale było to w prehistorycznych czasach, gdy poprawność polityczna nie złapała nas jeszcze tak mocno za pysk jak teraz.

Jak mogą się dziś zachować Polska, jej władze w obliczu brutalnej ingerencji w nasze wewnętrzne sprawy? Oczywiście należy poprawić ustawę o IPN, ale to nasz wewnętrzny problem. Na zewnątrz jednak musimy się zachowywać jak wolni i niepodlegli ludzie – bez kompleksów. Jeśli ktoś nas obraża, to zasłużył na taką ripostę, aby mu poszło w pięty i nigdy więcej nie próbował tego powtórzyć. Teraz jest czas, aby zachować się godnie i twardo. Nikt nie będzie nam dyktował, jak mamy urządzić mieszkanie i co mamy gotować w naszych garnkach. Bo – jak pisał Broniewski – „są w Ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli".

Kontrofensywa



Lech Makowiecki

Uprawianie polityki wstydu i lokajstwo w stosunku do zagranicy doprowadziły do wyjątkowego rozpasania wrogich nam międzynarodowych gremiów, realizujących swe polityczne, czy ekonomiczne interesy. Rząd PO-PSL zachowywał się na swym „żerowisku" (czyli Polsce) jak syndyk masy upadłościowej. O ile poniesione straty gospodarcze zaczynamy powoli odrabiać, o tyle naprawa niszczonego latami wizerunku Rzeczypospolitej wymaga pewnej finezji i doświadczenia marketingowo-medialnego.

Stwierdzenie, że „prawda sama się obroni" zupełnie nie obowiązuje we współczesnym informacyjnym tyglu. Ilość bezczelnych kłamstw, obrzydliwych fake newsów i uwiarygadniających je fałszywek skutecznie kreuje fatalny wizerunek naszego kraju w świecie. Świat przywykł już do „polskich obozów śmierci" (mimo że żyją jeszcze więźniowie niemieckich Konzentrationslager!) – bo przestał do niego docierać uczciwy przekaz.

PISF wspiera tylko zakłamane „Idy" i „Pokłosia". Współczesne kształcenie jest kierunkowe; wiedzę ogólną o świecie i historii czerpie się z medialnych wrzutek formowanych zwykle przez agresywne grupy interesów. Kara 3 lat więzienia za kłamstwo o obozach zagłady pozostanie martwym zapisem. Jedynym skutecznym antidotum może być tylko zmasowana kontrofensywa informacyjna skierowana do zachodnich społeczeństw. Atrakcyjna forma przekazu, sugestywne przesłanie (łączące zdrowy rozsądek z wrażliwością i przebojowością), czytelność komunikatu (kilka wersji językowych) i wykorzystanie wszystkich dostępnych kanałów przesyłania – to gwarantowany sukces. Zwłaszcza gdy powoła się sztab ludzi mających i wiedzę, i umiejętności w docieraniu do mas i zapoczątkuje ogólnokrajową „burzę mózgów" na promowanie Polski. Po pierwszych udanych prezentacjach należy liczyć się z blokadą naszej „mowy nienawiści" na Google, FB, YT. Czas uruchomić anglojęzyczny kanał telewizyjny i własne platformy internetowej komunikacji.

eprasa.pl 3bfe60f465

PRZEZ ŚWIETLIK

Himalaje cynizmu

No więc facet zostawił żonę bez środków do życia. Poza tym kiedyś brał heroinę. Do tej pory krytykowano heroinistów biorących, a tych, co wyszli z najbardziej morderczego z nałogów, chwalono, ale dla niego robimy wyjątek. Bo jeden narkotyk zastąpił drugim. Do tego się nie ubezpieczył. W dodatku tacy jak on sporo kosztują podatnika. Piloci śmigłowców przez nich ryzykują życie, a dzieciaki biorą zły przykład. Nie obliczył wszystkiego dobrze. I po co mu te góry? W sumie to samobójca. Wiedział, że zginie, tylko czemu zawracają nam nim głowę? Zamiast siedzieć przy biurku i pisać po cichu na fejsie w godzinach pracy, wysyłać tlita w korku albo w którejś z warszawskich redakcji popisywać się przed kolegami cynizmem i zdrowym rozsądkiem, poszedł po śmierć w góry.



Wszystkie podobne opinie czytałem w tych dniach, kiedy Tomasz Mackiewicz być może jeszcze umierał w lodowej szczelinie na zboczu Nanga Parbat. Niektóre z nich pisali nawet moi znajomi. Inne, zupełnie nieznajomi, jak marny portal Natemat.pl kpiący z tego, że Mackiewicz nie miał pieniędzy i używał lin rolniczych. A ja pomyślałem, że jednak dość daleko mi w tej chwili do jednych i drugich.

Pamiętam z mojego dzieciństwa Jerzego Kukuczkę. Faceta, który był w Polsce wprost nieprawdopodobnym bohaterem, słodząc ponure życie lat 80. Kiedy Kukuczka zdobywał Nanga Parbat, K2, Annapurnę, ja też je zdobywałem, bo byłem małym Jerzym Kukuczką, a górami były drzewa w ogrodzie moich rodziców. Kiedy Kukuczka zginął w 1989 r., opłakiwała go cała Polska. Nikt nawet nie musiał ogłaszać żałoby narodowej. Nie wiem, czy odezwał się publicznie choć jeden głos w stylu: „po co lazł w te góry?" albo „przecież to na nasz koszt". Trzy lata później może jeszcze bardziej Polska przeżyła śmierć Wandy Rutkiewicz, pierwszej kobiety na K2. A przecież polscy himalaiści – Kukuczka, Rutkiewicz, Wielicki – też chodzili nieubezpieczeni, też nie mieli sprzętu takiego jak ich zachodni koledzy, też nie mieli tabunów niosących ich sprzęt szerpów. Pewnie ci z Zachodu, następcy Reinholda Messnera, patrzyli na nich i stukali się w głowę, ale to Polacy później patrzyli na nich z góry.

Pod tym względem kiedyś było lepiej. Z większym szacunkiem podchodzono do ludzkiej śmierci

Ktoś powie: Kukuczka i tamci to byli zawodnicy innej klasy, lepiej przygotowani, z o niebo lepszymi osiągnięciami, jak w ogóle można to porównywać. A ja myślę, że można porównywać. Można porównywać przede wszystkim to, jak się mówi o śmierci, szczególnie w chwili, kiedy ktoś umrze lub właśnie umiera. I nie jest to ktoś pokroju Hitlera ani Kiszczaka, ale porządny człowiek, choćbyśmy się z nim gdzieś tam nie zgadzali. Sposób uprawiania himalaizmu i przygotowanie do wyprawy zapewne może budzić kontrowersje. Jak wszystko może budzić też krytykę. Sam mam problem ze zrozumieniem tych na poły samobójczych wypraw. I żeby było jasne, nie znam się na tym w ogóle – podobnie jak 99 proc. ludzi, którzy się na ten temat wypowiadają. Ale wiem, że można było się wstrzymać, choć kilka dni, choć póki nieco się wyjaśni. Tylko jak tu czekać, skoro tliterowe lajki, fejsbukowe komentarze nie zaczekają. Kto pierwszy, ten lepszy. Trzeba dowieść trzeźwości umysłu, twardości, bezkompromisowości zza klawiatury. Szczególnego rodzaju szczerości, tej samej zresztą, która cechuje najbardziej prymitywną grupę internetowych trolli. Też przecież piszących, co myślą. Tak samo jak zapewne szczere, akurat wyjątkowo, były pogardliwe esemesy wysyłane przez Janusza Palikota po katastrofie smoleńskiej.

Ludzie – w tym dziennikarze – uwielbiają mówić, że kiedyś było lepiej. Z reguły się nie zgadzam. Ale pod tym względem kiedyś było lepiej. Z większym szacunkiem podchodzono do ludzkiej śmierci. Może to po 10 kwietnia 2010 r. postanowiono ją obedrzeć z całego majestatu, by wygrać wybory, i się utrwaliło. Może i przyczyny są inne. Ale chyba stało się coś złego, bo ludzie, którzy nie szanują śmierci, nie szanują też życia.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 3bfe60f465

My wiemy



Aleksander Nalaskowski

Gdy piszę ten felieton, wszystkie media tętnią w rytmie cwałowym „żydowskim kryzysem" w Polsce. Tak się ostatnio u mnie porobiło, że zamknąłem się w pewnym hermetycznym zagadnieniu naukowym i bieżąca, codzienna codzienność jakby mnie omija.

Może właśnie dlatego docierają do mnie tylko najmocniejsze bodźce z mediów. Pierwszym jest słynna ustawka z „neonazistami". Brzmienie i czas emisji tego filmiku nakręconego „ukrytą kamerą" dają do myślenia. Zaraz po emisji tego materiału dowiadujemy się o decyzjach Donalda Trumpa w sprawie odszkodowań za mienie, a pod otoczką ogólności widać gołym okiem prawdę – chodzi o Polskę i roszczenia wobec niej. Zaraz potem wypływa, także z dużym opóźnieniem, kwestia IPN i „kneblowania ust" w sprawie Holokaustu. I w tej trzeciej sprawie mamy prawdziwą wojnę dyplomatyczną, ale i historyczną. No to mówię „sprawdzam". I sprawdzam tych graczy.

Ambasador Izraela w Polsce powiedziała w sobotnim przemówieniu w Auschwitz: „My wiemy, kto budował obozy koncentracyjne". Na wszelki wypadek nie powiedziała, kto je budował. Jasne, że kosmici. A Polakom trzeba rzucić ochłap zaprawiony niepewnością. My wiemy, a wy nie wiecie. Zaraz się dowiecie, że fizycznie na początku budowały infrastrukturę obozu firmy niemieckie, ale nierzadko zatrudniające polskich rzemieślników, niekiedy niewolników z podbitego kraju. Cóż, znowu ci Polacy... „My wiemy".

Jeśli wiecie, że to Niemcy tworzyli obozy, to dlaczego cały czas milczycie, gdy mówi się o „polskich obozach koncentracyjnych"? Pokażcie wasze sprostowania, udokumentowaną reakcję, rzeczywiste zainteresowanie prawdą historyczną. Ile razy stanęliście w obronie Polski? Co, „my wiemy, ale nie powiemy"?! Nie macie za „gross" prawdomówności? Naprawdę nie znacie języków? Nie wiecie, że „konzentration lager", „Auschwitz, Birkenau", „cyklon B", „sonderkommando", „endlosung", „holocaust" to nie są polskie słowa? Swoich oprawców, bez wątpienia w 100 proc. zwyrodnialców, traktujecie lepiej niż naród, od którego wymagacie w 100 proc. bohaterstwa i oddania życia za współbraci. A ilu mieliście w tym czasie własnych bohaterów? Tak wygląda równowaga? Naprawdę tak jest w waszym sklepie z moralnymi wagami? Jeden Stauffenberg jest wam bliższy niż ósemka Ulmów?

Co raz słyszymy świadków Holokaustu i polskiej podłości. Ofiary, które przeżyły w Polsce Holokaust. Sprawdzam i pytam – a jakim cudem przeżyły? Jak mogły przeżyć w Polsce donoszącej i grabiącej ich mienie?! Skąd ci ludzie mieli żywność, jakiś dach nad głową, leki? Tak po prostu sobie przeżyli? Prawie sześć lat? Obok esesmanów i reszty społeczeństwa? Nikt dla nich życiem nie ryzykował? Nikt nie dzielił się biedachlebem? A ocaleni nie opowiedzieli wam o bezprzykładnym i sadystycznym terrorze niemieckim w Polsce? O tym, że tutaj wojna wyglądała inaczej niż we Francji, w Czechach czy Anglii? I że bohaterstwo oraz poświęcenie Polaków ratujących Żydów należałoby pomnożyć przez 10? A może warto by podać liczbę Polaków zamordowanych przez Niemców za pomoc żydowskim mieszkańcom? Anna Poray-Wybranowska z USA szacuje ją na ok. 5 tys. osób. Gdzieś było więcej? Gdy tu trwał Holokaust, wasi bracia bawili się w kino w Hollywood. Nie pamiętam jakoś ich filmu o losie Żydów w Europie, nie pamiętam też szczególnie intensywnych protestów w waszej obronie amerykańskiej diaspory żydowskiej. Myśmy mieli Pileckiego, Karskiego...

A tak do pełni wizyt izraelskich dyplomatów w Polsce należałoby dodać wizyty w kazamatach na Rakowieckiej, na „Łączce". Podziękować za opiekę nad kirkutami, za odrestaurowane synagogi, których Niemcy nie wysadzili, za Polin.

Czy można przyjechać do kraju najliczniej reprezentowanego drzewkami w Instytucie Yad Vashem i w tak grubiański sposób popisywać się bezczelnością? Teraz „my wiemy", że można.

AUTOPROMOCJA



ROBERT MAZUREK

Ryby po żydowsku

Kolega pojechał do Monachium na aukcję kupować obraz. Ponieważ ten, który go interesował, miał być licytowany później, wyskoczył do bufetu. Zjadł, popił piwem i wkroczył. Rychło w czas, bo jego obraz miał już na liczniku prawie 20 tys. euro. Rzucił się szaleńczo do walki. „Do trzydziestki mogę" – pomyślał. I wygrał, 29 tys. Słyszy brawa. Trochę się zdziwił, bo kwota nie była taka znowu oszałamiająca, ale ukłonił się grzecznie.

Sorry, ale jak się chce z dużymi grać, to trzeba zagryźć zęby i grać jak oni

Fetowano go, bo rzadko ktoś kupuje obraz polskiego malarza za prawie 100 tys. euro. Konkretnie 92 tys., nie 29. Plus opłaty. Wszystko przez ten cholerny niemiecki, którym kolega nie włada. Te cwaj und najnziś to przecież dwa i dziewięć, prawda? Nie? No trudno, na biednego nie trafiło.

Morał: jak się chce z kimś konkurować, to warto zadbać o szczegóły. Kolega – jakby co, służę namiarami – mógłby służyć jako mentor polskiemu rządowi, który najwyraźniej jego przypadku nie znał i poszedł w bój z gołą d... Chcieliśmy pokazać Izraelowi i Ameryce, jak się uprawia politykę? Dostaliśmy po lekkim razie w nos i się popłakaliśmy.

No nie, tak się nie bawimy. Myśleliśmy, że jesteście kolegami, a tu proszę, maski opadły. Ameryka, niby przyjaciel, a tylko o forsę mu chodzi. Żydzi to w ogóle szkoda gadać, wiadoma sprawa. To komentarze – najbardziej cenzuralne – z Twittera. Na forach internetowych jest jeszcze fajniej, tam szambo wybiło na całego.

A przecież, drogie misie i spece od międzynarodowej strategii, czego się spodziewaliście? Że Żydzi będą dla nas mili, a Amerykanie o nasz interes się zatroszczą? Serio? A niby dlaczego? Nie jest to aby przypadkiem nasz obowiązek? Dlatego, mówiąc poważnie, nie boli mnie (choć czasem szlag trafia), że Żydzi, że Amerykanie, że Unia. Sorry, ale jak się chce z dużymi grać, to trzeba zagryźć zęby i grać jak oni.

A tak konkretnie, to może na początek spytam, gdzie była nasza ambasada w Izraelu i całe to MSZ? Nie wiedzieli, co się kroi? Nie rozmawiają z tamtejszymi dyplomatami, z urzędnikami średniego szczebla, z politykami, dziennikarzami, nie słyszą nic? No tak, ale kto miałby to robić, skoro stary ambasador już wrócił, a nowego nie ma. Kandydatka na panią ambasador, była prezes radia, skompromitowała się tak widowiskowo przed komisją sejmową, że nawet posłowie PiS na nią nie głosowali, a protokoły z przesłuchania krążą jak zeszyty z dowcipami. Czyli na MSZ liczyć nie można.

To przypomnijcie mnie może, kto miał się zajmować walką o dobre imię Polski za granicą? A prawda, Polska Fundacja Narodowa. 250 baniek – słownie napiszę: ćwierć miliarda złotych – przytulili! Pensje mają, na to wystarczyło. Na stronę internetową fundacji po angielsku już nie. Co robią w czasie największego od lat kryzysu dyplomatycznego? A panie, daj spokój, taki zapieprz, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. I nie mówcie mi proszę, że to ludzie zasłużeni, że pan prezes jest z Klubu „Gazety Polskiej" i miesięcznic, a pan Świrski, który – obawiam się – dał tej fundacji nie tylko twarz, lecz i nazwisko, to bardzo prawy człowiek. Bo skoro tacy szlachetni, to ordery im dać, ale od pieniędzy publicznych z daleka trzymać, bo nie umieją i tyle.

Nie było ich w Davos. OK, może oni nie do elit przemawiają, tylko do mas, może zrobili spektakularne akcje, wynajęli największe billboardy na Picadilly Circus czy Manhattanie? Też nie? Gdzie ich grupa od mediów społecznościowych, prawdziwy sztab szybkiego reagowania, który od tygodnia powinien zalewać ośmiomilionowy Izrael memami, reklamami, filmikami po polsku, angielsku i hebrajsku?

Nie ma tego wszystkiego? Aha, czyli nie mamy ambasady, nie mamy dyplomacji, nie mamy fundacji od walki o dobre imię, a rzucamy się na największe potęgi świata? Wiecie co? To idźcie wy sobie wszyscy na ryby. Tylko nie płaczcie później, że nie biorą, bo zapomnieliście wędek.

robert.mazurek@hotmail.com



Fot. Andrzej Wiktor

Drogi do polityki: Relacja z seansu



Jerzy Jachowicz

Oparł się mocniej na wygodnej kozetce. Zachęcony, by wrócić do samych początków, rozpoczął swą opowieść.

– Od najmłodszych lat chciałem zostać politykiem. Taką polską Margaret Thatcher. Pierwszy raz zobaczyłem ją jeszcze na czarno-białym telewizorze. Byłem wtedy w trzeciej klasie podstawówki. Po kilku dniach w zeszycie z matematyki miałem jej portret, też czarno-biały. Wycięty z gazety. Ukryłem go za okładką zeszytu. Gdybym wtedy wiedział... Ale nie wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość.

W szkole średniej uwierzyłem, że zdjęcie Margaret Thatcher – miałem już nowe, kolorowe – przynosi mi szczęście. Szczególnie w kontaktach z dziewczętami. Dlatego przełożyłem je do twardej folii i nosiłem cały czas przy sobie. W nauce jej fotografia również wyzwalała we mnie dodatkowe siły. Najbardziej gładko zawsze szła mi historia. Polska, zagraniczna, starożytna, średniowieczna. Bez różnicy. Z boku może to wyglądać na chwalenie się, ale wszystkie działy i epoki opanowywałem błyskawicznie oraz perfekcyjnie. A najbardziej nowoczesną. Bo nowoczesność zawsze była dla mnie wszystkim. Królową zaś matematyka. Na studiach dołączyła do niej ekonomia. Jakaż by inna, jeśli nie nowoczesna, która miała rozjaśniać mroki pozostałe po ekonomii politycznej socjalizmu?

Wówczas powstał mój plan. Ledwo kilka lat potem go zrealizowałem, zaczął mnie ścigać duch przeszłości. W moim planie było miejsce dla wielu kobiet. Mężczyźni – jak rodzynki w cieście. Niczym się niewyróżniający, nie licząc jednego kabotyna. Ze Szczecina. Za to kobiety zaczęły się zmieniać. Któregoś dnia wpadam do siedziby partii, a tam za stołem siedzi pełna agresji Margaret Thatcher. „Chcę być szefową" – piszczy. Po miesiącu już trzy miały twarz byłej premier Anglii. Każda chce być kimś ważnym.

Widać wyczerpała go ta opowieść, bo zapytał: – Czy możemy jutro kontynuować?

– Nie ma potrzeby się spieszyć – odparł terapeuta. – Spotkajmy się po wyborach na przewodniczącego partii. Będziemy mieli o wiele szerszy materiał do analizy.

CO MNIE WZRUSZA

Teatr Polski



Katarzyna Łaniewska

To mój pierwszy teatr, do którego zostałam zaangażowana po studiach w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej.

W 1955 r. wśród pięciu absolwentów PWST zostałam zaangażowana do Polskiego przez jego ówczesnego dyrektora i twórcę – Arnolda Szyfmana. Pan Szyfman to wielka instytucja teatralna, człowiek, który w 1913 r. stworzył teatr. Zbudował go i wyposażył w najnowocześniejszą jak na współczesne czasy technikę. Teatr mieszczący się w pięknym budynku zachwyca swoim wnętrzem, foyer, lożami i balkonem. Przede wszystkim zachwyca jednak wspaniale technicznie wyposażoną sceną i tajemniczą czerwoną kurtyną.

W czasie wojny i powstania warszawskiego teatr nie został całkowicie zburzony. Szyfman odbudował go po tzw. wyzwoleniu. Aktorzy, którzy grali w teatrze, byli profesorami w szkole teatralnej. Pełnili funkcje rektorów, dziekanów, wykładowców. Być ich kolegami w zawodzie to było wielkie i nieprawdopodobne wyróżnienie. Pan Szyfman był nowoczesnym człowiekiem teatru. Nie bał się powierzać młodym głównych ról. Teraz, z perspektywy lat, widzę, jakie miałam szczęście. Kiedy stawiałam pierwsze kroki wśród byłych profesorów, ich opieka trwała. Poznawałam wspaniałych reżyserów i grałam w różnorodnym repertuarze.

Dlaczego tym się dzielę z moimi czytelnikami? Od czasu do czasu dostaję zaproszenia do Polskiego na przedpremierowe przedstawienia. Wtedy zawsze wracają wspomnienia, co tu robiłam, co grałam. Jakie miałam szczęście być spełniona w swoim zawodzie. Wtedy teatr był najważniejszą i jedyną możliwością jego wykonywania.

Zawsze się cieszyłam na spotkania z Teatrem Polskim. Zmieniali się w nim aktorzy, dyrektorzy i repertuar. Czasami zaskakiwał mnie nie najlepszymi przedstawieniami. Została na szczęście ta sama lub taka sama kurtyna. I tutaj ostatnio się zawiodłam, kiedy zasiadłam na widowni. Nie ma aksamitnej kurtyny ze złotymi podświetlanymi frędzlami, która podnosząc się, uchyla rąbka tajemnicy spektaklu. Była kurtyna żelazna, ta, którą spuszczano po przedstawieniu, która zapobiegała pożarom. Żelazna kurtyna przypomniała mi zupełnie inne czasy. Zastanowiłam się, gdzie jestem. Na szczęście w tej żelaznej kurtynie była furtka.

PS O rozstaniu dyrektora Szyfmana z Teatrem Polskim opowiem w innym felietonie.

eprasa.pl 3bfe60f465

ZGODY I KOSY

Polska w cieniu hagady

Naiwność ludzka nie zna granic. Gdy Izrael rozpoczął propagandową ofensywę przeciwko Polsce, w warszawskich mediach powtarzano, że to tylko dyplomatyczny incydent, faux pas pani ambasador, którą należy wezwać na dywanik i wytłumaczyć jej, jaką gafę popełniła. W państwie żydowskim 200 armat grzmiało, kule dowożono wprost z Knesetu, lonty podpalał osobiście premier Beniamin Netanjahu, a komentatorzy polityczni nad Wisłą wciąż ubolewali nad niewyparzonym językiem Anny Azari. Dopiero gdy pani ambasador w akcie desperacji wyznała: „Ja mówiłam dlatego, że musiałam", dla każdego stało się jasne, iż antypolska retoryka jest nowym elementem polityki Izraela, a nie ekspresją zbłąkanej niewiasty.

Żydowska diagnoza brzmi: jesteśmy narodem ofiar, a winę za naszą traumę ponoszą wszystkie inne narody

Na tym etapie medialne ubolewanie ustąpiło miejsca zdziwieniu, rozczarowaniu i oburzeniu. No bo jakże to tak? My ratowaliśmy Żydów w czasie wojny, a oni mają nas za pomagierów Hitlera? Przez ostatnie lata zrobiliśmy wszystko, by umocnić sojusz polsko-izraelski, a oni niszczą ten alians w tydzień? Gdzie tu prawda historyczna, przyzwoitość, odpowiedzialność? Z całym szacunkiem dla autorów takich komentarzy, trzeba być naprawdę bardzo naiwnym człowiekiem, by oczekiwać od Izraela racjonalności w dziedzinie polityki historycznej.

Państwo żydowskie już dawno uczyniło z Holokaustu polityczną broń masowego rażenia. Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, realizowane przez Niemców podczas II wojny światowej, stało się ostatecznym argumentem we współczesnej polityce międzynarodowej. Dziś oburzamy się, że Izrael chce ingerować w nasze ustawodawstwo, ale przecież podobne naciski były i są kierowane także w stronę innych państw. Koronnym przykładem są Amerykanie, którzy w istotnych dla Żydów sprawach nawet nie próbują z nimi negocjować. Po prostu ślepo wykonują polecenia.

Trzeba mieć świadomość, że nasi starsi bracia w wierze postrzegają historię w sposób specyficzny. Najważniejsze wydarzenia w swoich dziejach otaczają mitem i przetwarzają literacko. Tak powstaje hagada – konstytuująca wspólnotę opowieść, w której historyczne niuanse nie mają większego znaczenia. Sens tej narracji po Holokauście sprowadza się do diagnozy: jesteśmy narodem ofiar, a winę za naszą traumę ponoszą wszystkie inne narody. Niemcy – czy raczej naziści – uruchomili jedynie machinę Zagłady, którą zbudowały przesiąknięte antysemityzmem społeczeństwa Europy. Aby opowieść była spójna i odpowiednio działała na wyobraźnię, może być w niej mowa o sprawiedliwych jednostkach, ale o sprawiedliwych narodach już nie. Jedne społeczeństwa mordowały, inne kolaborowały, jeszcze inne były bierne, ale wszystkie ponoszą odpowiedzialność za Holokaust.

Podczas wystąpienia na terenie Muzeum Auschwitz-Birkenau premier Mateusz Morawiecki pięknie mówił o zbiorowym wysiłku Polaków na rzecz ratowania Żydów. Jestem jednak pewien, że prędzej wyrośnie mu kaktus na dłoni niż drzewo dla Polski w Yad Vashem. A to z tego powodu, że takie drzewo zburzyłoby spójność żydowskiej opowieści. Z tego samego względu nie doczekamy się w najbliższych dekadach, a może i stuleciach, żydowskiej empatii dla Polaków mordowanych w niemieckich obozach koncentracyjnych, eksterminowanych w sowieckich łagrach, zabijanych ukraińskimi rękami na Wołyniu. Izrael będzie konsekwentnie bronił swojego monopolu na traumę, bo posiadanie takiej moralnej bomby atomowej pomaga mu realizować całkiem przyziemne interesy. Obawiam się, że przeciętni Izraelczycy jeszcze nie raz i nie dwa zadziwią nas na Twitterze ostatecznym argumentem: „Kiedy już mnie aresztujecie za mówienie o polskich obozach śmierci, to czy trafię do bloku w Auschwitz, gdzie zginęła moja babcia?".



Z podobnymi wypowiedziami nie ma sensu dyskutować. To efekt edukacji prowadzonej w Izraelu od pokoleń. Warto natomiast ukazywać światu wyjątkowość polskich dziejów, przekuwając bogactwo moralne w kapitał polityczny. Trzeba to robić równie konsekwentnie, jak od 70 lat czynią to Żydzi. Z tym że akurat my nie musimy się wspinać na literackie wyżyny hagady. Wystarczy nam prawda historyczna.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 3bfe60f465

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Etyka połowiczna

Prędzej czy później musiało do tego dojść. Nie da się budować prawdziwych relacji między narodami na zakłamaniu, na przemilczeniach i udawaniu.

Polityka historyczna PRL zdeterminowana podległością wobec ZSRR miała w tym zakłamaniu swój udział. Autorzy Wielkiej Encyklopedii PWN (12 tomów pisanych w latach 1957–1962) na czele z dyrektorem PWN prof. Adamem Brombergiem (komunistą żydowskiego pochodzenia), aby nie urazić Niemców z socjalistycznego NRD, opracowali hasło: „Obozy koncentracyjne hitlerowskie", w którym ani razu nie pada sformułowanie, że były to niemieckie obozy koncentracyjne. O Niemcach, jako o sprawcach, nie ma tam ani jednego słowa. Rzeczownik „Niemcy" zastąpiono określeniem „Trzecia Rzesza", a zamiast przymiotnika „niemieckie" używa się przymiotnika „hitlerowskie". W 1968 r., kiedy polscy komuniści starli się o władzę z komunistami pochodzenia żydowskiego, redakcja PWN opracowała nowe hasło: „obozy hitlerowskie". Wyrzuciła z niego określenie „koncentracyjne" i całość umieściła w tomie 11 encyklopedii oraz w suplemencie. Jak to wówczas mówiono, „uwzględniono postulaty krytyki społecznej i najnowszy stan badań naukowych", ale istoty hasła nie zmieniono. Nadal powtarzano, że były to obozy hitlerowskie, a nie niemieckie, choć podzielone teraz na: koncentracyjne, pracy przymusowej, przesiedleńcze i przejściowe oraz getta dla ludności żydowskiej. Ze względu na wrogość PRL do Izraela nie mógł jeszcze zaistnieć nowy, funkcjonujący już w zachodnim świecie termin „naziści", ukuty wspólnie przez Żydów i Niemców w 1960 r. podczas spotkania premiera Izraela Davida Ben Guriona z kanclerzem Niemiec Konradem Adenauerem w hotelu Waldorff Astoria w Nowym Jorku. Wówczas to Ben Gurion zadeklarował, że skoro „dzisiejsze Niemcy nie są Niemcami wczorajszymi", to w żydowskiej modlitwie za ofiary niemieckiego ludobójstwa w czasie II wojny światowej słowo „Niemcy" zostanie zastąpione słowem „naziści". Jakaś logika w tym była, wszak nie wszyscy Niemcy mordowali, a nazistów, czyli członków NSDAP, było tylko ponad 8,5 mln (co czwarty dorosły Niemiec).

W ten sposób zdjęto odpowiedzialność z narodu niemieckiego, obarczając winą nazistów. Deklaracja Ben Guriona była o tyle zrozumiała, że już od 1952 r., kiedy NRF i Izrael podpisały układ luksemburski, zaczęły z zachodnich Niemiec napływać na izraelskie konta pierwsze miliony niemieckich marek z tytułu odszkodowania za zbrodnie popełnione na Żydach – obywatelach III Rzeszy, jak i obywatelach tych państw Europy, które były okupowane przez hitlerowskie Niemcy. Jakie to były kwoty, wiedzą o tym najlepiej tylko księgowi z Niemiec i Izraela. Faktem jest, że były to miliardy DM, które zasiliły izraelską gospodarkę.



I tak hitlerowskie obozy koncentracyjne przemieniły się w nazistowskie, a dziś w polskie – i nie chodzi tu o ich rozmieszczenie na ziemiach polskich

Procesowi przemieniania się Niemców, hitlerowców w nazistów towarzyszyło nowe zjawisko. Polacy, wpierw niekwestionowana i najciężej doświadczona ofiara niemieckich zbrodni wojennych, stawali się świadkami, potem świadkami milczącymi i biernymi, następnie współsprawcami zbrodni, by w końcu stać się współwinnymi Holokaustu. I tak hitlerowskie obozy koncentracyjne przemieniły się w nazistowskie, a dziś w polskie – i oczywiście nie chodzi tu o ich rozmieszczenie na ziemiach polskich, gdyż większość obozów znajdowała się na terenie Niemiec i Austrii. W nowym zakłamanym nazewnictwie przodują niemieckie media. Co nie znaczy, że nie przytacza się tam prawdziwych opinii. „Die Zeit" cytował Karola Tenderę, więźnia obozu w Auschwitz, który zaskarżył niemiecką telewizję ZDF za sformułowanie „polskie obozy koncentracyjne". Karol Tendera mówił: „Wystarczająco często powtarzane błędy, przekręcenia i nieścisłości doprowadzą w końcu do tego, że historia może być kiedyś opowiadana zupełnie inaczej, mianowicie, że były to polskie obozy koncentracyjne, a odpowiedzialność za nie ponoszą Polacy". Niestety większość niemieckich mediów stoi dziś po stronie ambasador Anny Azari, rządu Izraela oraz Instytutu Yad Vashem, krytykując polską ustawę o odpowiedzialności karnej za fałszywe sformułowania typu „polskie obozy zagłady". Ustawa ma ponoć „nie służyć rzeczowemu wyjaśnieniu problemu". O ile Niemcom chodzi o zdjęcie z siebie odpowiedzialności za Holokaust czy też jej pomniejszenie, to o co może chodzić Żydom? Żeby to zrozumieć, trzeba zacytować Annę Azari: „W Izraelu ta nowelizacja jest traktowana jako możliwość kary dla świadectw ocalałych z Zagłady, [...] „niemożliwość powiedzenia prawdy o Zagładzie". Czy zatem państwo żydowskie rezerwuje tylko dla siebie prawo do własnej „narracji" o Holokauście? Jak pisał prof. Feliks Koneczny, etyka w cywilizacji żydowskiej jest połowiczna, inna jest dla swoich, inna w stosunku do obcych.

eprasa.pl 3bfe60f465

Nanga Parbat

DARIUSZ KARŁOWICZ

Na pierwszy rzut oka współczesny himalaizm niewiele różni się od innych sportów ekstremalnych. Mamy tu nadludzki wysiłek, imponującą technikę, odwagę, hart ducha i intrygujące osobowości, ale mamy również ogromne pieniądze, marketing, celebrytyzm, kolekcjonowanie rekordów – słowem: wielki biznes. No i mamy coś jeszcze: niewątpliwe ryzyko śmierci.

Śledząc dramatyczne wydarzenia na Nanga Parbat, z każdym kolejnym tekstem o Tomaszu Mackiewiczu coraz lepiej zdawałem sobie sprawę z tego, że jego historia i motywy przekraczają horyzont sportu – odsłaniając w himalaizmie to, co marketing i sekularyzm z niego wypłukał, a co czyni go sportem metaforą, symbolem spraw najważniejszych.

Mackiewicz nie należał do elity himalaistów zawodowców. W jego historii nie ma Korony Ziemi, znanych sponsorów, wielkich budżetów. Jak twierdzi życzliwy mu Wojciech Kurtyka, w środowisku bywał przedmiotem kpin jako dziwak, wariat, amator. A przecież to właśnie on, a nie profesjonalne maszyny do zdobywania ośmiotysięczników, uosabiał to, co sprawia, że himalaizm wydaje się nam czymś więcej niż kolejną postacią sportu ekstremalnego.

Na Nanga Parbat wchodził z samego dołu. Narkoman wychodzący na powierzchnię startuje przecież z dna Rowu Mariańskiego. Ukończona w Monarze terapia to był jego pierwszy ośmiotysięcznik. Potem była podróż do Indii i pół roku spędzone w ośrodku dla trędowatych Jeevodaya w Indiach u lekarki i misjonarki Heleny Pyz, gdzie pracował jako wolontariusz. Ośmiotysięcznik drugi.

Nie wydaje mi się przypadkiem, że tam właśnie zaczęła się jego droga na Nangę. I nie chodziło o rekordy. „Kiedy człowiek odbija się od dna, to chce osiągać szczyty. Tomek pokazał, że można wiele przezwyciężyć w sobie samym. Że nie musi nas obciążać zło, które było naszym udziałem. Że można podnieść się po upadku, a potem żyć pełnią życia. I te pasje Tomka są wyrazem tego, że chciał żyć pełnią życia" – mówi dr Pyz. Dwa słowa klucze: szczyt i pełnia życia.

Góra i dół to podstawowe kategorie naszej kultury. Z góry więcej widać, tam jesteśmy bliżej nieba. Mówimy „górować", „upadek", „mieć doła", „zajść wysoko", „niskie intencje", „wznieść się ponad to", „wywyższyć" – bo góra znaczy dobro, a dół zło, bo góra to wolność, duch, zwycięstwo, dół zaś to niewola i materia. Tak myślimy.

Himalaizm łączy się z ogromnym ryzykiem. O Evereście mówi się, że jest najwyższym grobowcem świata. Podziw wobec himalaistów jest podziwem wobec ludzi gardzących śmiercią. Tylko co to właściwie znaczy? Można widzieć w tym rys współczesnej gladiatorki, coś, co przenosi ten sport na arenę współczesnego Koloseum. Ale może to być element najważniejszej spośród tradycji duchowych Europy – koncepcji filozofii jako przygotowania do śmierci.

Jeśli himalaizm odbierać w ten sposób, wyścig po rekordy staje się czymś nieistotnym – a wspinaczka jest rodzajem duchowego ćwiczenia, walką ze słabością, drogą do panowania nad namiętnościami. Taki himalaizm byłby rodzajem drogi, której celem jest wolność od wszystkiego, co nas pomniejsza, włącznie z lękiem przed śmiercią – wolność radykalna.

Taki himalaizm byłby też figurą życia kontemplatywnego. Nie chodzi mi o to, jaka jest rzeczywistość, mówię o pewnym micie. W człowieku, który wspiął się na szczyt, widzimy kogoś, kto stoi w obliczu nieprzesłoniętej tajemnicy. Osiągnął wewnętrzny szczyt, porzucił wszystko, co niskie. Czy było warto? Czy to nie egoizm? Ucieczka przed prawdziwym życiem? Stare dylematy: vita contemplativa czy activa? Marta czy Maria?

We wszystkich bodaj tradycjach religijnych góra to miejsce spotkania z Siłą, której obecność przeczuwamy – miejsce epifanii, mieszkanie nieśmiertelnych. W naszej tradycji jest tak samo: Syjon, Tabor, Góra Siedmiu Błogosławieństw, Golgota. Z tego samego powodu góra jest miejscem stosownym dla tych, którzy pośredniczą między ludźmi a bogami, którzy reprezentują bogów i orędują za ludźmi – miejscem dla królów i kapłanów. Dlatego właśnie, a nie tylko z powodów obronnych, tworzono akropole – te w Mykenach, Atenach, Szurpiłach i Krakowie.

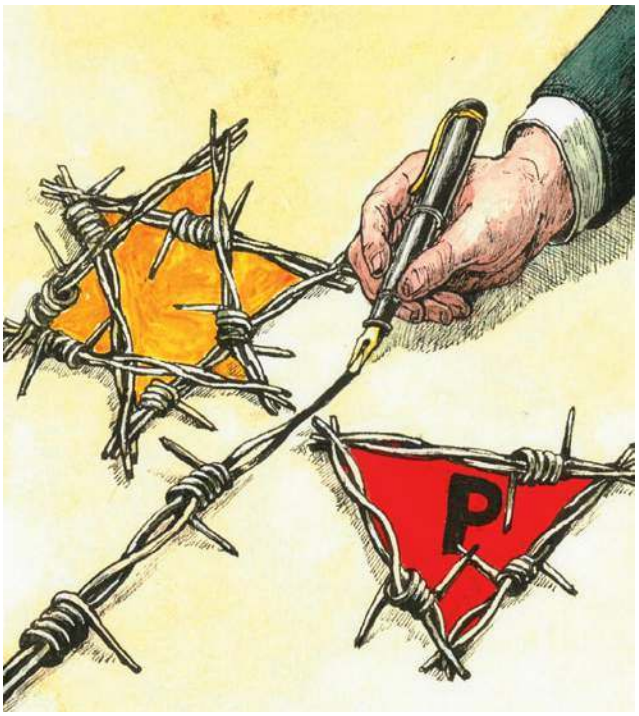


Czy można się dziwić, że szczyt góry wyznacza kierunek drogi prowadzącej do wewnętrznej przemiany? Na szczyt idą ci, którzy pragną odnaleźć w sobie cząstkę podobną do Boga – żyć pełnią życia.

Akcję ratunkową śledziliśmy w wielkim napięciu. Trudno było uciec od pytań. Po co tam wchodzić? Czy prawdziwym ośmiotysięcznikiem nie jest raczej codzienność? Czy wbrew deklaracji, idąc na Nangę po raz siódmy, Tomasz Mackiewicz wygrał ze strachem czy przegrał z magnetyczną siłą sportowego wyzwania? Nie dowiemy się. W tych sprawach w przeciwieństwie do sportu to, czego można dowieść, nie dostarcza jednoznacznej odpowiedzi. Można przegrać, wygrywając, i wygrać, nie zajmując miejsca na podium. Ale jedno jest pewne – Tomasz Mackiewicz walczył o stawkę znacznie wyższą niż sportowy rekord. Wystąpił w dobrych zawodach. Bieg ukończył. Mam nadzieję, że doszedł tam, dokąd zmierzał.

Niech odpoczywa w pokoju.

***Zawistowski prezentuje:* Druty**



Wycinki z przeszłości

Tą piękną okładką „Ilustrowanego Miesięcznika Rolniczo-Ogrodniczego Plon" ze stycznia 1938 r. wspominamy jeszcze święta Bożego Narodzenia. Ale „Plon" to pismo poradnicze dla rolników. Tematem numeru jest burak cukrowy – mało kto wie, że produkcja cukru z tej rośliny okopowej to stosunkowo świeża historia.

Czytamy: „Uprawa trzciny cukrowej jest możliwa tylko w ciepłych krajach zamorskich. Cukier trzcinowy przywieziony do Europy szybko się w niej rozpowszechnił, stając się poszukiwanym środkiem spożywczym. Cena jego była jednak wysoka. […] W roku 1747 niemiecki chemik Margraf zrobił odkrycie, że taki sam cukier jak w trzcinie cukrowej znajduje się również w burakach, z których można by go wytwarzać na miejscu w Europie. Odkrycie zastosował w praktyce jego uczeń Achard, zakładając doświadczalne pole buraków cukrowych pod Berlinem oraz pierwszą fabrykę cukru na Śląsku. Zasadniczy jednak zwrot w dziejach cukru buraczanego nastąpił za czasów wojen napoleońskich, kiedy to walcząca z Francją Anglia zatrzymywała statki płynące do Europy i uniemożliwiała zupełnie dowóz cukru trzcinowego. Zmuszeni koniecznością wybudowali Francuzi cukrownię w Passy i rozpoczęli wyrób na wielką skalę".



Pismo dodaje, że najstarsza polska cukrownia powstała w 1820 r. w Gałowie. Trzymamy kciuki, by polski przemysł cukrowniczy oparł się zagranicznej konkurencji.

(mk)

Nie zapominajcie o tych, którzy w górach zostali

Tak się niewiarygodnie zdarzyło – tę długo składaną piosenkę (tryptyk) wykonałem po raz pierwszy w dniu, w którym zginął Jerzy Kukuczka. Nie może znowu odejść ode mnie, teraz, kiedy myślę o Tym, który został na Nanga Parbat...



Leszek Długosz

I

Nie zapominajcie o tych,
którzy już nie śpiewają
Których pieśni ucichły, którzy sami
gdzieś znikli
Których zatarł już czas –
Przypomnijcie te dni, gdyście może
kochali
Tamtych pieśni muzykę,
słowa sercom tak bliskie
Że się niemal zdawało, że to jakby
ktoś na głos
Wyprowadzał z was samych
Wyprowadzał z ukrycia
– To co w was
– To co w was
Co złociło, maiło wam sny...

Nie zapominajcie tak prędko
Nie zapominajcie tak lekko
Tych co już nie śpiewają
Których minął już czas

Może oni unieśli z tamtym echem
swych pieśni
Może i waszych marzeń, może
i waszych pragnień
Jakiś strzęp, jakiś ślad
– Może także i wasz?

II

Nie zapominajcie o tych,
którzy jeszcze śpiewają
Lecz są ważne powody,
może ważne powody
Że ich właśnie tu brak?
– Może słowa ich brzmią?
Może struny się rwą?
Tylko wyście umilkli
Tylko wyście ucichli
Żeby odzew im dać?

Może wszystko to głuszy
Wiatr przeciwny okrutny
– Może jest tylko tak?

III

Nie zapominajcie o tych,
którzy w górach zostali
Strzegąc ognisk wśród nocy,
strzegąc szlaków wysokich
Gdzieście też chcieli być?
Nazywajcie szaleństwem,
ten ich upór wyniosły
Lecz wspomnijcie te chwile
Gdyście może też śnili,
ten wasz w górach strzelisty
Ten od marzeń błękitny
Ten od pragnień złocisty
Urojony wasz szczyt...

Nie zapominajcie tak prędko
Nie zapominajcie tak lekko
Tych co w górach zostali,
co uparli się trwać...
– Może oni wciąż kroczą ścieżką
tam podobłoczną
Podczas gdyście skręcili,
gdyście zeszli ruszyli
W ten szeroki wygodny
Udeptany już szlak...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 3bfe60f465

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

To nie jest bitwa o pamięć

To nie jest bitwa o prawdę. Pamięć i prawda to – niestety? – tylko słowa, metafory, którymi nierzadko oszukujemy innych i siebie samych.

To jest bitwa o poczucie słuszności, o prawomocność, o władzę, o pieniądze (lub o prawa do pieniędzy). To jest bitwa o tożsamość, o ego (o jego ochronę lub napompowanie). To bitwa o odreagowanie swojego poczucia niższości lub poczucia winy za zaniedbania. To może być także bitwa o prawo do bezkarności lub brutalności (uzasadnionej przez dawne krzywdy). To jest bitwa o legitymizację tego, co robimy dziś lub chcielibyśmy robić jutro. To bitwa o bogactwo. To bywa bitwa o rozgrzeszenie.

Więcej w tym wszystkim psychoanalizy niż epistemologii. Więcej w tym polityki niż historii.

A PRAWDA?

A prawda w tym wszystkim, w tym wszystkim, czym jest nasze ludzkie życie, wcale nie jest naczelną wartością. Czasem przegrywa z nieokiełznaną pychą. Czasem z pragnieniem potęgi. Czasem z najbardziej elementarną wartością, jaką jest przetrwanie. Prawda jest tylko jedną z wartości, nierzadko poświęcaną na ołtarzu wartości innych.

Znana i nierzadko powtarzana bywa formuła: „prawda jest pierwszą ofiarą wojny". Ale czy formuła ta jest należycie rozumiana? Wątpliwe.

W konkretnych sytuacjach to kłamstwo i manipulacje bardziej przyczyniają się do przetrwania, do ocalenia niż prawda.

Zatem na pytanie, co faktycznie jest powodem położenia na szali całego dorobku latami wypracowywanych delikatnych stosunków polsko-izraelskich, nie powinniśmy odpowiadać: *to jest bitwa o pamięć*. Bo „pamięć" czy „prawda" w tej sytuacji, jak i w wielu innych, są wygodną zasłoną, eufemizmem, alibi, za którymi kryją się brutalne, nazbyt



„Pamięć" czy „prawda" w tej sytuacji są wygodną zasłoną, eufemizmem, alibi, za którymi kryją się brutalne prawa polityki i ekonomii

brutalne jak na XXI w., chciałoby się powiedzieć, prawa polityki i ekonomii.

A jednak! A jednak żadna ze stron tego sporu (jak i wielu innych toczonych również w bardziej odległych od naszego kręgach kulturowych) nie uniknie zmierzenia się z odpowiedzią *także* o prawdę faktów. I to poza wymiarem dyplomatycznym, bo przecież dyplomacja to jedynie elegancka formuła dla iście diabelskich gier o wpływy.

HISTORYCZNA PRAWDA

Konstrukty pojęciowe tylko? Pod wpływem aury postmodernizmu iluż historyków pogodziło się z tym, że szukanie prawdy wcale nie kończy się jej znalezieniem, a pamięć zbiorowa bywa wybiórcza, a nawet fabrykowana.

Nauka wymaga wolności. W świecie cywilizowanym nie można badań historycznych cenzurować ideologicznie. Badacz powinien mieć swobodę w stawianiu hipotez, dochodzeniu do wniosków, szukaniu ustaleń. Ale historia to niestety jedna z tych dyscyplin dociekań kulturowo zdeterminowanych, które trudno oderwać od kontekstu, od postawy badacza czy poczucia odpowiedzialności (nierzadko niestety przysłoniętego bardziej przyziemnym interesem). Każdy zapis wskazujący, że mówienie tego i tego podlega karze, będzie badaczy niepokoił.

PRAWDA I PAMIĘĆ NARODU

Być może nasza ojczyzna to wyjątkowo niewdzięczny grunt dla demokratycznego (w sensie takim, że każde stanowisko w dyskusji jest pełnoprawne) badania historii. W czasach komunizmu, o zaborach już nie wspominając, pamięć historyczna była przechowywana jako mityczny depozyt w rodzinach, patriotycznych środowiskach, podziemnych organizacjach. Ten depozyt, często niespisany, posiadający cechy magiczności – pamięć o przodkach, ich bohaterstwie, ich miłości do kraju; ba, pamięć o niegdyś potężnej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej – dawał energię niezbędną do podtrzymywania tożsamości. I spójności. Dawał też energię, bez której polskość by nie przetrwała i uparcie się nie odradzała. Dodatkowym, może zasadniczym, źródłem tej energii był Kościół katolicki.

Przekazywana w rodzinach wiara, że kiedyś przyjdzie należąca się Polsce sprawiedliwość, ta wiara splątana z mikrohistoriami noszonymi w sercach, utworzyła swoisty zasób. W obliczu oczywistej walki o niepodległość zasobu tego nie potrzeba było dokładniej rozwarstwiać ani niuansować.

Ale w ramach polityki historycznej, która jest przede wszystkim polityką, mityczny depozyt może się stać głównie narzędziem gry. Wtedy istotniejsza staje się nie tylko jego zawartość, lecz także *zręczność* posługiwania się nim.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 8/1217/F

eprasa.pl 3bfe60f465

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE W 2017 ROKU



Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki



ŹRÓDŁO:
INSTYTUT MONITOROWANIA MEDIÓW, DANE ZA 2017 ROK

eprasa.pl 3bfe60f465



Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl
ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT

eprasa.pl 3bfe60f465